

PIOTR LIPIŃSKI

ANODA

KAMIEŃ NA SZANCU

 Biblioteka
Gazety
Wąborczej



Muzeum
Powstania
Warszawskiego

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIOTR LIPIŃSKI

ANODA

KAMIEŃ NA SZAŃCU



Muzeum
Powstania
Warszawskiego



Biblioteka
Gazety
Wąborczej

WARSZAWA 2015

Redakcja

Ariadna Machowska

Korekta

Danuta Sabała

Koordinacja projektu

Joanna Cieślewska

Konsultacja merytoryczna

Katarzyna Utracka, Muzeum Powstania Warszawskiego

Projekt graficzny okładki i makiety oraz skład

Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART. DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Zdjęcia

Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego, Narodowe Archiwum Cyfrowe, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, East News, Robert Danieluk/MPW, Marek Michalski/MPW, Forum

AGORA^{SA}

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Wydawnictwo książkowe

Dyrektor wydawniczy

Małgorzata Skowrońska

Redaktor naczelny

Paweł Goźliński



ul. Grzybowska 79, 00-844 Warszawa

Dyrektor

Jan Ołdakowski

© copyright by Piotr Lipiński

© copyright by AGORA SA 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2015

ISBN 978-832-681-723-6 (epub), 978-832-681-724-3 (mobi)

Wydawca dołożył wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw majątkowych do zdjęć. Mimo intensywnych poszukiwań nie zawsze było możliwe ustalenie praw autorskich wykorzystanych zdjęć. Właściciele i dysponentów praw autorskich tych zdjęć prosimy o kontakt z wydawcą.



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Prolog

Rozdział I. Gwiazdka 1948 – szczególnie radosne święta

Rozdział II. Pomarańczowy styl, słynny na sto mil

Rozdział III. Kępka zrudziałych włosów

Rozdział IV. Twoją nagrodą będzie zwycięstwo

Rozdział V. Rysa na parapecie

Rozdział VI. Nałogowiec schmeisserowiec

Rozdział VII. Pistolet, mydło i prezydent

Rozdział VIII. Wszystkie najkławsze chłopaki w tych niebieskich
zaświatach

Rozdział IX. Oddany przyjaciel w Panu

Rozdział X. Wspomnienia i pogrzeby

Rozdział XI. Był i ode mnie wyszedł

Rozdział XII. Druga konspiracja

Rozdział XIII. Poważny zapas wiedzy marksistowskiej

Epilog

Bibliografia

Przypisy

PROLOG

Śmierć to zawsze tajemnica.

Ciało Jana Rodowicza „Anody” – bohatera Szarych Szeregów – spadło z czwartego piętra okna Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Był styczeń 1949 roku.

Polscy komuniści wkroczyli właśnie w najkrwawszy okres swoich rządów. Rozprawiali się z opozycją. Zamykali w więzieniach żołnierzy Armii Krajowej – bohaterów II wojny światowej. Oskarżali ich o próbę obalenia ustroju albo współpracę z hitlerowcami. Zarzuty bywały wyimaginowane i absurdalne.

Janka aresztowali w Wigilię 1948 roku. Rodzice nigdy już nie zobaczyli go żywego. Oficjalna wersja głosiła, że popełnił samobójstwo, skacząc z okna gmachu MBP przy Koszykowej, gdzie go więziono i przesłuchiowano.



Budynek Arsenalu w Warszawie, lata międzywojenne.

Cóż za absurdalne wyjaśnienie! Dla bliskich Janka było oczywiste – zabili

go ubecy. Wszyscy słyszeli o torturowaniu więźniów podczas przesłuchań. O katowaniu, po którym ludzie przyznawali się do niepopołnionych czynów.

Ale po latach wokół tego, co pewne, zaczęły narastać wątpliwości.



Znam go od 20 lat. Zdążyłem się z nim zaprzyjaźnić, choć nigdy go nie spotkałem.

To przyjaźń specyficzna. Pisarska. Jednostronna.

Autor nie musi lubić postaci, które opisuje. Wystarczy, że je rozumie. Ale bywają tacy bohaterowie, z którymi chciałoby się zakumplować. Taki jest Janek.

W 1995 roku opublikowałem w „Gazecie Wyborczej” pierwszy reportaż o „Anodzie”. Byliśmy wtedy w podobnym wieku – ja miałem 28 lat, Janek – o dwa lata mniej, gdy zginął.

20 lat temu mogłem jeszcze porozmawiać z ludźmi, którzy wiedzieli o nim więcej, niż można wyczytać z dokumentów. Dziś ludzie ci w większości już nie żyją. Zostały tylko papiery, które wygłaszają monologi.



Jan Rodowicz, zdjęcie z archiwum rodzinnego.



Anna Jakubowska działała w konspiracji od 1941 r.

Z Jankiem od początku miałem jeden problem – trudno pisać o bohaterach pozytywnych. Ciężko bez patosu kreślić słowa o patriotyzmie. Bo żyjemy w świecie, który nie wymaga wielkich poświęceń.

Był legendą swojego pokolenia. To on pierwszy rzucił butelką podczas akcji pod Arsenalem. Postać pomnikowa? Gdzie tam, niesamowity zgrywus.

– Przyjdzie do ciebie wysoki, przystojny blondyn, bardzo grzeczny, miły, z dużym poczuciem humoru – tak zapowiedziała go Anna Borkiewicz-Celińska „Iza”^[1], koleżanka z batalionu „Zośka”^[2]. – Urodzony aktor. Każda jego mina powodowała wybuch śmiechu. Wszyscy go kochali.



Henryk Kończykowski „Halicz”, powstaniec z batalionu „Zośka”

Podczas okupacji próbował żyć normalnie. Anna Jakubowska „Paulinka”^[3], łączniczka i sanitariuszka w „Zośce”, zapamiętała, że do ostatnich minut przed dwudziestą, godziną policyjną, prowadził bogate życie towarzyskie i sportowe. Spotykał się z przyjaciółmi: u kogoś skakał z wysokiego pieca, w innym mieszkaniu przy muzyce z adaptera tańczył, przytulając szlafrok pani domu (bo przyrzekł do końca wojny nie

tańczyć z żadną dziewczyną).

Pływał z przyjaciółmi w Wiśle. W parku wdrapywał się na cokół pomnika i wygłaszał przemówienie. Układał śmieszne rymowanki. W dodatku potrafił je komicznie recytować.

Czasami śpiewał, a kiedy indziej parodiował kolegów. Albo Hitlera. Po wojnie, gdy dowiedział się, że premier Józef Cyrankiewicz ożenił się z aktorką Niną Andrycz, omotał telefonistkę i zdobył numer telefonu, aby złożyć nowożeńcom życzenia.

Z jednej strony skory do żartu, do draki. Z drugiej – śmiertelnie poważny w sprawie patriotyzmu i wiary. Tak go wychowano w typowej przedwojennej inteligentkiej rodzinie.

– Gdyby więcej było takich ludzi, świat byłby lepszy – mówił o Janku Henryku Kończykowski „Halicz”^[4], jego podkomendny z batalionu „Zośka”^[5].

Matka Janka Zofia Rodowicz zapamiętała jego ostatnie imieniny, w listopadzie 1948 roku. Spotkali się na nich ci z batalionu „Zośka”, którzy przeżyli Powstanie Warszawskie: „Pili kruszon, wierni harcerskiej abstynencji. Układali plany, snuli marzenia, nareszcie tańczyli. Myślałam, że jednak jestem bardzo szczęśliwą matką – los ocalił dla mnie chociaż jedno dziecko, a przecież spotykałam matki, którym poginęli wszyscy...”^[6].

Brat Janka Zygmunt zginął podczas Powstania Warszawskiego. Nosił pseudonim „Katoda”



Kiedy w 1995 roku pisałem po raz pierwszy o „Anodzie”, miałem to szczęście, że nie ograniczała mnie już żadna cenzura. Jeszcze kilka lat wcześniej, w PRL-u, nie mógłbym napisać wszystkiego, czego się dowiedziałem. Oficjalnie publikowane książki i reportaże nie mogły wprost podawać w wątpliwość wersję, że „Anoda” popełnił samobójstwo. Nikt nie mógł otwarcie zapytać, czy zabili go funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Nie wspominając o tym, by w prasie podać personalia ubeków, którzy go przesłuchiwali.

Ale w 1995 roku można było już napisać wszystko. Z jednym ograniczeniem: ubecy stali się podejrzanymi w prokuratorskich

postępowaniach dotyczących torturowania, więc ich nazwiska należało ukryć pod inicjałem. Jednak niektórzy świadkowie wciąż bali się mówić. Przez lata komunizmu Polacy przyzwyczaili się, że w ten sposób można sobie zaszkodzić. A ludziom z wojennego pokolenia większość życia minęła w tym ustroju. Wolna Polska, tych kilka lat od 1989 roku, to był dla nich ledwie krótki epizod. I nikt nie wiedział, czym może się skończyć.



„Prawo do istnienia ma tylko ten naród, który dla obrony zasad i sprawiedliwości poświęcić umie najlepszych swych synów”^[7]. Tego zdania nie wypowiedział żaden ze Spartan. To słowa Ryszarda Białousa „Jerzego”, dowódcy batalionu „Zośka”, w którym służył Janek. Dziś szokują swoją bezwzględnością.

Czy należy poświęcać najlepszych synów, nie widząc szansy na zwycięstwo? Dlaczego nie ratować życia z myślą, że po wojnie przyjdzie czas pokoju, gdy kraj trzeba będzie odbudować? Albo po prostu dlatego, że to życie jest najważniejsze? „Anoda” wyznawał te same wartości co jego dowódca i był gotów dla nich umrzeć. Przeżył jednak wojnę i zginął dopiero, gdy Polską zaczęli rządzić komuniści.

Wszystko, co było związane z jego śmiercią, od początku budziło wątpliwości. Poczynając od najprostszego pytania: dlaczego go aresztowano? Przecież nie prowadził już żadnej konspiracji. Kto go przesłuchiwał? Polacy czy może Sowieci? Jak zginął? Śmiertelnie pobity czy zastrzelony?

Od lat zadaję sobie pytanie: czy jeszcze odnajdę kogoś, kto zna odpowiedzi? A jeśli nawet ktoś taki wciąż żyje, czy zgodzi się na rozmowę o „Anodzie”?

ROZDZIAŁ I

Gwiazdka 1948 – szczególnie radosne święta

Matka przygotowywała wigilijną wieczerzę. Do drzwi załomotali ubecy. W ostatniej chwili udało jej się jeszcze niepostrzeżenie wsunąć Jankowi opłatek.

Przyszło ich kilku – zapamiętała rodzina. Rewidowali mieszkanie dwie godziny. Janka wzięli ze sobą.

„– Już go żywego nie zobaczyłam – powiedziała matka Janka reporterce Barbarze Wachowicz. – Wyprowadzili. Archiwum stało w pudłach na szafie. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyli. Porwaliśmy z mężem te pudła i zaczęliśmy przenosić do zaprzyjaźnionych sąsiadów” [8].

Dokumenty były bardzo ważne. „Anoda” gromadził wojenne relacje żołnierzy „Zośki”. W pudłach kryła się cała historia słynnego harcerskiego batalionu. Niektórzy podejrzewali, że „Anodę” aresztowano, bo ubecy chcieli zdobyć te dokumenty. Potem wędrowały one w tajemnicy pomiędzy mieszkaniami.

Niedługo po aresztowaniu „Anody” do państwa Rodowiczów przyszła, jak co roku, Anna Rodowicz, żona stryjecznego brata Janka, razem ze swoim synkiem, też Jankiem (w rodzinie od pokoleń powtarzały się imiona Jan i Władysław).

– Dobrze, że przyszliście z małym Jankiem – powiedziała matka „Anody” – bo naszego dzisiaj zabrali.



Koniec roku 1948 to dla narzuconej przez Związek Radziecki władzy czas szczególny. Właśnie połączyły się dwie partie: Polska Partia Robotnicza kierowana przez Bolesława Bieruta i Polska Partia Socjalistyczna pod wodzą Józefa Cyrankiewicza. Na kongresie zjednoczeniowym powstała z nich jedna Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Będzie panować aż do roku 1989.



Pierwszy numer „Trybuny Ludu”, dziennika informacyjno-publicystycznego, ukazał się w 1948 r. Było to oficjalne pismo KC PZPR.



Bolesław Bierut, działacz komunistyczny i agent NKWD, 5 lutego 1947 r. został wybrany przez Sejm Ustawodawczy na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Tuż przed zjednoczeniem wśród komunistów doszło do politycznego zwrotu. Jeszcze niedawno PPR-em kierował Władysław Gomułka. To on umawiał się z Cyrankiewiczem na scalenie obu ugrupowań. Nagle jednak Gomułce zarzucono „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. Kierownictwo partii przejął Bolesław Bierut. Systematycznie dążył do upodobnienia Polski do stalinowskiego Związku Radzieckiego.

Koniec 1948 roku to początek ostatecznej rozprawy ze wszystkimi, których uznano za wrogów ustroju. Prawdziwych i urojonych.

Kilka dni przed aresztowaniem „Anody” wyszedł pierwszy numer „Trybuny Ludu”, która przez następne dziesięciolecia będzie tubą komunistycznej propagandy. Powstanie „Trybuny Ludu” było związane ze zjednoczeniem dwóch partii. Gazeta stała się spadkobierczynią komunistycznego „Głosu Ludu” i socjalistycznego „Robotnika”.



1948 rok – życie w gruzach Warszawy, widok na ulicę Puławską.

Po latach rozmyło się w Polsce rozróżnienie na „komunizm” i „socjalizm”. Ale w 1948 roku były to jeszcze dwa zupełnie różne pojęcia. Komuniści głosili prymat internacjonalizmu nad niepodległością narodów, co w praktyce oznaczało podporządkowanie się woli Związku Radzieckiego. Socjaliści nigdy nie kwestionowali niepodległości Polski. Socjalistą w młodości był nawet Józef Piłsudski. Przed II wojną światową socjaliści traktowali komunistów jako wrogów politycznych. A przede wszystkim jako

wrogów Polski.

W Wigilię 1948 roku – w dniu, gdy aresztowano „Anodę” – ukazał się dziewiąty numer „Trybuny Ludu”. Z pierwszej strony atakowały tytuły: „Będziemy wychowywać masy w duchu proletariackiego internacjonalizmu”, „Polityka gospodarcza rządu rujnuje naród francuski”, „ZSRR domaga się położenia kresu agresji holenderskiej w Indonezji”.



1948 rok – operator Polskiej Kroniki Filmowej Karol Szczeciński filmuje zabudowania ulicy Senatorskiej w Warszawie. Z prawej strony widać pałac Małachowskich.



Propagandowy plakat autorstwa Włodzimierza Zakrzewskiego, wydrukowany w Łodzi w 1945 r.

Na pierwszej stronie znalazł się tekst „Gwiazdka 1948”:

„Będą w tym roku szczególnie radosne święta. Sukcesy w walce z siłami wyzysku, niebywałe w naszej historii tempo rozwoju gospodarczego kraju – oto co napawać musi otuchą i entuzjazmem każdego człowieka pracy, oto co budzić musi w ludzkiej polskiej poczucie jego własnej siły zdolnej pokonać największe trudności. I właśnie to poczucie własnej siły twórczej, ujawnione w całej pełni po zrzuceniu kajdan obszarniczo-kapitalistycznej niewoli, siły, której najwymowniejszym wyrazem był Czyn Przedkongresowy – będzie w tym roku towarzyszyć nieodłącznie naszym myślom i uczuciom, gdy z dala od rozgwaru codziennego życia korzystać będziemy ze świątecznego odpoczynku”.

„Trybuna Ludu” dodawała:

„Wytchnienie, jakie dają ludziom pracy święta, jest nam potrzebne szczególnie dziś, gdy życie płynie w Polsce ustokrotnionym tempem, gdy wielkie przemiany idą jedna za drugą, gdy wielu z nas nie może jeszcze za nimi nadążyć”.

Pod koniec numeru znalazła się informacja: „Młodzież akademicka odpoczywa w swych własnych ośrodkach, intensywnie uprawiając różnego rodzaju sporty, by szczęśliwie przebrnąć przez następne semestry”.



Wśród „zośkowców” wiadomość o aresztowaniu Janka rozniosła się natychmiast.

– To była dramatyczna Wigilia – zapamiętała Anna Jakubowska „Paulinka”. – Kiedy dowiedziałam się o uwięzieniu Janka, dostałam spazmów płaczu. Wszyscy mnie uspokajali. Jeszcze przecież nie było powodu, żeby się tak bardzo niepokoić. Jeszcze nikt nie wiedział, że to się tak tragicznie skończy...

Mój synek miał rok i dziewięć miesięcy. Dla niego ubraliśmy choinkę. Wisiały bombki srebrno-złote i on na nie mówił: „Nyna, nyna”. Bo mu się z cytryną kojarzyło. Raz kiedyś udało nam się kupić mu cytrynę. To były

takie czasy.

Przeplakałam całą Wigilię, trzymałam syna na kolanach, przytulałam. Wszyscy mówili: „Janka wypuszczą. Specjalnie go aresztowali w Wigilię, żeby zrobić taki popłoch, żeby zrobić na złość. To pewnie nic poważnego”. Ale ja miałam jakieś fatalne przeczucia. Choć do głowy mi nie przyszło, że za parę dni aresztują mojego męża^[9].

Inni znajomi starali się bagatelizować zatrzymanie „Anody”. Pocieszali się myślą, że przyczyną był jakiś jego żart. „Anoda” był przecież znany z wygłupów. Nawet podejrzewano, że to wszystko przez córkę Bolesława Bieruta. Podobno Janek drażnił ją na uczelni zdechłym szczurem.

Anna Jakubowska „Paulinka”^[10]:

– Mijały jednak kolejne dni, nadszedł nowy rok i nadal nikt nie wiedział, co się dzieje z Jankiem.

Rodzice chodzili do warszawskich więzień z paczkami. Nosili w nich bieliznę i jedzenie. Ale nikt nie chciał im powiedzieć, gdzie przetrzymują syna. Nikt nie odpowiadał na pytanie, co się z nim stało. Słyszeli tylko: zostaniecie powiadomieni we właściwym czasie.



O tym, co się z nim wówczas działo, możemy usłyszeć z dokumentów. One opowiadają, jak żywi świadkowie. Tylko nie można im zadawać pytań.

I właśnie dlatego nie w pełni im ufam. Szczególnie gdy dotyczą przesłuchań. Protokoły pokazują tylko część prawdy. Tę, która interesowała śledczych.

„Anodę” więziono w podziemiach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Gmach mieścił się na ulicy Koszykowej w Warszawie. Dziś znajduje się w nim Ministerstwo Sprawiedliwości. Na dziedzińcu umieszczono płytę upamiętniającą śmierć Janka.

Przesłuchiwano go w Departamencie V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Na jego czele stała Julia Brystigierowa. Departament zajmował się wywiadowczym rozpoznaniem działaczy kulturalnych, związków, organizacji. Oraz studentów.

Z dokumentów śledczych wynika, że „Anoda” po aresztowaniu opowiadał

o broni, którą zakopał z Henrykiem Kozłowskim „Kmitą”. Towarzyszył im ktoś o pseudonimie „Czarny Karol”. Ale Janek nie wymienił jego nazwiska. Był to Karol Kwapiński z batalionu „Zośka”.



Róg ulicy Koszykowej i Alej Ujazdowskich, lata 30. XX w.

Broń ukryli jeszcze przed ujawnieniem się akowców pod koniec 1945 roku. Miała posłużyć żołnierzom „Zośki”, w razie gdyby wybuchła III wojna światowa. Wielu Polaków tylko w kolejnym ogólnoświatowym konflikcie zbrojnym widziało szansę na wyzwolenie spod panowania Związku Radzieckiego. Nie wyobrażano sobie, by mógł on kiedykolwiek runąć pod własnym ciężarem.

Niedługo przed aresztowaniem, 15 grudnia 1948 roku, „Anoda” z „Kmitą” sprawdzali, czy broń złożona w alei Niepodległości nie jest zagrożona. Po aresztowaniu Janek wskazał, gdzie ją ukryto.

Podał też nazwiska osób, z którymi rozmawiał o reaktywacji oddziału. Byli to Wojciech Szymanowski, Bogdan Celiński, Andrzej Wolski i Andrzej Sowiński. Wskazał miejsce przechowywania aparatów radiowych (jeden znajdował się u niego w domu). Opowiadał, że w 1948 roku planowano zakup kolejnych.

„Anoda” podpisał protokół odkopania broni na terenie posesji przy alei Niepodległości 216. Wydobyto ją 4 stycznia 1949 roku w obecności funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Bolesława

Cykały, Romana Masnego i Bronisława Kleiny. To pierwsi ludzie, których chciałybym zapytać o śmierć Janka.

„Anodę” wypytywano też o konspiracyjne plany. W 1945 roku „zośkowcy” zamierzali porwać szefa Sowieckiej Misji Wojskowej w Konstancinie. Do akcji wyznaczono Mariana Rojowskiego „Mariana”, Henryka Kozłowskiego „Kmitę”, Stanisława Lechmirowicza „Czarta”, Stanisława Sieradzkiego „Śwista”, Donata Czerewacza „Sójkę”, Stefana Gorgonia-Družbickiego „Kurpia”, Bogdana Celińskiego „Wiktora”, Jerzego Zalewskiego „Strzałę”, Włodzimierza Steyera „Groma”

Przeglądając akta śledcze, natrafiłem na nazwisko człowieka, który kazał aresztować „Anodę”, a potem go przesłuchiwał. Nazywał się Wiktor Herer. To najważniejszy spośród ubeków, którzy wiedzą, jak zginął Janek. Pytał go o próbę porwania w 1945 roku rosyjskiego generała. Akowcy zamierzali wymienić go na aresztowanego Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Według protokołu „Anoda” opowiadał: – Porwanie miało nastąpić w czasie przejazdu generała radzieckiego z Konstancina do Warszawy. Oczekiwaliśmy dwoma samochodami na trasie koło Powsina. Jeden z naszych samochodów, którym kierował Marian Rojowski, zatarasował drogę nadjeżdżającemu samochodowi. Kierowca radziecki wyminął przeszkodę i wymknął się z zasadzki. Porwanie było przygotowane z polecenia podpułkownika Józefa Rybickiego, pseudonim „Maciej”, zastępcy „Radosława”



Jan Rodowicz został aresztowany w Wigilię 1948 r. Dwa tygodnie później już nie żył.

Przygotowywano też zamach na generała Wiktora Gracza, który przebywał w podwarszawskich Włochach.

7 stycznia 1949 roku „Anodę” przesłuchiwał Bronisław Kleina. Indagował o różne osoby.

Po pytaniu: „Co wiecie o Zakrzewskim Jerzym?”, Bronisław Kleina nie zanotował odpowiedzi. W poprzek strony protokołu zapisano: „Podejrzany wyskoczył oknem i zabił się”.

Sporządzono „akt zejścia”. Odręcznym pismem, smukłymi literami wypełniono kolejne rubryki urzędowego druku:

„Data zgonu: siódmego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku.

Godzina zgonu: 14-ta

Miejsce zgonu: Warszawa ulica Koszykowa 6

Dane dotyczące osoby, władzy lub instytucji zgłaszającej zgon:

Kołąkowski Marian pracownik Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

Uwagi: Akt niniejszy sporządzono na podstawie Karty Zgonu wydanej przez Szefa Służby Zdrowa Min. Bezp Publicznego w Warszawie dnia 7 I 1949 r.” [11].

I podpis: urzędnik stanu cywilnego Spirydion Szubrakiewicz.



Przez ponad tydzień od aresztowania Janka nikogo z „zośkowców” nie zatrzymano. Aresztowania zaczęły się 3 stycznia 1949 roku. Uwięziono pięciu byłych żołnierzy „Zośki”: Bogdana Celińskiego, Henryka Kozłowskiego, Andrzeja Sowińskiego, Wojciecha Szymanowskiego i Andrzeja Wolskiego. Tak jak Janek trafili do aresztu w podziemiach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej. Ale ubecy pilnowali, by nie udało się im nawiązać ze sobą kontaktu. Każdego trzymali w osobnej celi. Nigdy żadnemu z „zośkowców” nie udało się zobaczyć Janka. Poza jednym wyjątkiem.



Tablica pamiątkowa ku czci katowanych więźniów politycznych w czasach stalinowskich w budynku dawnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, ulica Koszykowa.

Henryka Kozłowskiego „Kmitę” [12] aresztowano 3 stycznia, w pierwszej fali po „Anodzie”. Zatrzymano go w mieszkaniu przy ulicy Smolnej w Warszawie. Była godzina 21.30. Rozpoczęto rewizję. Ubrani po cywilnemu ubecy zawieźli Kozłowskiego do gmachu MBP. Dojechali koło dwudziestej

trzeciej.

Po krótkim osobistym przeszukaniu wsiedli z nim do windy, aby dostarczyć na przesłuchanie u Wiktora Herera, który urzędował na czwartym piętrze. Potem często „Kmitę” wożono z podziemi na górę Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Ale zanim jeszcze trafił na pierwsze przesłuchanie, wieczorem w dniu aresztowania przez chwilę, ostatni raz zobaczył Janka.

– Po wyjściu z windy kazano mi iść prosto korytarzem – opowiadał prokuratorowi^[13]. – Za mną, w odległości dwóch, trzech metrów, siedł jeden z cywilnych funkcjonariuszy. Po przejściu kilku metrów od windy z przeciwka, zza zakrętu korytarza, kilkanaście metrów przede mną wyszedł niespodziewanie Jan Rodowicz. Ubrany był tak jak zwykle w wełniane, zielone amerykańskie spodnie i takiż trencz. Rozpoznaliśmy się natychmiast. Miałem jeszcze okulary, więc dobrze widziałem. Szedł swobodnie, normalnie, ujrawszy mnie, uśmiechnął się i pogładził włosy lewą ręką. Nie dostrzegłem na jego twarzy jakichś deformacji, guzów, obrzęków czy sińców. Zbliżaliśmy się do siebie. Zza zakrętu wyszedł cywil prowadzący Janka Rodowicza i widząc, co się dzieje, krzyknął, by stanąć. To samo uczynił mój konwojent. Zrobiło się małe zamieszanie. Rodowicza cofnięto, mnie zamknięto w jakiejś pobliskiej szafie. Po kilku minutach poprowadzono dalej.

Henryk Kozłowski był prawdopodobnie ostatnim spośród „zośkowców”, którzy widzieli żywego „Anodę”. Żadna relacja nie wspomina, aby Janka z kimś konfrontowano. Także w śledztwie nikogo później nie pytano o „Anodę”. Raczej powoływano się na jego rzekome zeznania.

Zaraz po spotkaniu z Jankiem Henryka Kozłowskiego zaczął przesłuchiwać Wiktor Herer. Ten sam, który odpytywał „Anodę”.

Kozłowski poznał jego nazwisko z protokołu. Siedzieli po dwóch stronach biurka. Herer skierował na niego lampę. „Kmitę” oślepią silne światło.

Henryk Kozłowski bardzo dobrze zapamiętał swojego śledczego. Herer wyglądał na trzydzieści lat. Był szczupłym, średniego wzrostu mężczyzną. Brunetem o pociągłej twarzy, którą zdobił czarny wąsik.

Nigdy nie zakładał munduru, zawsze chodził po cywilnemu.

Przesłuchiwał u siebie w gabinecie na czwartym piętrze. To zwykły pokój, umeblowany biurowo. W oknach nie zamontowano krat. Ale często zasłanianie je kotarą.

Herer postawił Kozłowskiemu zarzuty: przechowywanie broni, montowanie nadajników radiowych, nieuczestne ujawnienie się, utrzymywanie więzów organizacyjnych, powiązania z pułkownikiem Janem Mazurkiewiczem „Radosławem”, dowódcą Zgrupowania „Radosław” w Powstaniu Warszawskim, po wojnie komendantem Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych.

Śledczy od razu zaczął obiecywać i grozić. Mamił łagodnym traktowaniem. Może nawet zwolnieniem, jeśli Kozłowski do wszystkiego się przyzna. Straszyl aresztowaniem żony, która opiekowała się ich półtorarocznym dzieckiem, gdyby zaprzeczał. Groził też ostrym śledztwem: – Mamy swoje metody.

Ale Herer nigdy nie bił ani nawet nie używał wulgarnego języka.

Przesłuchania raz protokołowano, a kiedy indziej – gdy szły nie po myśli śledczego – niczego nie notowano. Wtedy Herer wysyłał „Kmitę” do karceru. Na przykład, gdy pytał go o broń, a „Kmita” zaprzeczał, by coś o niej wiedział. Po jakimś czasie Herer wywoływał na kolejne przesłuchanie, pytał o to samo, odpowiedź znowu była negatywna, więc Kozłowski kolejny raz lądował w karcu.

Kara wydawać się może niezbyt wielką dolegliwością. Ale nie była to zwykła więzienna izolatka, tylko betonowe pomieszczenie wielkości psiej budy. Wypełnione ekskrementami. Pozbawione okien. „Kmita” tracił w nim poczucie czasu, bo znikąd nie docierało dzienne światło.

Karcer i więzienie mieściły się w piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Od ulicy Koszykowej (druga strona gmachu wychodzi na Aleje Ujazdowskie) przy wejściu były schody do podziemi. Na dole w dyżurce przyjmowano i przekazywano aresztowanych. Z tego miejsca konwojenci odbierali więźniów prowadzonych na przesłuchania. Stąd też strażnicy rozprowadzali więźniów po celach.

„Klawiszami” byli głównie repatrianci polscy z Francji. Bardzo słabo znali język polski.

Henryk Kozłowski zapamiętał, że Herer zadawał inteligentne pytania. Widać było, że nieźle orientuje się w środowisku „Zośki”. Sporo wiedział o tak zwanej drugiej konspiracji, czyli podziemnej działalności od rozwiązania Armii Krajowej w styczniu 1945 roku do ujawnienia się jej żołnierzy jesienią tego samego roku. Próbował na „Kmicie” wyrzucić wrażenie, że ubecy wiedzą wszystko.

Inny był drugi śledczy, Tadeusz Tomporski, który potem równolegle z Hererem przesłuchiwał Kozłowskiego. Tomporskiego zwano „bijakiem”. Był brutalny i porywczy. Ale pracował w innym niż Herer departamencie MBP.

Aresztowanymi „zośkowcami” zajmowały się bowiem aż dwa departamenty Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Pierwszy to Departament V, ten, który aresztował i przesłuchiwał „Anodę”. Drugi to Departament Śledczy, którym rządził znany z sadyzmu Józef Różański. W połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku – kiedy pierwszy raz opisywałem historię „Anody” – relacjonowałem w prasie również proces Adama Humera^[14], wicedyrektora tego departamentu. Oskarżono go wraz z kilkunastoma innymi ubekami o torturowanie więźniów. Tadeusz Tomporski pracował właśnie w tym słynącym z przemocy Departamencie Śledczym. Zasiadł na ławie oskarżonych wraz z Humerem.

Już podczas pierwszego przesłuchania na Koszykowej Tomporski pobił i skopał Kozłowskiego. Stłukł mu przy tym okulary. „Kmita”, który w więzieniu spędził następne osiem lat (został skazany na karę śmierci zamienioną potem na dożywocie), przez kilka lat nie dostawał pozwolenia, by mu przysłano z domu nowe. Tomporski na zmianę z kolejnym funkcjonariuszem Departamentu Śledczego, Mieczysławem Kobylcem, dręczył Kozłowskiego, nakazując mu wykonywanie niezliczonej ilości przysiadów i „żabek” do całkowitego wyczerpania. Kopał, wyrывał włosy. Dręczył psychicznie. Wyzywał, szydził, kpił. Naśmiewał się z Armii Krajowej, która według niego podczas wojny stała tylko z bronią u nogi, a nie walczyła z okupantem. A nawet z nim współpracowała. Zdaniem „Kmity” Tomporski był kreaturą, która nie знаła pojęcia ludzkiej godności.

Udręczony Henryk Kozłowski myślał o popełnieniu samobójstwa.

Przeszło mu to przez myśl, gdy Herer, zirytowany kolejnymi zaprzeczeniami o ukryciu broni, wprowadził „Kmitę” do przyległego pokoju i pokazał metalową skrzynkę z uzbrojeniem. Wykopano ją w alei Niepodległości.

Kozłowski przyjrzał się uważnie: to była ta sama skrzynia, którą odebrał od blacharza i przewiózł do „Anody”. Nie był przy zakopywaniu ukrytej w niej broni w 1945 roku, ale wiedział, co się powinno znajdować w środku. I właśnie ten niewielki arsenał zobaczył w pokoju, do którego zaprowadził go Herer.

„Kmita” nadal milczał. Herer wysłał go znowu do karceru.

To wtedy, w osamotnieniu, w betonowej budzie, Kozłowski zaczął myśleć o samobójstwie. Planował, że wyskoczy z dużego, nieokratowanego okna umywalni na czwartym piętrze. Wychodziło na podwórze od ulicy Koszykowej. „Kmita” był w tym pomieszczeniu kilka razy.

Na szczęście zrezygnował. Uznał, że samobójstwo niczego nie zmieni. Ubecy i tak znali główne tajemnice „zośkowców”. Odkopali uzbrojenie. A właśnie za jego ukrycie był odpowiedzialny.

Postanowił przyznać się do niektórych zarzutów. Ponieść konsekwencje swoich decyzji.



Nastąpiły kolejne aresztowania. Ubecy zatrzymali w sumie 32 żołnierzy batalionu „Zośka”.

Prasa donosiła:

„Władze Bezpieczeństwa zlikwidowały bandę dywersyjną. U aresztowanych znaleziono broń i dwie radiostacje. Na podstawie obserwacji prowadzonej od pewnego czasu przez organa bezpieczeństwa publicznego zostało stwierdzone, że pewna, nieznaczną zresztą część b. członków AK ze zgrupowania »Zośka«, »Parasol« i innych przystąpiły do organizowania grup dywersyjno-terrorystycznych, gromadząc w tym celu broń i materiał wybuchowy. Organizacja była hojnie wspierana dolarami z zagranicy” ^[15].

Niektórym udało się ukryć.

Henryk Kończykowski „Halicz” od razu po aresztowaniu „Anody”

powiedział do kolegów^[16]:

– Wyprowadzam się z domu.

– Co nam mogą zrobić? – usłyszał w odpowiedzi. – Przecież ujawniliśmy się, nie ma żadnej konspiracji.

– Znam Ruskich, na wszelki wypadek ukryję się – stwierdził „Halicz”

Ubecy przyszli po niego na początku stycznia 1949 roku. Zrobili „kocioł” i przez tydzień w jego mieszkaniu zgarnęli prawie 30 osób.

Kończykowski uniknął aresztowania, bo nie nocował w domu, a kiedy wracał, w oknach zamiast zasłon zobaczył koce. Nikt tak wcześniej nie zaciemniał mieszkania.

Uciekł najpierw do brata w Łodzi. Potem do jego kolegi na wsi koło Bydgoszczy. W radiu słyszał komunikaty o poszukiwaniach przestępców z organizacji „Zośka”. Ostrzegano, że za pomoc bandytom grozi pięć lat więzienia. Kończykowski pojechał znowu do Łodzi, żeby nie narażać swoich gospodarzy. Wynajął mały pokój. Pieniądze przysyłał mu ojciec.

Ubecy dorwali go jednak rok później. Tak jak Janek Rodowicz trafił do piwnic Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wspominał je jak średniowieczne więzienie, bez światła dziennego. W pamięci pojawił się obraz: strażnicy chodzący w bamboszach po chodniku położonym w korytarzu, aby wszędzie panowała upiorna cisza.



Kolejni „zośkowcy” trafiali już nie tylko do więzienia w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego na ulicy Koszykowej w Warszawie, gdzie przetrzymywano „Anodę”. Wywożono ich też na ulicę Rakowiecką na Mokotowie. Właśnie to miejsce w powojennych dziejach Polski zyskało upiorną sławę. To na Mokotowie najczęściej przesłuchiwali ubecy z Departamentu Śledczego.



Obchody Dnia Żołnierzy Wyklętych, kampania reprezentacyjna WP pod tablicą upamiętniającą gen. Augusta Emila Fieldorfa na ścianie więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, 2012 r.



Więzienie przy ulicy Rakowieckiej 37 istniało już przed I wojną. Zdjęcie z 1932 r.

„- Wy, »zośkowcy«, to ostoja faszystowskiego reżimu – słyszał od nich Stanisław Krupa^[17], żołnierz batalionu „Zośka”. – O niczym innym nie marzyliście i nie marzycie jak tylko, żeby zniszczyć Polskę Ludową. Nadal spiskujecie i przymierzacie się obalić ludową władzę”^[18].

Stanisław Krupa zapamiętał, że w jednej celi siedziało po osiem osób. W rogu przy drzwiach stał nieosłonięty sedes z bieżącą wodą, na który mówiono po prostu kibel. Okna były małe, pod sufitem. Każde zabezpieczone kratą i zakryte blaszana osłoną, zwaną blindą. Zakrywała widoczność na zewnątrz, do środka wpuszczając tylko trochę światła i świeżego powietrza. Ponad rok Stanisław Krupa nie zobaczył nawet kawałka ziemi, a jedynie przez niewielką szparę u góry skrawek nieba.



Płk Jan Mazurkiewicz „Radosław” przy grobie brata Franciszka, w czasie Powstania Warszawskiego dowódcy Batalionu „Miotła”. Zdjęcie z albumu Melchiora Wańkowicza.

Po latach Anna Jakubowska „Paulinka” – którą również wówczas aresztowano – sama dziwiła się swojej naiwności. Bo wtedy nie mogła uwierzyć, że ktoś w polskim mundurze oskarża ją o współpracę z Niemcami. Ją – żołnierza Armii Krajowej? Powstańca warszawskiego? Trudno wyobrazić sobie większy absurd. Przecież hitlerowcy byli dla niej największym wrogiem.

Próbowała więc grzecznie tłumaczyć, że to oskarżenie musi być jakimś nieporozumieniem. Ale śledczy systematycznie niszczyli ją psychicznie, próbując odebrać wiarę we wszystko, co dotąd uważała za najważniejsze.

– Jeden z zarzutów dotyczył przechowywanej broni – wspominała Anna Jakubowska. – Zakopano ją jeszcze przed ujawnieniem. Nie bardzo już się nadawała do użytku. Była raczej symbolem naszej niezależności.

Agnieszka Pietrzak opisuje, że aresztowania wśród „zośkowców” miały na celu zdyskredytowanie pułkownika Jana Mazurkiewicza „Radosława” i żołnierzy jego zgrupowania^[19]. Tak jak kilka lat później „Anodę”, również „Radosława” aresztowano w szczególnym dniu. Ubecy przyszli po pułkownika w pierwszą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.



Fotografia z Powstania Warszawskiego. Żołnierze Batalionu „Parasol” na barykadzie na ulicy Siennej.

„Radosława” – gdy wydał apel do akowców o ujawnienie się – zwolniono z więzienia. Ponownie aresztowano go w lutym 1949 roku, miesiąc po śmierci Janka. W rezultacie tego zatrzymania skazano go na dożywotnie więzienie.

Aresztowania i procesy, które zaczęły się od uwięzienia „Anody”, nazwano po latach „sprawą »Zośki«”. Więziono żołnierzy batalionu „Zośka”, ale też batalionu „Parasol”. Podejrzanymi byli więc po prostu żołnierze zgrupowania „Radosław”.

„Władze bezpieczeństwa widziały sprawę żołnierzy Batalionu »Zośka« nie jako sprawę odrębną, lecz jako część sprawy całego zgrupowania – pisze

Agnieszka Pietrzak. – Do takiego wniosku prowadzi analiza pytań zadawanych przez śledczych, w których wyraźne jest dążenie do potwierdzenia istnienia organizacji konspiracyjnej kierowanej przez Jana Mazurkiewicza, działającej nieprzerwanie od 1945 r. W mniemaniu śledczych ujawnienie we wrześniu było środkiem, który miał odwrócić uwagę władz od ludzi ze Zgrupowania »Radosław«, a wśród nich od żołnierzy Batalionu »Zośka«, i umożliwić im kontynuowanie działalności antypaństwowej. Jej przejawami miała być akcja społeczna prowadzona przez Mazurkiewicza, a także spotkania i kontakty towarzyskie pomiędzy byłymi żołnierzami zgrupowania. Śledczy swoimi pytaniami próbowali uzyskać potwierdzenie tezy, a jednocześnie dowód, iż antypaństwową działalnością kierował Mazurkiewicz”^[20].



Fotografia z Powstania Warszawskiego. Stare Miasto. Grupa powstańców ze zgrupowania „Radosław”

Działania bezpieki były dość chaotyczne. Agnieszka Pietrzak zbadała, że w latach 1948–1950 aresztowano 32 żołnierzy batalionu „Zośka”, w tym dwie kobiety. Skazano 28 osób. Nie do końca wiadomo, dlaczego represje dotknęły akurat te osoby. Sporo spośród nich uczestniczyło w tak zwanej drugiej konspiracji, ale niektórzy nie trafili do więzienia. Za kratami za to znaleźli się również tacy, którzy byli przeciwni powojennemu podziemiu.

Najwięcej osób uwięziono, kierując się tropem... narciarskim. Wielu

spośród zatrzymanych to bowiem osoby, które po wojnie uczestniczyły w zimowiskach „zośkowców”.

To były zwykłe wyjazdy na narty. Ale ubecy, szukając wszędzie spisków, uznali, że zimowiska to przykrywka dla nielegalnej działalności. I mieli niezbity argument: przecież w Zakopanem narciarzy odwiedził Jan Mazurkiewicz „Radosław”. I to razem ze swoją łączniczką „Irmą”. Czyli żoną Marią.

Nigdy nie przeprowadzono pokazowego procesu żołnierzy „Zośki”. Choć logika działania ówczesnej władzy powinna do niego doprowadzić.

„Zośkowców” skazywano w procesach „kiblowych”. Salą rozpraw była jedna z więziennych cel. „Miejsce jest tylko jedno, na kiblu, czyli na muszli klozetowej, na szczęście przykrytej kawałkiem deski”^[21] – opisywał Andrzej Wolski „Jur”^[22] specyficzną „ławę oskarżonych”.



Aresztowania „Anody” i „zośkowców” zbiegły się w czasie z jeszcze jedną akcją władz: niszczeniem harcerstwa.

Po II wojnie światowej Związek Harcerstwa Polskiego, z którym od młodości, a potem w Szarych Szeregach, związany był Janek, odrodził się, ale z roku na rok nasiąkał komunistycznymi wpływami.

Jesienią 1948 roku, niedługo przed aresztowaniem „Anody”, ZHP niemal utracił swój pierwotny charakter. Odwoływano przedwojennych instruktorów. Mianowano na ich miejsce tych, którzy wywodzili się z komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. W grudniu 1948 roku – w miesiącu, kiedy zatrzymano Janka – podczas narady komendantów chorągwi zerwano z tradycją skautową i postanowiono odejść od metody harcerskiej. Wkrótce zakazano noszenia krzyży harcerskich i lilijek. Zamiast nich wprowadzono tak zwaną czuwajkę – znaczek z płomieniami, kłosem i kółkiem zębatym. Zerwano z harcerskimi mundurami.



1939 rok – harcerze w czasie kampanii wrześniowej pomagali ludności cywilnej.



Hejnalista krakowskiej drużyny harcerskiej podczas święta harcerzy w Krakowie na Rynku Głównym, 1936 r.

W 1949 roku, kilka miesięcy po aresztowaniach „zośkowców”, władze skonfiskowały sztandar 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Słynnej „Pomarańczarni”, do której należał „Anoda” i pozostali żołnierze Szarych

Szeregów. Razem z innymi chorągwiami spalono go prawdopodobnie w 1951 roku.

Palacz centralnego ogrzewania, który był przy tym obecny, wyciął jednak środek sztandaru z krzyżem harcerskim. Przechował go i oddał harcerzom wiele lat później, w roku 1982.



Od Wigilii 1948 roku do początku marca 1949 roku rodzice Janka nie wiedzieli, co się dzieje z synem.

Żyli zapewne nadzieją. Szukali jakichkolwiek śladów. Ponad dwa miesiące od aresztowania – i niemal dwa od śmierci „Anody” – nadeszło suche urzędowe pismo:

„Warszawa, dnia 1 marca 1949 r.

Ob. Kazimierz Rodowicz

Warszawa ul. Lwowska 7 m. 10

Zawiadamiam, że syn Obywatela Jan Rodowicz, zatrzymany w dniu 24 XII 1948 r. przez przedstawicieli Władz Bezpieczeństwa Publicznego pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 86 KKWP, w dniu 7 stycznia 1949 r. popełnił samobójstwo, wyskakując z okna podczas przeprowadzania go do aresztu. Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej udzielonej przez lekarza ppłk. Kazimierza Rusiniaka zgon nastąpił w chwilę po wypadku. Sekcja zwłok przeprowadzona w dniu 8 I 1949 r. przez dr. Zygmunta Rusaczewskiego wykazała, iż przyczyną zgonu był krwotok z tętnicy głównej.



Tadeusz Zawadzki „Zośka”, harcmistrz, podporucznik AK, od 1933 r. działał w ZHP.

Zwłoki Jana Rodowicza pochowane zostały w dniu 12 I 1949 r. na I Cmentarzu Miejskim na Powązkach w Warszawie.

Proszę o osobiste przybycie do Naczelnej Prokuratury Wojskowej względnie o skierowanie osoby posiadającej urzędowo potwierdzone pełnomocnictwo, celem odebrania depozytu, pozostałego po zmarłym Janie Rodowiczu oraz pieniędzy, zakwestionowanych podczas rewizji domowej.

Szef Wydziału Nadzoru Prokuratorskiego
Nad Śledztwem w Sprawach Szczególnych
Dytry Mieczysław, mjr”

Wtedy po raz pierwszy pojawiła się oficjalna wersja śmierci Janka: samobójstwo.

Rodziców potraktowano – jak na tamte czasy – dość przyzwoicie. Wiele osób zamordowanych na mocy wyroków sądowych pogrzebano w anonimowych mogiłach. Rodziny miały nigdy nie dowiedzieć się, gdzie spoczywają ich bliscy. Sprawa „Anody” była więc zaskakującym wyjątkiem.

Wieczorem 2 marca matka Janka poszła na cmentarz z narzeczoną „Anody” Alicją Arens i jego matką chrzestną Zofią z Rodowiczów Iwanicką. Dozorca cmentarny zajrzał do swojej księgi i powiedział:

– On jest u mnie zapisany jako NN.

Ale znał numer grobu. Podeszli do kwatery.

„Mogła była w środku cmentarza w drugim rzędzie, pokryta jak cały cmentarz całunem śniegu” – zapisała po latach, w 1968 roku, matka. Zapalili światła i odmówili modlitwę.

Matka na osobności zapytała kobietę pracującą w cmentarnym biurze, czy pamięta pogrzeb syna, który odbył się 12 stycznia. Kobieta odpowiedziała, że wszystkim utkwiły w pamięci te szczególne wydarzenia.

Tamtego styczniowego wieczoru kilku młodych ludzi z Urzędu Bezpieczeństwa przywiozło do zakładu pogrzebowego ciężarówką zawinięte w koc ciało. Kupili trumnę. Sami złożyli w niej zwłoki. Kazali natychmiast zawieźć na cmentarz komunalny i pochować jako NN.



Jan Rodowicz z Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

Ale kierownik zakładu pogrzebowego znał „Anodę”. Razem ekshumowali powstańców w 1945 roku. Zapisał więc na kartce numer jego grobu. Papier polecił pracownikom trzymać na wierzchu. I przekazać natychmiast rodzinie, gdyby ta się zgłosiła.

„Sprawa wyglądała zagadkowo i widać było, że wśród ludzi, którzy zakatowali naszego syna, był ktoś, kto pomyślał z sercem o nas i umożliwił odszukanie grobu, za co zawsze będę mu wdzięczna!” – zanotowała matka.

Równie zaskakujące było to, że bez problemu zaplanowano i przeprowadzono przeniesienie ciała. Szczegóły uzgodniono tylko z biurem cmentarnym, nie informując o niczym UB. Ekshumację wyznaczono na 16 marca.

Matka opisała syna takiego, jakiego widziała już po raz ostatni, podczas ekshumacji: „Był ubrany w swe wojskowe angielskie ubranie, zapięte agrafką pod szyją, ułożony starannie, uczesany, nawet kanty spodni były wyrównane”.

„Anodę” przeniesiono do rodzinnego grobu. Kiedy żegnali Janka, matka przypięła mu order Virtuti Militari i Krzyż Walecznych.

Alicja Arens, powojenna narzeczona, również uczestniczyła w tej ekshumacji i przenosinach zwłok do rodzinnego grobowca. Opowiadała, jak zapamiętała Janka: – Wyglądał jak żywy człowiek, który śpi. Ładnie opalona twarz. Głowa była przechylona na lewo, nie mieścił się w białej trumnie z prostym wiekiem. Ręce wciąż były piękne, złożone i przyciśnięte do lewego boku.

Ciało było praktycznie niezmienione. Twarz i dłonie nie nosiły śladów zewnętrznych obrażeń. Dało się jedynie zobaczyć odgniecenie w rejonie prawej strony głowy. Być może spowodowane tym, że trumna była za mała.

Zwłoki były zmarznięte. Panowała ostra zima. Kilkadziesiąt lat później, gdy wszczęto śledztwo w sprawie śmierci „Anody”, te okoliczności nabrały szczególnego znaczenia.



Kilka tygodni później rodzice Janka gościli u doktora Konrada Okolskiego, dyrektora Szpitala Dzieciątka Jezus. To była osoba bliska rodzinie. Ojciec Konrada Okolskiego „Kuby”, który dowodził w batalionie „Zośka” plutonem „Felek”. „Anoda” był jego zastępcą. Łączyła ich wielka przyjaźń. „Kuba” zginął podczas powstania.

Dwie rodziny, które straciły synów (Okolscy stracili jednego, Rodowiczowie dwóch), musiała łączyć szczególna więź. Czy doktor Okolski pozwoliłby sobie na przekazanie Rodowiczom informacji, której nie byłby pewny? Dlatego to, co im opowiedział, wydało mi się niezwykle wiarygodne.

Na tym spotkaniu doktor Okolski poprosił na bok ojca „Anody”. Powiedział, że samobójstwo syna jest zapewne dla nich, praktykujących katolików, szczególnie ciężkim przeżyciem. Postanowił więc przynieść im ulgę, ofiarować dowód zaufania i przyjaźni. Złamać słowo honoru, które dał profesorowi Wiktorowi Grzywo-Dąbrowskiemu, kierownikowi Zakładu Medycyny Sądowej w Warszawie.

Doktor Okolski powiedział, że po śmierci „Anody” wykonano sekcję zwłok. Wykazała, że zamęczono go w śledztwie. Badanie stwierdziło, że Janek miał wgniecioną klatkę piersiową. Ale w protokole sekcji o tym nie wspomniano. Zapisano, że przyczyną śmierci był krwotok z tętnicy spowodowany upadkiem z okna.

Profesor Grzywo-Dąbrowski odmówił podpisania dokumentu. Spotkały go z tego powodu przykrości.

Doktor Okolski tajemnicę powierzył nie tylko rodzicom „Anody”. Opowiedział o sekcji i jej ustaleniach również swojej żonie, córce i zięciowi. Zmarł w 1952 roku.

Kilka lat później matka „Anody” – ojciec już nie żył – uzyskała pisemne potwierdzenie tej relacji. Zanotował je zięć doktora Okolskiego:

„Warszawa, dnia 29 lipca 1959 r.

Wielce Szanowna i Kochana Pani Profesorowo!

Wiem, że od lat odbiera Pani spokój myśl, że Syn Jej Janek mógł odebrać sobie życie na skutek przejść więziennych. Otóż nieżyjący Ojciec mój Konrad Okolski stanowczo stwierdził swojego czasu wobec mnie i Matki mojej,

która tak serdecznie i głęboko przejęta była losem Syna Pani i tak żywo współczuła Jej cierpieniom z tego powodu, oraz wobec męża mojego, że słyszał z ust wiarygodnych, iż śp. Jan Rodowicz nie odebrał sobie życia, lecz że mu je odebrano, i że fakt ten nie ulega wątpliwości. Ojciec mój nie powiedział, z czyich ust otrzymał tę wiadomość. Myślę, że jako dyrektor szpitala związanego z kliniką, na której terenie dokonano oględzin zwłok, miał dostęp do prawdy o warunkach i przyczynach śmierci Syna Pani.

Proszę przyjmując wyrazy wysokiego poważania ode mnie i od męża mojego”

Pod spodem odręczny podpis: Bohdan Kaczorowski. I dopisek: „mąż Haliny Okolskiej. Halina leżała w szpitalu przed śmiercią, krępowałem się prosić o podpis. Podpisał mąż”



Po 1956 roku w Polsce nastąpiła polityczna odwilż. Uwolniono wielu skazanych wcześniej akowców. Dla odmiany skazano nawet kilku ubeków. Wśród nich dyrektora Departamentu Śledczego Józefa Różańskiego.

Matka „Anody” zaczęła wtedy badać okoliczności śmierci syna. Poszła z pułkownikiem Janem Mazurkiewiczem „Radosławem” do adwokata. Niestety, ten stwierdził, że nie uda się przekonać żadnego prokuratora, aby wszczął postępowanie na podstawie zeznań o rozmowie z nieżyjącym już człowiekiem, czyli doktorem Konradem Okolskim. Nawet jeśli tę wersję potwierdzi córka Okolskiego. Wciąż były to jedynie pośrednie relacje. Przecież doktor Okolski nie uczestniczył nawet w sekcji zwłok, lecz jedynie – jak twierdził – słyszał o niej.

Kilka lat później, na początku lat sześćdziesiątych, matka „Anody” zapytała o to sama profesora Grzywo-Dąbrowskiego. Spotkali się u znajomych, profesor przed wojną kolegował się z jej bratem, generałem Władysławem Bortnowskim.

Profesor stwierdził jednak, że niczego nie pamięta. Obiecał sprawdzić w dokumentach Zakładu Medycyny Sądowej. Kilka dni później przekazał telefonicznie informację, że nie natrafił w nich na personalia „Anody”

„Sądzę, że uznał, iż nie może mi jeszcze tajemnicy służbowej ujawnić” – zapisała matka.

Wciąż prawdopodobna wydawała się inna wersja śmierci. Podczas rodzinnej ekshumacji „Anody” lekarka Anna Rodowicz trafiła na trop, który wskazywał, że Janek nie popełnił samobójstwa. I nie został zamęczony w śledztwie. Choć powód zgonu był równie tragiczny.

Gdy Anna Rodowicz dotknęła głowy „Anody”, wyczuła pewien ślad.



Józef Różański – jeden z najbardziej bezwzględnych śledczych NKWD i MBP. Od jego nazwiska powstał termin „różańszczyzna”, czyli preparowanie dowodów i fingowanie procesów sądowych w czasach stalinowskich.

ROZDZIAŁ II

Pomarańczowy styl, słynny na sto mil

Danuta Winiarska^[23], łączniczka i sanitariuszka w Szarych Szeregach, zapamiętała^[24], że Janek bardzo się liczył ze zdaniem rodziców. Mocno związany był zwłaszcza z matką, Zofią. Mówił o niej zawsze z szacunkiem i miłością. Czasami prosił, by jej o czymś nie wspominać, żeby się nie martwiła. Rzadziej opowiadał o ojcu.

„Poznaliśmy się z Kazimierzem Rodowiczem w aurze romantyzmu... – opowiadała matka Janka Barbarze Wachowicz. Reporterka towarzyszyła jej przez wiele lat, budując więź znacznie silniejszą niż zwykłe relacje dziennikarza z bohaterem tekstów. – Przyjechał do Żytomierza polski teatr. Ze sceny płynęły strofy Juliusza Słowackiego –

»Polsko! O Polsko, gdy już nieprzytomni

Będziemy, wspomnij Ty o nas, o wspomnij!...«.

Wtedy wszedł do naszej łóżki mój brat Władysław, wiodąc wysokiego młodzieńca, który szarmancko pocałował mnie w rękę... Spłonęłam.

– Ależ ja jestem jeszcze panną!

– Marzyłbym, żeby nią pani wkrótce być przestała! – usłyszałam odpowiedź, która wydała mi się wstrząsająco śmiała! I okazało się, że ten arogancki śmiałek miał rację.

Pobraliśmy się w 1915 roku. Miałam 18 lat. Wokół szalała wojna, ewakuacja. Ale mieliśmy jeszcze tradycyjny ślub, ja w białej sukni, on we fraku. Tylko w kościele, wokół, było już bardzo dużo żałoby. Jak w tym wierszu Apolla^[25]:

»W Ukrainie jęczą spiże
A niewiasty całe w kirze«^[26].



Utrwalone w piśmie dzieje rodu zaczynają się w XV wieku na Litwie. Z roku 1491 pochodzi pierwszy dokument dotyczący przodka, który nazywał się Woytek Rodajtis. Rodzina do dziś mieszka po obu stronach granicy, a jedną z dalekich krewnych Janka jest piosenkarka Maryla Rodowicz. W 2009 roku razem z rodziną w Polsce i na Litwie finansowała remont ołtarza świętego Dydaka w kościele bernardynów w Wilnie.

Dziadek ze strony ojca Teodor Rodowicz jako osiemnastolatek walczył w powstaniu 1863 roku w oddziale słynnego księdza Antoniego Mackiewicza, który wzniecił rewoltę na Litwie.

Zofia Iwanicka, ciotka „Anody”, wspominała: „Trudne było życie powstańców. Ukrywali się w lasach, unikając spotkań z większymi oddziałami wojsk rosyjskich. Nieraz było głodno i chłodno. Dokuczały upały i słoty, brak dostatecznego wyposażenia wojskowego, wreszcie choroby. Teodor zapadł na zdrowiu i musiał pozostać w jakimś majątku, a partia jego poszła dalej”^[27].



Pocztówka wydana we Lwowie przedstawiająca powstańców styczniowych, wśród nich ks. Antoni Mackiewicz, 1905 r.



„W drodze na Sybir”, Artur Grottger.

Dziadka uwięziono na wiele lat w Petersburgu. Nigdy go nie skazano, bo nie udało się udowodnić mu udziału w powstaniu. Świadczyć miał

przeciw niemu pewien chłop, który również należał do oddziału księdza Mackiewicza. Po schwytaniu wydawał Rosjanom rebeliantów, by zasłużyć na zwolnienie. Teodor na jego widok struchlał – chłop go znał dobrze. A jednak ów człowiek zaprzeczył, by spotkał Rodowicza w oddziale. Później powiedział mu:

„Jakże mógłbym wydać swego dobroczyńcę? Czy panicz pamięta, jak kiedyś, jesienią, padał deszcz, błoto było okrutne, a ja miałem nogi tak pokaleczone i obolałe, że już iść nie mogłem piechotą? Wówczas panicz zsiadł ze swego konia i mnie na niego posadził, a sam szedł obok tą trudną drogą”

„Tak oto został wynagrodzony dobry uczynek miłosierdzia względem bliźniego” – zapisała Zofia Iwanicka.

Głęboka religijność była – obok patriotyzmu – drugą cechą rodu Rodowiczów.

Powstańcze pieśni śpiewane w rodzinnym domu wspominała także matka Janka – Zofia z Bortnowskich. Jej rodzice Józef i Zofia z Kałużyńskich mieszkali w Żytomierzu. Babka Janka, która była śpiewaczką, stworzyła tam polski chór i tajne Towarzystwo „Oświata”



Janek Rodowicz przyszedł na świat 7 marca 1923 roku w Warszawie.

Ojciec, Kazimierz Rodowicz – ten „arogancki śmiałek” – był profesorem na Politechnice Warszawskiej, cenionym specjalistą inżynierii wodnej, wykładowcą na Wydziale Budownictwa Wodnego. Był też dyrektorem w Głównej Dyrekcji Dróg Wodnych. Pracował przy budowie portu w Gdyni. Zaprojektował kilka przystani rzecznych. Był autorem koncepcji regulacji Wisły.

Matka, Zofia Rodowicz, była siostrą generała Władysława Bortnowskiego. Pewnie to on wywarł największy wpływ na Janka. Chłopak uwielbiał słuchać jego wojskowych opowieści.

A generał miał co wspominać. Władysław Bortnowski urodził się w 1891 roku w Radomiu. Studiował medycynę w Moskwie. Potem przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński. Po wybuchu I wojny światowej zaciągnął się

do Legionów Polskich. W czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku był szefem sztabu 3. Armii. Po wojnie studiował w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu, a w 1931 roku prezydent Ignacy Mościcki mianował go generałem brygady.



Dworzec morski w Gdyni, okres międzywojenny.

W 1938 roku dowodził polskimi wojskami, które wkroczyły do Zaolzia. Polska traktowała tę operację jako wyzwolenie własnych ziem. Dwadzieścia lat wcześniej słabe po odzyskaniu niepodległości i walczące z bolszewikami państwo musiało je oddać Czechosłowacji. Światowa opinia publiczna jednak zapamiętała, że Polska odzyskała te tereny tuż po zajęciu Sudetów przez Hitlera. I po układzie monachijskim, który bez udziału władz Czechosłowacji usankcjonował rozbiór sporej części tego kraju. Ale Polacy – i pewnie Janek – cieszyli się z przywrócenia ziem, które uważali za polskie.



Gen. Władysław Bortnowski podczas odsłonięcia pomnika w Gniewkowie, maj 1939 r.



Gen. Władysław Bortnowski wita się z mieszkańcami Jabłonkowa na Zaolziu. Obok gen. Tadeusz Malinowski, październik 1938 r.

Rok później, we wrześniu 1939 roku, generał Bortnowski dowodził Armią „Pomorze”. Walczył z Niemcami w Borach Tucholskich, pod Bydgoszczą

i Nakłem. Pod koniec września trafił do niewoli, z której w kwietniu 1945 roku uwolniły go wojska amerykańskie. Został na emigracji najpierw w Wielkiej Brytanii, potem w Stanach Zjednoczonych. Przez wiele lat działał w amerykańskim Instytucie Józefa Piłsudskiego. Był nawet jego prezesem.

Choć Janek Rodowicz chętnie wsłuchiwał się w opowieści Władysława Bortnowskiego, sam nie wiązał przyszłości z wojskiem. Żołnierzem został za to, urodzony jeszcze w Żytomierzu, starszy o siedem lat brat Zygmunt. Po maturze w 1933 roku Zygmunt zaczął służbę we Włodzimierzu Wołyńskim, w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii, która nosiła imię Marcina Kąskiego, siedemnastowiecznego generała artylerii koronnej. Potem służył w 7. Dywizjonie Artylerii Konnej w Poznaniu. W 1934 roku dokonał jednak zaskakującego – jak na zawodowego wojskowego – wyboru i zaczął studia w warszawskiej Wyższej Szkole Handlowej. Poszedł na nie za radą wuja Władysława Bortnowskiego, który uważał, że dodatkowe wykształcenie przyda się podczas służby wojskowej. Tuż przed wojną Zygmunt uczył się w toruńskiej Szkole Podchorążych Artylerii.



Zajęcie Zaolzia – wkroczenie wojsk polskich do Czeskiego Cieszyna.

Matka Janka wspominała, że synowie nigdy nie byli świadkami najmniejszej nawet kłótni w domu. A ojciec był dla nich przyjacielem.

– Bardzo lubiłam przychodzić do stryjostwa, często się widywaliśmy.

Atmosfera tego domu była rzeczywiście nadzwyczaj przyjemna – potwierdziła przed kamerą telewizyjną Krystyna Rodowicz, żona stryjecznego brata „Anody” Stanisława^[28]. – Janek wnosił szaloną żywiołowość swojego usposobienia, był kmicicowaty. Zygmunt spokojniejszy, bardziej zrównoważony. Obaj śliczni chłopcy. Obaj chodzili do gimnazjum Batorego. Ciocia Zońka była tam przewodniczącą koła matek.

Jak mógł wyglądać ten dom? Czy panowały w nim tak surowe zasady jak w rodzinie Władysława Rodowicza, który był bratem stryjecznym „Anody”, a jednocześnie równolatkiem Zygmunta? Władysław, opisując organizację „Sparta” – związek harcerski młodzieży akademickiej, do którego należał, pokazał, jak silnie na codzienne życie potrafiło wpływać harcerstwo:

„»Spartańskość« naszej organizacji miała specyficzny charakter. Zakaz picia i palenia papierosów to tylko zewnętrzny objaw narzuconych sobie rygorów. Dla wielu z nas była to zresztą kontynuacja domowych zwyczajów. W domu mego ojca nigdy nie był podawany alkohol, choć na imieniny 8 maja (babka moja była Stanisława, ojciec i brat Stanisław) przychodziło wielu gości. Jednego roku jednocześnie było ponad czterdzieści osób.



Uroczystość odsłonięcia popiersia Stefana Batorego na dziedzińcu gimnazjum jego imienia w Warszawie, wrzesień 1933 r.



Akademia w męskim Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie z okazji 100. rocznicy powstania „Pana Tadeusza”, 1934 r.

Rozumieliśmy zakaz picia i palenia na naszych zebraniach nie w kategoriach li tylko zdrowotnych, ale jako jeden z elementów walki z wadami narodowymi. Harcerskie tradycje założycieli obowiązywały nas wszystkich. Walkę z wadami narodowymi prowadzić mogli tylko ludzie trzeźwi”^[29].

W Warszawie rodzice Janka mieszkali najpierw przy ulicy Filtrowej 12, a rok przed wybuchem II wojny światowej przeprowadzili się w aleję Niepodległości 210, przy skrzyżowaniu z ulicą Wawelską.

Janek chodził najpierw do męskiej Prywatnej Szkoły Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej przy ulicy Klonowej 16. Na koniec szóstej klasy (na świadectwie z roku szkolnego 1933/1934^[30]) dostał oceny:

- z nauki religii – bardzo dobry,
- z jęz. polskiego – dobry,
- z rachunków z geometrią – dostateczny,
- z przyrodoznawstwa – dobry,
- z geografii i nauki o Polsce współczesnej – dobry,
- z historii – dobry,

z rysunków – bardzo dobry,
z zajęć praktycznych – dobry,
ze śpiewu – dobry,
z ćwiczeń cielesnych – dobry,
ze sprawowania się – bardzo dobry,
z pilności – dobry,
z uwagi – dobry,
wynik ogólny – dobry.



Widok na ulicę Filtrową w Warszawie, lata międzywojenne.

Na kolejnych cenzurkach pojawia się przedmiot nadobowiązkowy – rysunek. Janek dostaje z niego oceny bardzo dobre. Potem wśród znajomych zasłynie ponadprzeciętnymi zdolnościami plastycznymi, zwłaszcza znakomitą kreską.

Ale gdy przegląda się jego zapiski, widać, że robił błędy ortograficzne. Zdarzało mu się napisać „zdaża”.



Wraz ze szkołą dla Janka zaczęła się najważniejsza życiowa przygoda – harcerstwo. Już w Szkole Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej wstąpił do 21. Warszawskiej Drużyny Harcerzy imienia generała Ignacego Prądzyńskiego, a gdy w roku 1935 zaczął uczyć się w Państwowym Gimnazjum i Liceum imienia Stefana Batorego (tu wiosną 1939 roku zdał małą maturę), trafił do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej imienia Bolesława Chrobrego. Słynnej „Pomarańczarni”

„W jednej z dzielnic warszawskich było środowisko młodzieży harcerskiej, które umiało stworzyć atmosferę i warunki, w jakich młodzież czuła się dobrze, pragnęła kształcić swe charaktery, sama sobie stawiała cele i sama czyniła wszystko, co w jej mocy, by te cele zrealizować”^[31] – tak zaczął Aleksander Kamiński swoją słynną książkę „Kamienie na szaniec”. To wydana jeszcze podczas wojny, w podziemiu, opowieść o harcerzach z drużyny, do której wstąpił Janek.

Przed wybuchem wojny w stopniu wywiadowcy przewodził zastępowi „Wyder” w II plutonie drużyny młodszych harcerzy. Harcerstwo stało się jego – mówiąc dzisiejszym językiem – stylem życia. Praca nad swoim charakterem, hartowanie ciała i ducha były wówczas czymś tak oczywistym jak dziś zarabianie pieniędzy. Harcerze z „Pomarańczarni” śpiewali:

„Cała Warszawa Dwudziestą Trzecią zna
Bo to drużyna fest!
Od Batorowskich chwil
Pomarańczowy styl
Jest słynny na sto mil!”

„Pomarańczarnia” – choć wówczas jeszcze nie przyjęła tej barwy – powstała w 1920 roku. Na patrona obrano króla Bolesława I Chrobrego. Pomarańczowy kolor chusty zatwierdzono na obozie w 1929 roku. Od tej pory stał się charakterystycznym elementem umundurowania.

W swoim szczepie zajmowali się kajakarstwem, krótkofalarstwem, wydawali pismo „Gniazdo”. Wystawili nawet własną operę „La Scautia”. Muzykę skomponował były harcerz „Pomarańczarni” Witold Lutosławski.

W końcu 1938 roku nad harcerzami zapanował „Zeus”. To pseudonim komendanta szczepu hm. Lechosława Domańskiego.

Z Gimnazjum i Liceum imienia Stefana Batorego wywodzili się późniejsi bohaterowie polskiego wojennego podziemia: Jan Bytnar „Rudy”, Maciej Aleksy Dawidowski „Alek” i Tadeusz Zawadzki „Zośka”, od którego pseudonimu pochodziła nazwa batalionu, w którym walczył Janek.

„Warszawska elita, inteligencki i zamożny dom. To synowie z takich rodzin pójda na barykady za 20 lat walczyć o wolną Warszawę”^[32] – napisał Jarosław Wróblewski w książce „Zośkowiec”



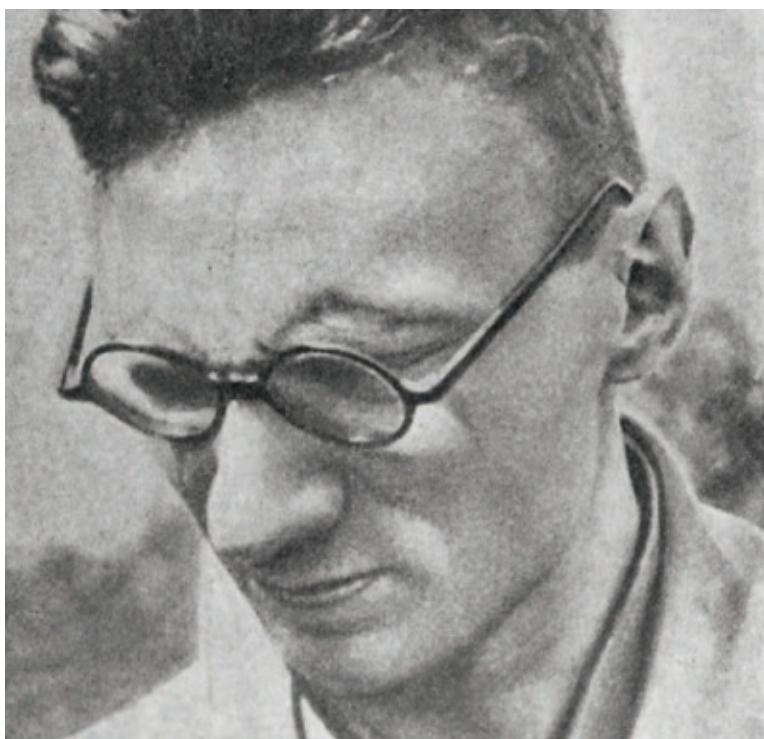
Harc mistrz Władysław Olędzki, nauczyciel wychowania fizycznego w Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie.



Harcerska drużyna żeglarska rusza kajakami na rzekę, 1933 r.



Harcerze nad mapą, obóz Związku Harcerstwa Polskiego w Nowym Sączu, 1933 r.



Harc mistrz Lechosław Domański, członek Komendy Głównej Szarych Szeregów „Pasiaki”. Aresztowany i zamordowany przez NKWD prawdopodobnie w 1941 r. w Mińsku.

Ale na razie żyli w miarę bez trosko.

„Poza nauką w szkole uczniowie i uczennice z tak zwanych dobrych domów pobierali lekcje tańca i wychowania towarzyskiego – opisywał Jarosław Wróblewski. – Lekcje te odbywały się w kompletach co niedziela w innym domu. Nauczycielami byli znani baletmistrzowie, a pianistami niewidomi ze Związku Niewidomych przy ul. Piwnej. Baletmistrzowie byli bardzo surowi – za niewłaściwe zachowanie, a w szczególności nieodpowiedni sposób siedzenia, udzielali surowej nagany. Na lekcjach byli obecni rodzice. Lekcje rozpoczynały się od ukłonu poszczególnych dziewcząt i chłopców w stronę rodziców, siedzących wokół salonu lekcyjnego. Błędnie wykonany ukłon musiał być powtarzany tak długo, dopóki nie był właściwy. Również wskazane było, aby młodzież szkolna pobierała lekcje muzyki, a zwłaszcza gry na pianinie lub innym instrumencie”^[33].

Już za chwilę ten szczęśliwy świat miał runąć, a „dobre domy” oddać swoich synów na śmierć.

ROZDZIAŁ III

Kępka zrudziałych włosów

Piąta trzydzieści rano przed bramą cmentarza Powązkowskiego. Ściskam dłoń Władysława Rodowicza, stryjecznego brata Janka. Idziemy do kwatery, w której spoczywa „Anoda”

Władysław Rodowicz, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych Auschwitz i Majdanka, ma 80 lat. Jest starszy od „Anody” o lat siedem.

Za pół godziny rozpocznie się zarządzonej przez prokuratora Stefana Szustakiewicza ekshumacja zwłok Janka.

Jest 27 kwietnia 1995 roku.

Kiedy w 1949 roku rodzice „Anody” przynosili jego zwłoki do rodzinnego grobowca, poprosili Annę Rodowicz, żonę Władysława, o udział w ekshumacji. Była lekarką, mogła więc dokonać oględzin zwłok.

– Obmacałam ręce, nogi – opowiadała mi w 1995 roku Anna Rodowicz. – Nic nie było złamane. Twarz zupełnie niezniszczona.

Ale znalazła wówczas tajemniczy ślad, który mógł wskazywać na śmierć od postrzału.

– Za lewym uchem była dziurka, jakby wlot od kuli – wspominała. – Na szyi zastygła strużka krwi. Może tej krwi wcześniej było więcej, ale obmyli i potem się tylko sączyła.

Alicja Arens, powojenna narzeczona „Anody”, która również uczestniczyła w ekshumacji, przedstawiała podobny powód śmierci: – Nie widziałam wlotu po kuli, ale pamiętam, że wtedy mówiono o postrzale w kark.

Czy po 46 latach można to sprawdzić? Tak.

Kilka tygodni wcześniej, 5 kwietnia 1995 roku, prokurator Stefan Szustakiewicz podpisał zarządzenie o ekshumacji: „W toku śledztwa

uprawdopodobniono, że przyczyną śmierci Jana Rodowicza mogły być rany postrzałowe bądź też obrażenia powstałe w wyniku tortur.

Zdaniem prof. dr. hab. med. Aleksandra Dubrzyńskiego, przyczyna zgonu może się pośrednio potwierdzić, o ile ustali się, czy np. są widoczne ślady złamań kości długich – ekshumacja może w takim przypadku spełnić pokładane nadzieje, z całą pewnością potwierdzi lub wykluczy postrzał głowy”.

Idziemy alejką do rodzinnego grobu. Władysław Rodowicz uchyla kapelusza, kiedy przechodzi obok grobu Grzegorza Przemyska i Barbary Sadowskiej.

Stajemy przed grobowcem Rodowiczów. Z drzewa zwisa biało-czerwona chorągiewka.

Prokurator obawia się, że po otwarciu grobu zobaczymy zmieszane cząstki z różnych trumien. Kilka dni temu Władysław Rodowicz przyniósł prokuratorowi pismo, które może pozwoli odróżnić kości „Anody”. To podanie Janka z 1945 roku w sprawie przyznania mu grupy inwalidzkiej (uznano, że utracił 81 procent zdrowia). Opisywał: „5 sierpnia 1944 r. zostałem ranny na ul. Okopowej pociskiem z pistoletu maszynowego w lewą nogę. Po opatrunku walczyłem dalej. 10 sierpnia na ul. Spokojnej doznałem przestrzału lewego płuca pociskiem z kb. 15 września na ul. Wilanowskiej zostałem ranny po raz trzeci z niemieckiej rusznicy ppanc. w lewe ramię i łopatkę, z potrzaskaniem kości. Następnego dnia w drodze do szpitala zostałem ranny odłamkami z granatnika w lewy łokieć i przy upadku z noszy doznałem złamania lewej ręki w łokciu”.

Obok „Anody” spoczywa jego brat Zygmunt, pseudonim „Katoda”. Spłonął podczas powstania. Najpierw został ciężko ranny. Potem Niemcy zbombardowali szpital na Chełmskiej, w którym leżał. Gdy po wojnie rodzina odnalazła jego szczątki, niemal całe kości były spalone. Przeniosła je do własnego grobu.

Ponad braćmi leżą rodzice. Przeżyli śmierć obu synów. Przeżyli ekshumacje obu.

A teraz szczątki całej rodziny zostaną poruszone.



Przy grobie jest już prokurator Szustakiewicz. Policjanci, robotnicy cmentarni. Koledzy „Anody” z batalionu „Zośka”

Robotnicy zaczynają zdejmować płytę, cicho tłucze się pierwsza lampka nagrobna.

Okazuje się, że grób nie jest podwójny, ale ma szerokość jednej trumny. Robotnicy wyciągają pierwszą trumnę, drewnianą, brązową. Widać jeszcze białą tkaninę, nieco tylko przybrudzoną ziemią. W tej trumnie leży Zofia Rodowicz, matka „Anody”. Zmarła w 1990 roku w wieku 95 lat. Mieszkała pod koniec życia w domu starców na Szubińskiego. Tak o nim zawsze mówiła – zapamiętała reporterka Barbara Wachowicz. Nie żaden dom spokojnej czy pogodnej starości. Żadnej złotej jesieni. Warunki były straszne – ciasnota i brud – opowiadali znajomi, którzy ją odwiedzali. Ale ona wciąż była pogodna.

Następna warstwa, ojciec „Anody”. Zmarł niedługo po śmierci synów, już w 1951 roku. Trumna rozpadła się, widać brązowe kości.

Władysław Rodowicz opowiada mi tymczasem: – Prosiłem prokuratora o wizję lokalną na Koszykowej. Janek był przecież wcześniej schorowany, a dwa tygodnie w piwnicach więzienia musiały też zrobić swoje.

Dlatego uważa, że Jankowi trudno byłoby popełnić samobójstwo. Musiałby przecież wskoczyć na parapet. Potem otworzyć okno. To pewnie było zamknięte, bo był środek zimy.

Krystyna Rodowicz jednak zapamiętała, że styczeń 1949 roku był wyjątkowo ciepły. Mrozy zaczęły się dopiero w marcu, kiedy ekshumowano „Anodę”

Sprawdziłem w archiwum Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, jaka była pogoda 7 stycznia 1949 roku, w dniu śmierci „Anody”. Temperatura minimalna wynosiła minus 1, maksymalna plus 1,6 stopnia. Nie zanotowano opadów, chmury były nisko, wiał słaby zachodni wiatr. Do późnych godzin popołudniowych unosiła się mgła.

Dziś siąpi deszcz. Ekshumacja trwa. Na cmentarz przyjeżdża profesor Bronisław Młodziejowski, specjalista w zakresie biologii kryminalistycznej,

który prowadził ekshumacje w Miednoje.

Przed dziewiątą profesor odnajduje na głębokości metra i dwudziestu centymetrów czaszkę ojca „Anody”. Kości są w fatalnym stanie, prawie wszystkie się rozpadły. Profesor obawia się, że szczątki Janka, który zmarł dwa lata wcześniej, też mogą być w złym stanie.

Zastanawia się, czy wówczas, w 1949 roku, sekcję zwłok przeprowadził ktoś spoza Zakładu Medycyny Sądowej.

– Mógł to robić tak zwany wolny strzelec, tacy lekarze się zdarzają – mówi. – Robią sekcje sądowo-lekarskie, nie bardzo są do tego predestynowani, ale je wykonują. Mógł to być też pracownik jakiegoś szpitala wojskowego. W warszawskim Zakładzie Medycyny Sądowej nie ma śladu po jakiegokolwiek dokumentacji dotyczącej tej sekcji.

To istotne stwierdzenie. Podważa wersję, że profesor Grzywo-Dąbrowski wykonał sekcję Janka. Chyba że przeprowadził ją potajemnie i nie pozostawił pisemnych śladów.

Robotnicy odkrywają kolejną warstwę. Okazuje się, że trumna „Anody” jest w stanie o wiele lepszym niż trumna jego ojca. Wygląda na nieuszkodzoną.

Robotnicy odślaniają wieko. Ukazują się znakomicie zachowane skórzane buty „Anody”. Kawałki czaszki, a na nich spora kępka zrudziałych włosów.

Profesor nagle znajduje odłupany kawałek kości. Oznajmia: – Na pewno przeprowadzono wtedy sekcję zwłok.

Znajduje odznaczenia, które matka „Anody” przypięła synowi do munduru. Kładzie na obmurowaniu grobu Krzyż Walecznych – za akcję pod Arsenalem. Virtuti Militari – za Powstanie Warszawskie. Odkrywa baretkę oznaczającą przyznanie drugiego Krzyża Walecznych – za wysadzenie przepustu kolejowego pod Rogoźnem.

Znajduje kość lewego ramienia.

– Była złamana – mówi profesor. Zwraca się do prokuratora: – Czy z akt wynika, że mogło to być wcześniejsze uszkodzenie?

Zamiast prokuratora odpowiada Stefan Sieradzki „Świst”^[34], kolega z „Zośki”: – To było w czasie powstania, rana od niemieckiej rusznicy.

Profesor dyktuje do protokołu: – Rozpoczęto wydobywanie kości

sklepienia i podstawy czaszki. Bardzo silny rozkład. Na kościach czaszki znajdowała się znacznej wielkości część czepca ze skórą owłosioną z dużą ilością włosów długości około dziesięciu, dwunastu centymetrów barwy rudawy blond. Kości klatki piersiowej i kręgosłupa, a także obręczy biodrowej praktycznie całkowicie zerodowane. W okolicach klatki piersiowej znajduje się figura Chrystusa ukrzyżowanego wykonana z metalu koloru białego. Na wysokości linii brodawkowej znaleziono fragment munduru wojskowego z metalowymi guzikami wojskowymi. Krzyż Walecznych z beleczką potwierdzająca fakt dwukrotnego odznaczenia tym krzyżem. Wydobyto także dwa buty skórzane w bardzo dobrym stanie, będące częścią umundurowania. Umieszczono w specjalnej skrzynce ekshumacyjnej.

Po ponad czterech godzinach od otwarcia grobu profesor ocenia stan kości:

– Jest gorzej niż źle. Nie ma mowy, żeby je dziś badać. Trzeba zabrać do zakładu i najpierw kilka dni suszyć.

Do małej trumienki zostają złożone wszystkie szczątki, jakie udało się wydobyć. Stanisław Sieradzki odchodzi na bok i składa ręce do modlitwy.

– Będziemy mieć, panie prokuratorze, nie lada kłopoty – ostrzega profesor Młodziejowski. – Bo proces rozkładu bardzo postępuje.

Profesor postanawia, że kości zostaną przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej. Za kilka dni odbędzie się badanie. Wtedy poznamy przyczynę śmierci „Anody”

ROZDZIAŁ IV

Twoją nagrodą będzie zwycięstwo

Kiedy wybuchła wojna, Janek miał zaledwie 16 lat. Był niemal dzieckiem.

We wrześniu 1939 roku zapewne spodziewał się zwycięstwa. Przecież w przedwojennych gazetach trąbiono o polskiej potędze. Lekceważono niemiecką armię.

„W wyniku tego wszystkiego zarówno społeczeństwo, jak i kierująca nim administracja, a nawet wojsko – były psychicznie gotowe do zwycięstw, lecz całkowicie nieprzygotowane do klęski – napisał Aleksander Kamiński w książce „Kamienie na szaniec” – A cóż dopiero do tak koszmarnych klęsk, jakie zgotował nam los”^[35].



Plakat propagandowy sławiący polską armię okresu międzywojennego.

Autor ostro podsumował przedwojenną propagandę i wychowanie narodowe. Napawano się polską potęgą i zwycięstwami. Wrogów lekceważono. Nawet w oficjalnych instrukcjach unikano słów „odwrót” i „ewakuacja”. Polacy byli przygotowani tylko na zwycięstwo.

Aleksander Kamiński pisał o tym, co musiało czuć pokolenie Janka:

„Dla Zośki, Rudego i Alka, dla ich kolegów, dla Warszawy, dla całego kraju cztery tygodnie września, rozpoczęte wśród uniesienia, szybko zastąpionego grozą, przelewać się zaczęły burzą – huraganem oraz koszmarami faktów i przeżyć. Nierzeczywistość tego, co się działo, wydawała się tak silna, że w mózgach nieustannie kołatało pytanie: czy to wszystko jest aby prawdą? Czy nie jest to tylko snem?”^[36].



Gazetka ścienna „Pamiętka z rewii i defilady 11 listopada 1936 r.”

Brat Janka Zygmunt Rodowicz walczył w obronie Warszawy.

– Napisał w pięknym liście z 1939 roku, kiedy młodego podchorążaka pochłonęła już zawierucha wojenna: „Jestem jednym z tych ogniw łańcucha, który tworzyli dziadowie, wujowie. Bądźcie dobrej myśli i wiercie w lepsze jutro tak jak ja” – opowiadała Barbara Wachowicz^[37].

Inny z Rodowiczów, Stanisław, podpułkownik rezerwy, po mobilizacji służył w dowództwie wojsk saperskich. Trafił pod Rzeszów. Pojmali go Sowieci. Ostatni raz odezwał się z Kozielska. Przesłał rodzinie kartkę. W 1943 roku z gazet w okupowanej Warszawie jego bliscy dowiedzieli się, że Niemcy odkryli masowe groby w Katyniu. Znaleźli w nich książeczkę wojskową Stanisława.



Zniszczenia w Warszawie we wrześniu 1939 r.

Po ataku Niemiec prezydent, rząd i naczelny wódz opuścili walczącą Polskę. Ruszyli w stronę Rumunii, aby przedostać się do Francji i stamtąd kierować dalszym oporem. W Rumunii zostali jednak internowani. Złożyli urzędy, przekazując władzę tym emigrantom, którzy dotarli do Paryża. Naczelnym wodzem w miejsce marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza został generał Władysław Sikorski.

Klęska wrześniowa spowodowała nie tylko personalną zmianę na najwyższych szczeblach władzy. Doprowadziła też do zmiany politycznej – w cień usunęła się sanacja, obwiniana przez Polaków za przegraną kampanię wrześniową. Władzę przejęli przedstawiciele przedwojennych partii opozycyjnych – Polskiej Partii Socjalistycznej (której nie należy mylić z komunistami), Polskiego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego i chrześcijańsko-demokratycznego Stronnictwa Pracy.

Zanim jeszcze skapitulowała Warszawa, powstało polskie zbrojne podziemie. Początkowo nazwane Służba Zwycięstwu Polski. Dowodzone przez generała Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Podczas okupacji używał nazwiska Michał Karcz i podawał się za lekarza ze Szpitala Wolskiego. W rzeczywistości ukończył trzy lata medycyny w latach 1911–1914, ale potem już zawsze był żołnierzem.



Marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły był naczelnym wodzem sił polskich w czasie wybuchu wojny. 17 września wydał rozkaz ewakuacji do Rumunii i przekroczył granicę polsko-rumuńską.



Generał Stefan Rowecki „Grot” dążył do scalenia wojskowych organizacji konspiracyjnych w jednolite wojsko podziemne.

Plan tworzenia konspiracji przedstawiono między innymi prezydentowi Warszawy Stefanowi Starzyńskiemu. Rozkaz o zawiązaniu jej przyszedł jeszcze od marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

W listopadzie 1939 roku w miejsce SZP rozkazem generała Władysława Sikorskiego utworzono Związek Walki Zbrojnej. Najpierw dowodzony był z Francji. Ale w połowie 1940 roku komendę nad ZWZ przejął przebywający w Polsce generał Stefan Rowecki. Walczył w Legionach Piłsudskiego. Podczas kampanii wrześniowej dowodził Warszawską Brygadą Pancerno-Motorową. Niemcy aresztowali go w połowie 1943 roku. Zamordowali w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen w sierpniu 1944 roku, w odwecie za wybuch Powstania Warszawskiego.

ZWZ w lutym 1942 roku przemianowano na Armię Krajową, której z czasem podporządkowało się niemal całe działające w okupowanej Polsce podziemie. Poza komunistami i częścią żołnierzy wywodzących się z Narodowych Sił Zbrojnych.



W czasie wojny Janek Rodowicz nadal uczył się. Ale w szkołach jawnie działających podczas okupacji nie mógł zdobyć wykształcenia ogólnego. – Między 1939 a 1940 rokiem nie było żadnych szkół gimnazjalnych, licealnych czy zawodowych, jedynie te dzisiaj nazywane podstawowymi – wspominał Wojciech Zygmunt Świątkowski „Korczak”^[38]. – W 1940 roku Niemcy zdecydowali się jednak otworzyć zawodówki, żeby mieć jakichś fachowców. Powstały: drogowa, miernicza, budowlanka, elektryczna^[39].

Janek uczył się na prywatnym kursie budowy maszyn i elektrotechniki. Zaprzyjaźnił się z mieszkającym niedaleko Józefem Saskim, zwanym Ziutkiem. Postanowili, że przydałoby się nauczyć obsługiwać, naprawiać, a może i budować radiowe aparaty nadawczo-odbiorcze. Poszli więc do Państwowej Szkoły Elektrycznej II stopnia. Janek skończył ją w 1943 roku z wynikiem dobrym.

– Janek praworęki, Ziutek leworęki, gdy projektowali kable, spotykali się z dwóch stron tablicy. Byli jak jedność w sprzeczności, różni absolutnie. Ale się przyjaźnili – wspominała Anna Saska, żona „Katody”^[40]. Ten pseudonim Józef Saski przyjął jako uzupełnienie do „Anody” Janka (pseudonimem „Katoda” posługiwał się też rodzony brat Janka Zygmunt Rodowicz).

Janek i Ziutek służyli razem w Szarych Szeregach. Józef Saski nie walczył jednak w Powstaniu Warszawskim. Zachorował na gruźlicę. Po wojnie został adwokatem. Zmarł w roku 1979.

Janek uczył się też na tajnych kompletach. Na zajęciach w mieszkaniu państwa Saskich, na rogu Filtrowej i alei Niepodległości, przerabiano kurs liceum. Wybrał profil matematyczno-przyrodniczy. W 1941 roku zrobił podziemną maturę.

Nauka to też była forma walki z okupantem.

– My to już mieliśmy w żyłach – wspominał Henryk Józef Kowal^[41]. – Praca to nasz obowiązek. Tak samo jak uczenie się. Uważaliśmy, że to jest potrzebne każdemu z nas i naszemu krajowi. Tak zostaliśmy wychowani w szkole i w domu. A potem również w czasie konspiracyjnych akcji^[42].



Pod koniec września 1939 roku Związek Harcerstwa Polskiego przekształcił się w podziemne Szare Szeregi. Janek wstąpił do organizacji. Jak można było się przyłączyć?

Anna Borkiewicz-Celińska zapamiętała, że zazwyczaj po prostu przychodził ktoś i pytał: „Chcesz należeć do konspiracji?”^[43]. – Do mnie jesienią 1939 roku przyszedł przedwojenny kolega, zaproponował mi funkcję jego łączniczki – opowiadała^[44]. – Okazało się, że już działała konspiracja. Odżyłam. Bo po kapitulacji Warszawy nie chciało mi się żyć. Myślałam: życie jest do niczego, nic mnie już nie obchodzi.

Z katechizmu Szarych Szeregów:

„Jestem żołnierzem Polski walczącej z barbarzyńskim najeźdźcą.

Życiem moim: Polska cierpiąca i walcząca. Wiarą moją: Polska zwycięska i tryumfująca.

Żołnierska moja służba spełnia się przez bezwzględny opór wobec poczynań wroga.

Przy spełnianiu służby okazywać będę męską twardość i niezłomną wierność Sprawie.

Całym życiem okazuję najeźdźcy swą wrogość. Rodakom niosę braterską pomoc, przyjaźń i serce.



Młodość swą uratuję wbrew zakusom wroga, chcącego ją wyjąłować i zmarnować.

W tym celu ducha swego kształtować będę na narzędzie Wielkiej i Dobrej Sprawy Ojczystej, będę prawy, dobry i silny.

Umysł swój będę kształcił i ćwiczył, by myśl polska bogaciła się i rozwijała, bym w przyszłości zawodową swą pracą jak najlepiej służył dobru Ojczyzny.

Walczyć będę nieugięcie o swą dzielność fizyczną, by Naród mój uratował się od chęłactwa, a godzina Przełomu zastała mnie silnym i mężnym.

Bogiem zbrojny prawom powyższym zaprzysięgam wierność i ich apostołstwo wśród wszystkich młodych Polaków”

Komentarz do Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego Szarych Szeregów:

„Mam stać na straży honoru Polski. Obca mi jest wszelka podłość i krętactwo. Nie ugnę się wobec przemocy. Nie sprowadzi mnie z drogi ani groźba, ani żądza sławy, ani zysk...”



Szare Szeregi przejęły przedwojenną organizację harcerstwa, ale posługiwały się kryptonimami. Główna Kwatera to była „pasieka”, chorągwie – „ule”, hufce – „roje”, drużyny – „rodziny”, zastępy – „pszczoły”.

Najmłodszy, dwunasto-czternastolatki należeli do drużyn „Zawiszy”. Nie uczestniczyli bezpośrednio w walce przeciwko Niemcom. Mieli koncentrować się na nauce. Organizowali zbiórki w mieszkaniach i lasach. Szkolili się do pełnienia służb pomocniczych – ratownictwa, regulacji ruchu, łączności. To oni utworzyli podczas Powstania Warszawskiego Harcerską Poczta Polową. „Nazywano ich zwiastunami radości” – wspominał Stanisław Broniewski „Orsza”. Dzielnie zapewniali łączność pomiędzy cywilami (bo powstańcy mieli swoje służby, które przносиły meldunki i rozkazy między oddziałami). Wielu harcerzy z Poczty Polowej zginęło.

Najstarsi – ci od osiemnastego roku życia – tworzyli Grupy Szturmowe. Mogli już nosić broń. Uczestniczyli w akcjach bojowych. Wykolejali

niemieckie pociągi, wysadzali mosty, odbijali więźniów.

Konspiratorzy przysięgali: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej kładę rękę na ten święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam być wiernym Ojczyźnie mojej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary z mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało”^[45].

Niesamowita była sceneria, w której przystępowano do konspiracji. Eugeniusz Schielberg zapamiętał^[46], że w pokoju zasłonięto okna, a na podłodze położono wielką hitlerowską czerwoną flagę ze swastyką. Deptali ją, składając przyrzeczenie.

Na ścianie wisiał biało-czerwony sztandar. Na jego brzegu opadającym na podłogę położono stena, pistolet, granat trzonkowy i hełm.

Pośrodku pokoju świeciła się żarówka owinięta czerwoną bibułą. To symboliczne harcerskie ognisko. Rozświetlało swoim blaskiem środek pokoju, jego kąty kryły się w mroku.

Eugeniusz Schielberg zapamiętał też niezwyklej nastrój chwili. Na ulicach rządził strach i hitlerowcy, a w pokoju był kawałek Polski. Zwycięskiej. Oddzielonej tylko ścianą od ponurej rzeczywistości.

Aleksander Kamiński opisywał, że oprócz flag niemieckich porozkładanych na podłodze scenerii dopełniały różne trofea: kawałek szyby wybitej w niemieckim sklepie, egzemplarze rozrzuconych ulotek, fragment przepalonej kwasem sukni kobiety, która zapewne szła ulicą z Niemcem.

Po złożeniu przysięgi słyszeli:

„Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy Armii Krajowej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twoim obowiązkiem będzie walczyć z bronią w rękę. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana będzie śmiercią.”

Do Szarych Szeregów trafiła niewielka liczba przedwojennych harcerzy i zuchów. Przed wojną było ich około 200 tysięcy. Do Szarych Szeregów w połowie 1944 roku należało 8200 chłopców i 7900 dziewcząt^[47].

Janek Rodowicz ze względu na wiek trafił do „środkowej” grupy Szarych Szeregów – Bojowych Szkół. Służył w nich dwa lata, od wiosny 1940 roku.

Bojowe Szkoły przyjmowały harcerzy w wieku pomiędzy piętnastym a siedemnastym rokiem życia. Zajmowali się małym sabotażem, dezinformowaniem Niemców poprzez podrzucanie im sfałszowanych ulotek. Obserwacją wojska.

– Janek potrafił połączyć wojskową dyscyplinę z młodzieńczą fantazją i chęcią przeżycia przygody – opowiadała Anna Jakubowska „Paulinka”^[48].



Na początku 1940 roku w ramach Związku Walki Zbrojnej powstała Organizacja Małego Sabotażu „Wawer”. Nazwa upamiętniała mord dokonany w grudniu 1939 roku na 107 Polakach w podwarszawskim Wawrze. Organizację wymyślił i kierował nią harcmistrz Aleksander Kamiński, późniejszy autor „Kamieni na szaniec”. Do „Wawra” w szczytowym okresie należało 400–450 osób, w połowie harcerzy Szarych Szeregów.

„Pierwsze zadanie dotyczyło fotografów – opisywał Aleksander Kamiński w swojej słynnej książce. – Instrukcja przyniesiona z »góry« stwierdzała, że liczni fotografowie warszawscy powystawiali w szafkach wystawowych fotografie żołnierzy niemieckich; fotografowie demoralizują samych siebie i społeczeństwo; nadają ulicom Warszawy nieznośny wygląd. Ponieważ na kilkakrotne listowne wezwania »Wawra« tylko niewielka ich część zareagowała, usuwając fotografie Niemców, należy resztę nauczyć postawy obywatelskiej innymi sposobami. Tłuczenie szyb przymilającym się do klienteli nieprzyjacielskiej fotografom – oto zadanie na najbliższą przyszłość.

Stłuczenie szyby wystawowej wiosną 1941 roku nie było rzeczą łatwą... psychicznie. Po pierwsze – ogromna większość zakładów mieści się na głównych ulicach miasta, na których o każdej porze jest duży ruch; po drugie – w owym czasie miasto nie znało jeszcze żadnych »akcji« ulicznych. W owych czasach nikt do nikogo na ulicy nie strzelał, nikt nie wybijał szyb. Szyby fotografów miały być i były jednym z pierwszych

aktów represyjnych wobec Polaków, którym brakowało kośćca obywatelskiego. Wykonawcy tych represji – pionierzy słynnych później wyczynów ulicznych – zabierali się do swoich szyb z namaszczeniem, lękiem, z długotrwałym obmyśleniem planu i z wielkimi ostrożnościami. Głośny brzęk rozpryskiwanej szyby wystawowej zdawał się i dla wykonawcy, i dla publiczności warszawskiej aktem równym wybuchowi maszyny piekielnej”^[49].



Napis wykonany przez harcerzy organizacji „Wawer” na ogrodzeniu ogrodu BGK przy ul. Brackiej w Warszawie.

Harcerze malowali patriotyczne hasła na murach. Zrywali niemieckie flagi. Gazowali kina, bo w nich Niemcy wyświetlali niemal wyłącznie swoje sensacyjne i wojenne filmy, uzupełniając je pokazami propagandowych kronik.

„Pisaliśmy na murach: »Tylko świnie siedzą w kinie!« – wspominał Stanisław Jastrzębski. – Gdy mimo tych napisów frekwencja na filmach nie malała, rozpoczęto akcję gazowania kin gazami łzawiącymi i spryskiwania sal kinowych i ubrań kinomanów cieczami cuchnącymi i żrącymi”^[50].

Konspiratorzy rozwiesili na ulicach fałszywy apel Wilhelma Ohlebuscha, szefa niemieckiej propagandy w Generalnym Gubernatorstwie. „Fałszywka” namawiała warszawiaków do chodzenia do kina, bo dochody z biletów trafiają na uzbrojenie Wehrmachtu. Kiedy Niemcy zarządzili rekwizycję

futer na potrzeby frontu wschodniego, Warszawę pokryły napisy „Chociaż z futer macie gacie i tak wojny nie wygracie”.

Słynny wyczyn to usunięcie niemieckiego napisu z warszawskiego pomnika Mikołaja Kopernika. Za to dokonanie Alek Dawidowski otrzymał honorowy pseudonim „Kopernicki”. Tadeusza Zawadzkiego „Zośkę” za namalowanie rekordowej liczby znaków „Polski Walczącej” ochrzczono „Kotwickim”. Akcje te nazwano potem „wojną warszawsko-niemiecką”.



Maciej Aleksy Dawidowski, jeden z bohaterów książki „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego.

Kotwica Polski Walczącej przeszła do legendy. Stała się najbardziej rozpoznawalnym symbolem oporu Polaków. To z pewnością jeden z najważniejszych znaków graficznych w historii Polski.

Oficjalnie kotwica została symbolem Polski Walczącej w marcu 1942 roku. Wówczas rozstrzygnięto konkurs zorganizowany przez Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. Wygrała go prawdopodobnie instruktorka harcerska Anna Smoleńska (zginęła w 1943 roku w obozie koncentracyjnym Auschwitz). W 2014 roku Sejm uchwalił ustawę o ochronie znaku Polski Walczącej.

Henryk Kończykowski „Halicz” wstąpił do Organizacji Małego Sabotażu „Wawer” w 1941 roku^[51]. Zapamiętał, że do konspiracji wchodziło się małymi krokami. Na początku razem z „Anodą”, jego szefem, malowali na ulicach. Kończykowski przerabiał w niemieckich hasłach „s” na „l”

i zamiast „Deutschland siegt an allen fronten” wychodziło „Deutschland liegt an allen fronten” (czyli Niemcy „leżą” zamiast „zwyciężają”). Ale Kończykowski nie miał takich zdolności plastycznych, by ładnie malować kotwicę. Tym zajmował się Janek.

– Ślicznie rysował znak kotwicy – zapewniał Kończykowski^[52]. – Był też autorem albo współautorem tak zwanej wędki. To był kij, nasadzało się jeden na drugi, a na końcu była puszka z farbą, z tuszem i szmatką, z której ten tusz kapał. Potrafił tym kijem bardzo wysoko, ładnie namalować kotwicę.

Janek zrywał też niemieckie flagi. To było niebezpieczne zadanie, bo wisiały z reguły obok wojskowych posterunków. Na dokładkę mocno przytwierdzone. Wyszarpowanie wymagało sporej siły fizycznej.

Janek Bytnar „Rudy” usunął niemiecką flagę z budynku Zachęty. Harcerze zerwali też wielkie, piętnastometrowe hitlerowskie sztandary wiszące na hotelu Bristol i Pałacu Staszica. Zrobili z nich wycieraczki.

Udekorowali Warszawę w barwy narodowe na święta 3 maja i 11 listopada.

W 1943 roku rozlepiali nekrologi Władysława Sikorskiego. Przeprowadzali akcje megafonowe: dwukrotnie podłączyli się do niemieckiej sieci megafonowej. Nadali hymn, pieśni patriotyczne, przemówienia.



Znak Polski Walczącej namalowany przez Janka Bytnara na cokole pomnika Lotnika, stojącego wtedy na placu Unii Lubelskiej. Był to czyn niesłychanej odwagi, ponieważ w pobliżu, przy al. Szucha, mieściła się w czasie okupacji główna siedziba SS i Gestapo.



Harc mistrz Jan Bytnar, członek organizacji „Wawer” i uczestnik wielu akcji bojowych AK. Odbity pod Arsenalem warszawskim, zmarł na skutek obrażeń odniesionych podczas śledztwa.

Akcje małego sabotażu dobrze zapamiętał Jacek Karpiński^[53], również późniejszy „zośkowiec”, a po wojnie konstruktor znakomitych polskich komputerów. Chłopcy smarowali kinowe fotele marmoladą, klejem lub odchodami. Albo rzucali pod nogi wychodzących widzów małe „bombki”, robiące dużo huk, ale mało szkód. Podobne miotali pod nogi niemieckich wartowników. Robili je z materiału wybuchowego i kawałka kabla. Z jednej strony był gwóźdź, z drugiej zapałka. Ładunki nikomu nie robiły krzywdy, ale chłopcy czuli satysfakcję, gdy przerażony Niemiec chwycił za broń i wrzeszczał: „Achtung, polnische banditen!”

Jacek Karpiński szczególnie zapamiętał spory sklep Meinla na Chmielnej. Stały pod nim riksze. Chłopcy podeszli i poradzili rikszarzom, żeby spłynęli. Gdy ci podziękowali za radę i odjechali, harcerze przywalili w szyby. Uciekli, nim Niemcy zaczęli strzelać. Wskoczyli do tramwajów i wtopili się w tłum.

– Niemiecki patrol ganiały nas, strzelały, ale chyba w górę, na postrach, albo nie były w stanie dobrze wycelować w biegu – wspominał Jacek Karpiński. – Nigdy nikogo z nas nie trafiły.

– Bardzo cieszyliśmy się, że coś robimy – dodawał. – Ale rozmawialiśmy też o przyszłości kraju. Dziś chłopcy w naszym wieku mówią raczej o dziewczynach.



„Gdy jakiś naród cierpi in extremis, symbole jego tożsamości stają się sprawą życia i śmierci – napisał Norman Davies. – Ludzie skłonni byli zaryzykować wszystko, żeby móc wymalować na murze czy transparencie kotwicę – znak Polski Walczącej, żeby pozrywać z domów tabliczki z niemieckimi nazwami ulic czy puścić na cały głos gramofon z zakazanymi nagraniami Chopina. Zwyczajny drobny czyn – biała bluzka włożona do czerwonej spódnicy – stawał się niebezpiecznym aktem buntu. Odmowa używania języka niemieckiego czy jeszcze lepiej – mówienie po niemiecku z okropnym akcentem było patriotycznym obowiązkiem. Duch może się czasem uśmiechnąć nawet wtedy, gdy ciało tkwi spętane w okowach”^[54].

Janek Rodowicz zatrudnił się w warsztacie elektrotechnicznym inżyniera

Tadeusza Czarneckiego na ulicy Rozbrat 15. Potem pracował w zakładach Philipsa przy ulicy Karolkowej. Tu zajął się konspiracyjną budową radioodbiorników – działalnością w pewnym sensie podobną do tej, jaką zajmował się jego stryjeczny brat.

Stanisław Rodowicz (noszący to samo imię co kuzyn, który zginął w Katyniu) był reżyserem i operatorem filmowym. Pod koniec wojny obronnej 1939 roku kierował łącznością w twierdzy Modlin.

Podczas okupacji pod domem przy ulicy Fortecznej 4 w Warszawie urządził tajne pomieszczenie z radiostacją, które nazwano „łodzią podwodną”. Obok powstała wędzarnia, aby wytłumaczyć większy ruch koło domu.

Dzięki „łodzi podwodnej” utrzymywano kontakt z polskimi władzami w Wielkiej Brytanii. Niemcy nigdy jej nie odkryli, ale wciąż wściekle próbowali ją namierzyć. Sprowadzili z Berlina specjalną aparaturę. Wysyłali szpicli. Tropili nawet samolotami. Wszystko na próżno.

Tajemnica tkwiła w znakomitym maskowaniu. Stanisław Rodowicz razem z ekipą konspiratorów całymi dniami wykopywał ziemię spod fundamentów domu. Rozrzucano ją w ogródku. Wkrótce cała sześćsetmetrowa działka urosła o pół metra.

Radiostację umieszczono w podziemiach.

„Do pomieszczenia schodziło się schodami prowadzącymi z korytarza przy kuchni do piwnicy – opisywała Krystyna Rodowiczowa, żona Stanisława. – Ostatni, jak gdyby kwadratowy próg schodów odsuwał się i odsłaniał jakieś urządzenie instalacji wodnej z kapiącym kranem. Instalacja ta była umieszczona w betonowej obudowie. Najwięcej czasu zabrało mężowi wykonanie tego zamknięcia. Było to coś w rodzaju olbrzymiej misy, ważącej około dwustu kilogramów, odlanej z betonu według rysunku i obliczeń męża. Wewnątrz były wgłębienia, przez które potem przeprowadzone zostały rury z wodą. Przekręcenie o 90 stopni kranu zamykało przepływ wody, a naciśnięcie jednej sprężynki bezszelestnie przesunęło misę, chodzącą cichutko na łożyskach kulkowych. Wtedy otwierało się wejście z dość stromymi, ale dopasowanymi schodkami drabinkowymi, automatycznie zapalało się światło i ukazywało wygodne wnętrze

z podświetloną na pierwszym planie rzeźbą św. Barbary, patronki podziemi, wykonaną z porcelany przez któregoś ze starszych członków rodziny, zesłańca na Sybir. Zasunięcie misy za sobą i postawienie kranu w pozycji pionowej było możliwe tak z zewnątrz, jak i od wewnątrz i trwało dosłownie sekundę. Trzeba jeszcze dodać, że w każdym naszym pokoju, jak również w drzwiach wejściowych od ulicy i bramce od ogrodu, mąż zainstalował małe mikrofony. Umieszczone przy śrubach, łączących potrzebne elementy. W kilku miejscach była też zainstalowana sygnalizacja alarmowa, toteż siedząc w podziemiu, można było mieć rozeznanie, co dzieje się w całym ogrodzie i domu”^[55].

Pewnego dnia Niemcy otoczyli willę na Fortecznej 4. Ale tym razem znajdujący się w podziemiach radiotelegrafista nie włączył podsłuchu i nie zorientował się, że do mieszkania wdarło się gestapo. Dlatego nie przerwał nadawania.

Hitlerowcy wyszli. Zapewne uznali, że gdyby to w tym mieszkaniu znajdował się nadajnik, przerwano by łączność w momencie ich wejścia.

Wściekli poszli zrywać podłogi i rozbierać piece w sąsiednich budynkach. Czasami przypadek znaczy w życiu więcej niż skomplikowane plany.



Janek, pracując w zakładach Philipsa, pokochał urządzenia radiowe. Budował radioodbiorniki, a ponieważ nigdzie nie można było kupić części, zorganizował „dostawy” z zakładów Philipsa.

– Budynki Philipsa były ogrodzone – wspominał Henryk Kończykowski. – Pilnowała ich straż. Zaś o trawę i kwiatki pomiędzy budynkami dbała grupa kobiet. „Anoda” umówił się z nimi, że będzie wyrzucał części przez okno.

Kobiety tak przystrzygały zieleni, żeby zdobycze Janka miękko lądowały w trawie. A później same przerzucały części przez ogrodzenie. W ten sposób udało się zdobyć mnóstwo elementów.

Razem z inżynierami z Philipsa harcerze montowali urządzenia ukryci w fabryce marmolady na ulicy Wielkiej. W 1943 roku zbudowali około stu odbiorników wojskowych^[56]. Tajna komórka akowska, która się tym zajmowała, nosiła kryptonim „Radio”

„Anoda” składał też radia wszystkim znajomym, którzy go prosili.

Odbiorniki były w czasie okupacji rarytasem. Niemcy już w grudniu 1939 roku zarządzili bezwzględną konfiskatę wszystkich prywatnych aparatów. Nie można było oczywiście kupić ich także w sklepie. A radio pozwalało słuchać wiadomości BBC. Dostarczało prawdziwych informacji Polakom udręczonym przez hitlerowską propagandę.

Niedługo później Janek spełnił swoje marzenie.

ROZDZIAŁ V

Rysa na parapecie

Niestety, nadzieje, że nauka wyjaśni, co wydarzyło się w przeszłości, rozwiały się po ekshumacji. Kiedy wysuszono kości „Anody”, okazało się, że nic nie można z nich odczytać.

Biegli – prof. dr hab. Bronisław Młodziejowski i dr Małgorzata Brzozowska – stwierdzili znaczne przemiany pośmiertne z zeszkieletowaniem, rozdrobieniem i zmurszeniem kości. Wynikały z długotrwałego przebywania szczątków w murowanym grobie. Linijne charakterystyczne oddzielenie fragmentu kości czołowej mogło odpowiadać typowemu cięciu sekcijnemu. Rozległe braki w obrębie kośćca głowy, całkowity brak kości obręczy barkowej, biodrowej, kręgosłupa i klatki piersiowej, a także brak na zachowanych szczątkach jakichkolwiek śladów będących wynikiem urazu mechanicznego.

Język medycyny fachowo opisywał to, co dało się zaobserwować kilkadziesiąt lat po śmierci Janka: z kości zostały tylko drobne szczątki. Żadna z nielicznych zachowanych kości nie była połamana. Z czaszki nie pozostało niemal nic.

Ustalenie przyczyny zgonu okazało się niemożliwe. Biegli nie mogli potwierdzić ani wykluczyć żadnej wersji. Ani rany postrzałowej, ani urazów klatki piersiowej, ani upadku z wysokości.

Po ekshumacji profesor Bronisław Młodziejowski w programie telewizyjnym odpowiadał na pytania dziennikarki^[57]:

- Czy były jakieś kontuzje na kościach?
- Nie.

– Czy ślady od kuli na głowie? Czy pan może coś takiego znaleźć?

– Nie znalazłem takich śladów, aczkolwiek są tak rozległe braki w zakresie kości sklepienia i podstawy czaszki, że wykluczyć tego nie można. Ale potwierdzić także nie.

Profesor powiedział, że słyszał o innej wersji śmierci – „Anodę” zakatowano, kładąc na piersiach deskę i skacząc po niej. Ale tego również ani nie potwierdziła, ani nie wykluczyła ekshumacja.

W ewidencji Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki nie znaleziono śladu po sekcji „Anody” wykonanej po jego śmierci w 1949 roku. Chociaż rodzina, na podstawie relacji zaprzyjaźnionego doktora Konrada Okolskiego, nabrała przekonania, że wykonał ją profesor Wiktor Grzywo-Dąbrowski.

– Wiem, że profesor Grzywo-Dąbrowski w latach sześćdziesiątych, bodajże w roku 1965 czy 1966 roku, był na ten temat indagowany – opowiadał w telewizji profesor Bronisław Młodziejowski. – Poszukiwano śladów ewentualnego protokołu i zwrócono się do profesora z prośbą o udostępnienie kopii. Jako że każda czynność wykonywana w Zakładzie Medycyny Sądowej jest dokumentowana, oryginał idzie do zleceniodawcy, a kopia pozostaje. Okazało się, że w Zakładzie Medycyny Sądowej nie ma żadnego takiego protokołu opiewającego na nazwisko Jana Rodowicza. Profesor Grzywo-Dąbrowski był twórcą i budowniczym Zakładu Medycyny Sądowej po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. Prowadził go do wojny i odbudowywał po 1945 roku – podkreślał Bronisław Młodziejowski. – Nikt lepiej od niego nie mógł być zorientowany.

Skoro ekshumacja niczego nie wykazała, pozostało studiowanie dokumentów. I szukanie świadków.



Czterdzieści sześć lat po śmierci Jana Rodowicza odbył się jego trzeci pogrzeb.

Po raz pierwszy, w styczniu 1949 roku, potajemnie pogrzebali go ubecy.

Potem, w marcu tego samego roku, przeniesiono zwłoki do rodzinnego grobowca.

Trzeci pogrzeb, 24 maja 1995 roku, był już wielką uroczystością. W katedrze

polowej przy ulicy Długiej w Warszawie Janka żegnały tłumy.

Wartę przy trumnie zaciągnęli przyjaciele z Szarych Szeregów, z „Zośki” i z „Parasola”. Harcerze, których drużyny przyjęły imię „Anody”. Studenci z Wydziału Architektury. Kompania Reprezentacyjna Wojska Polskiego. Mszę celebrował biskup polowy Sławoj Leszek Głódź.

Obok niego ojciec Józef Warszawski „Paweł”, kapelan Powstania Warszawskiego. I ksiądz Stefan Wysocki, harcerz Szarych Szeregów.

Trumnę przewieziono do rodzinnego grobu na Powązkach. Tego samego, z którego dokonano ekshumacji. Postanowiono, że na cmentarzu nie będzie przemówień. – O „Anodzie” wszystko już powiedziano, wystarczy milczenie – wytłumaczył mi Władysław Rodowicz.



Andrzej Samsonowicz „Książę” i Jan Rodowicz „Anoda”, maj 1944 r.

Janka pochowano z kopiami jego wojennych odznaczeń. Po ostatniej ekshumacji oryginały przekazano – decyzją stryjecznego brata – do Muzeum Wojska Polskiego. Nie wszystkim spodobało się to postanowienie rodziny. Bo komu się one bardziej należą – zmarłemu czy pamięci o nim?



Jeszcze przed ekshumacją „Anody” zacząłem przeglądać dokumenty

związanie z jego życiem i śmiercią. Praca reportera historycznego to godziny ślęczenia nad różnymi papierami.

Nie wszyscy pamiętają, że kiedyś większość tego, co istotne, trzeba było odręcznie notować. Dopiero potem przepisywać notatki, w moich czasach na szczęście już do komputera. Kiedy w 1989 roku powstała „Gazeta Wyborcza”, słynęła z tego, że było w niej trochę komputerów, których mogły pozazdrościć inne redakcje.

Po jakimś czasie pojawiły się notebooki. W moim dziale reportażu był tylko jeden. Trzeba było się na niego zapisywać. Ale to już było wielkie ułatwienie, bo interesujące fragmenty z archiwalnych dokumentów mogłem na miejscu, w czytelnich, wpisywać do laptopa. Własnego nie miał jeszcze żaden reporter, bo kosztowały fortunę.

W archiwach były kserokopiarki. To też było wielkie ułatwienie. Ale bardzo drogie. Dziennie pozwalałem sobie na skserowanie najwyżej kilkunastu stron. Na dokładkę na kopie trzeba było czekać czasami kilka albo i kilkanaście dni.

Najciekawsze dokumenty znajdowały się w archiwum Urzędu Ochrony Państwa. Ale wówczas właściwie nikt nie wiedział, co kryją.

Potem utworzono archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, już znacznie lepiej skatalogowane. Ale wciąż trzeba było wszystko przepisywać albo kserować. Dopiero niedawno, kiedy pojawiły się smartfony i tanie małe aparaty cyfrowe, archiwa zezwoliły przefotografowywać dokumenty zamiast je przepisywać lub kopiować.

Na początku najwięcej cennych materiałów na temat „Anody” znalazłem w aktach zgromadzonych przez prokuraturę.

Śledztwo w sprawie „Anody” wdrożono w 1991 roku na wniosek rodziny. Polecił je rozpocząć minister sprawiedliwości Wiesław Chrzanowski.

Polska po 1989 roku odzyskiwała niepodległość. Rodziła się potrzeba zbadania najciemniejszych spraw z komunistycznej przeszłości.

W „Gazecie Wyborczej” z 28 stycznia 1993 roku opublikowano list otwarty dotyczący niewyjaśnionych zbrodni stalinizmu. Pod apelem podpisali się między innymi Jan Nowak-Jeziorański, Aleksander Gieysztor, Tomasz Strzembosz, Tomasz Szarota, Władysław Bartoszewski, Tadeusz

Żenczykowski, Lucjan Kindlein, Andrzej Wolski, Zofia Korbońska oraz Henryk Kozłowski, czyli „Kmita” z „Zośki”.

To był bardzo ważny głos. Polacy byli rozczarowani, że zbrodnie stalinowskie wciąż pozostają niewyjaśnione, choć od 1989 roku nic już nie stało na przeszkodzie, żeby prokuratura się nimi zajęła.

Autorzy stwierdzali, że minęły już trzy lata od momentu, gdy Polska wyzwoliła się spod systemu zezwalającego na wszelkie bezprawie i zbrodnie, jeśli tylko popełniano je w interesie socjalizmu i zaborczego mocarstwa. Dodawali, że w ciągu 45 lat Polski Ludowej setki tysięcy niewinnych ludzi uwięziono, torturowano albo stracono. Przede wszystkim w okresie stalinizmu.

Zbrodniarzy hitlerowskich po wojnie spotkała kara. Ale po 1989 roku przed sądem nie stanął żaden polski zbrodniarz komunistyczny. Nie tylko nadal cieszyli się bezkarnością, ale wciąż korzystali z dawnych przywilejów, wysokich emerytur i luksusowych mieszkań.

Choć toczyły się już śledztwa przeciwko wielu z nich, wciąż nie udało się skierować do sądu ani jednego aktu oskarżenia.

Sygnatariusze apelu wymienili trzy najgłośniejsze zbrodnie popełnione w latach stalinizmu. Na generale Auguście Emilu Fieldorfie „Nilu”, na rotmistrzu Witoldzie Pileckim „Witoldzie” i na Janku. O „Anodzie” napisali:

„Pisma skierowane w 1991 r. przez jego towarzyszy broni do Ministra Spraw Wewnętrznych z prośbą o ustalenie daty i okoliczności śmierci Rodowicza spotkały się z odpowiedzią, że w Archiwum Służby Sprawiedliwości MON nie ma dokumentów dotyczących Jana Rodowicza.



Zdjęcie rotmistrza Witolda Pileckiego z kartoteki Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, 1947 r.

Nie wiadomo, żeby wdrożone zostały dochodzenia lub chociażby poszukiwania dokumentów w sprawie zamordowania jednego z najbardziej bohaterskich żołnierzy Szarych Szeregów i Kedywu. Nazwiska funkcjonariuszy UB związanych z tą sprawą pozostają nieznane.

W obliczu wymowy tych i licznych podobnych faktów uważamy za swój moralny obowiązek upomnieć się o sprawiedliwość i prawdę. Nikt nie może uzurpować sobie prawa wybaczenia przestępcom i skazywania na niepamięć ich ofiar. W praworządnym państwie wyroki uniewinniające wydawać mogą tylko sądy, a prawo łaski przysługuje wyłącznie Głowie Państwa. Przebaczenie w duchu chrześcijańskim nigdy nie było równoznaczne z bezkarnością przestępców”^[58].



Prokuratura trzy razy wszczyła (24 czerwca 1994 roku, 28 września 1995 roku i 6 listopada 1996 roku) i trzy razy umarzała śledztwo. Nigdy nie zdołała zgromadzić dowodów, że Janek został zamordowany. Nie szukała więc sprawców.

Ustalono jednak nazwiska tych, którzy na przełomie 1948 i 1949 roku prowadzili śledztwo przeciwko „Anodzie”. Prokuratura odnalazła i przesłuchała funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, przede wszystkim Wiktora Herera i Bronisława Kleinę. Obaj zaprzeczyli, że „Anodę” bito.

Herer, który kierował wydziałem w Departamencie V, zeznawał, że spotykał się z „Anodą” w swoim gabinecie na czwartym piętrze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Rozmawiał z nim, bo w środowisku „Anody” ubecy nie mieli swojej agentury. Rozmowy były „kurtuazyjne” i Herer rzekomo nabrał sympatii do Janka.

Najważniejszy fragment zeznań dotyczył jego śmierci. Herer przedstawił swoją wersję. Według niego było tak: 7 stycznia doprowadzono Janka do gabinetu na czwartym piętrze. Pokój był niezamykany. Było w nim dwuskrzydłowe okno bez krat od strony Alej Ujazdowskich.

Do tego pomieszczenia na polecenie Herera „Anodę” doprowadził funkcjonariusz MBP Bronisław Kleina. Potem rzekomo wypadki potoczyły się błyskawicznie. „Anoda” odepchnął Kleinę, rzucił się do okna i wyskoczył.

Herer zapewniał, że natychmiast wezwano pogotowie, które zabrało Janka.

Prokuratura odnalazła kolejnych świadków.

Juliusz Kubera, pracownik departamentu V MBP, pilnował Janka przez tydzień w pokoju Bronisława Kleiny. Dawał „Anodzie” jedzenie, rozmawiał z nim. Opowiadał, że Janka rano przyprowadzano na czwarte piętro w budynku MBP na Koszykowej. Odprowadzano na dół do celi w godzinach obiadowych, żeby zjadł posiłek. Po czym znowu konwojowano go na górę.

Kubera zeznawał, że Janek zachowywał się normalnie, był spokojny, żartował, opowiadał kawały. Podobno załamał się po usłyszeniu czyjegoś głosu. Pytał, jaki owa osoba może dostać wyrok. Kubera nie pamiętał, o kogo chodziło. To była jego ostatnia rozmowa z Rodowiczem. O śmierci „Anody” Kubera usłyszał dopiero nazajutrz rano, gdy przyszedł do pracy. W ministerstwie mówiono, że „Anoda” zabił się, upadając. Kubera oglądał okno, z którego miał wyskoczyć Janek, i nawet zauważył rysę od obcasa na blasze parapetu. Ale nikomu o tym nie wspomniał.

Jan Grabowski, również pracownik Departamentu V, też słyszał o wypadku. 7 stycznia był w Szkole Oficerskiej w Legionowie, o zdarzeniu opowiadano mu później. Kleina pokazywał mu pokój, z którego wyskoczył

„Anoda”. Mówiono wtedy, że Janek najpierw odepchnął Kleinę. Po tym wypadku – zeznawał Jan Grabowski – w oknach zamontowano siatki ochronne.

Zeznania funkcjonariuszy były spójne i logiczne. Jak na ubeków przystało.

Podczas śledztwa w latach dziewięćdziesiątych ustalono, że nie żyje już kilka osób, które mogłyby powiedzieć coś ważnego o śmierci „Anody”. Dawno zmarła Julia Brystigier, zwana „Krwawą Luną”, szefowa Departamentu V, który zatrzymał „Anodę”. Zmarł Henryk Chmielewski, wicedyrektor tego departamentu. Nie żyli śledczy Bolesław Cykała i Roman Masny. Zmarła sekretarka Apolonia Andziak. Nie żył prokurator Mieczysław Dytry.



Czytam dokumenty, rozmawiam z ludźmi. Mnożą się kolejne wersje śmierci „Anody”. Każda przez chwilę wydaje się prawdziwa.

Ale niestety wykluczają się nawzajem. Co najgorsze – żadna nie sprawia wrażenia tej najbardziej wiarygodnej.

„Zośkowcy”, którzy siedzieli w więzieniu, o śmierci Janka dowiadawali się z wielkim opóźnieniem. Henryk Kozłowski „Kmita”, który był przełożonym „Anody” w powojennej konspiracji, usłyszał o niej dopiero latem 1949 roku. Aresztowani przekazywali sobie informacje więziennym kodem, poprzez pukanie albo mruganie.

Cztery lata później, w 1953 roku, Kozłowski siedział w więzieniu z Krzymowskim, byłym legionistą (nie zapamiętał jego imienia). Ten opowiadał, że w styczniu 1949 roku przebywał w jednej celi z Jankiem i kilkoma innymi osobami. Podobno „Anoda” był wówczas w dobrym zdrowiu i humorze. Uśmiechnięty, dowcipami i zabawnymi opowieściami rozweselał współwięźniów. Wierzył, że wkrótce zostanie zwolniony. Krzymowski nie wspominał, aby Janka w śledztwie bito.

Andrzej Wolski „Jur” o śmierci „Anody” dowiedział się od swojego adwokata, kiedy sam siedział w więzieniu. Mecenas powiedział: „Umarł w śledztwie, to wszystko, co wiem”^[59].

Inni uważali, że to było jednak samobójstwo, które nastąpiło w efekcie

brutalnego, trudnego do wytrzymania śledztwa. Albo że „Anodę” pobito na śmierć i dla zatuszowania zbrodni ciało wyrzucono przez okno.



Z punktu widzenia prawa sytuacja była oczywista – nikomu nie można postawić zarzutu zabójstwa. To oznaczało zamknięcie śledztwa. Ale z punktu widzenia historii do odłożenia akt na półkę było jeszcze bardzo daleko. Reporter i historyk mogą chwycić się poszlak, które nie przekonają żadnego sądu. Ale dzięki tym strzępom informacji mogą stawiać pytania zbliżające do prawdy.

Pierwsza ważna poszlaką, że „Anoda” nie popełnił samobójstwa, ale został zamordowany, to obserwacje lekarki Anny Rodowicz. Podczas rodzinnej ekshumacji w 1949 roku obmacała kończyny górne i dolne. Nie stwierdziła żadnych złamań. Na twarzy nie było śladów uderzeń ani zranień. Ale na wyrostku kostnym za uchem wyczuła niewielki okrągły otwór, z którego wcześniej wydobywała się krew. Teraz była już zaschnięta. Dlatego Anna Rodowicz uznała, że śmierć Janka nastąpiła w wyniku postrzału w tył głowy.

Wynik drugiej ekshumacji – tej z 1995 roku – nie potwierdził obserwacji Anny Rodowicz. Ale też jej nie zaprzeczył. Chociaż w sądzie nikomu nie dałoby się postawić zarzutu morderstwa, wersja z postrzałem wciąż wydawała się prawdopodobna.



Dawna kwatera główna NKWD i siedziba wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa na ulicy Strzeleckiej w Warszawie.

Jednak wykonana w 1995 roku ekspertyza lekarska zdecydowanie odrzuciła obserwacje Anny Rodowicz. Prof. dr hab. Aleksander Dubrzyński, specjalista z zakresu medycyny sądowej, w ocenie sporządzonej na prośbę prokuratury był bezlitosny. W aktach streszczono jego opinię: „zeznania Anny Rodowicz dotyczące jej ustaleń podczas ekshumacji w dniu 16.03.1949 r. bez rozbierania zmarzniętych zwłok, przy uwzględnieniu faktu, że świadek jest lekarzem i która była już lekarzem w chwili ekshumacji – z punktu widzenia wiadomości specjalistycznych z zakresu medycyny sądowej są zupełnie bezwartościowe, zwłaszcza że świadek nawet nie ustaliła, czy na osobie Jana Rodowicza dokonano sekcji zwłok”. Profesor Dubrzyński sugerował, że ślad z tyłu głowy, który namacała Anna Rodowicz, mógł być fałdą skórną, która pozostała właśnie po wykonaniu sekcji zwłok.

Biegły nie mógł jednak całkowicie przekreślić wersji z postrzałem. Bo, jak wiemy, stan kości badanych w 1995 roku był tak zły, że niczego ani się nie dało potwierdzić, ani zaprzeczyć.



Szczątki ofiar białostockiego Urzędu Bezpieczeństwa odkryte na terenie aresztu śledczego przy ulicy Kopernika. Dziś trwają w tym miejscu prace IPN.

Leonarda Rodowicz od 1962 roku pracowała w Centralnym Archiwum

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jej mąż to Wojciech Rodowicz, syn stryjecznego brata Janka. Leonarda pochodziła z Sanoka i nie знаła konspiracyjnych dziejów Rodowiczów. Z powodu zatrudnienia „w paszczy lwa” rodzina męża uważała ją za wtyczkę „organów”.

Gdy wróciła po urlopie macierzyńskim do pracy, przeniesiono ją z archiwum do Biura „C”. Zadania były podobne. Tam zajmowała się teczkami spraw starych i nowych, w Biurze „C” – personalnymi.

Leonarda Rodowicz zapamiętała, że pod koniec upalnego sierpnia 1969 roku odkładała do szafy pancерnej kolejną opracowaną teczkę. Do końca pracy było jeszcze pół godziny. Za dużo, żeby nic nie robić, za mało, żeby zająć się nową sprawą. Zabrała się więc do przygotowywania materiałów, którymi na poważnie miała się zająć nazajutrz. Na górze leżałateczka o tytule „Jan Rodowicz »Anoda«”. Zaintrygowało ją to. – To pewnie ktoś z rodziny mojego męża – powiedziała. A dzieliła pokój z sekretarzem partii.

Przejrzała teczkę. Zapewne dzięki fachowemu, archiwistycznemu oku zapamiętała wiele szczegółów. Zauważyła, że teczka była dość cienka, przesyta prawdopodobnie grubą białą bawełnianą nicią. Końce były zaplombowane. Pieczętka tuszowa, a nie lakowa, umieszczona na pasku papieru przyklejonym na końcach obu sznurków. W środku, o ile dobrze zapamiętała, 136 stron.

Na końcu teczki znajdował się druk z treścią „Zastrzelony podczas próby ucieczki”. Nie zauważyła, kto go podpisał. Dzień pracy się skończył, odłożyła więc teczkę i poszła do domu.

Następnego dnia teczki już nie było. A Leonardę Rodowicz zwolniono z pracy, podobno powiedziano jej, że „dla dobra służby”.

Nie znosiła tej roboty, ale zirytowała ją forma wymówienia. Zdenerwowana napisała do ministra. Poszła do jego sekretariatu. Na szczęście trafiła na samego szefa – choć zwykle czekało się na audiencję długie miesiące – i opowiedziała o pozbawieniu etatu. Udało jej się uzyskać przeniesienie do Komendy Głównej Milicji, do Zakładu Kryminalistyki.

Teczki „Jan Rodowicz »Anoda«” nigdy więcej już nie widziała.

Tej rzekomej teczki nie odnalazła też prokuratura badająca śmierć „Anody”. Nie znaleziono również sekretarza partii, który miał urzędować w pokoju

z Leonardą Rodowicz.



Nad przyczyną śmierci Janka zastanawiała się Anna Jakubowska „Paulinka”. Pamiętała, jak wielkim poważaniem „Anoda” darzył swojego wuja, generała Władysława Bortnowskiego. Może któryś ze śledczych powiedział coś złego o nim? W takiej sytuacji „Anoda” mógłby się rzucić z pięściami. Ubecy mogliby go w odwecie zakatować albo zastrzelić.

To jedynie próba odtworzenia psychologicznych motywacji, jakie mogły doprowadzić do śmierci „Anody”. Pokazuje, co mogło się zdarzyć pomiędzy „Anodą” a śledczymi, a co z pewnością nie zostało zanotowane w żadnych dokumentach. To właśnie o takich sprawach najczęściej nie dowiadujemy się z papierów. Z reguły milczą one o emocjach. A opowiadają o nich ludzie.

Niektórzy „zośkowcy” przypuszczali, że Janek popełnił samobójstwo, bo przeraził się swych zeznań. Mógł w pewnym momencie uznać, że zeznając o miejscach ukrycia broni, szkodzi kolegom.

Nawet jednak przyjmując wersję o samobójstwie, trzeba zastanowić się nie tylko co, ale też kto skłonił „Anodę” do targnięcia się na swoje życie. Bo przecież zginął w trakcie ubeckiego śledztwa. Tadeusz Sumiński, kolega „Anody” z batalionu „Zośka”, powiedział:

– Dla mnie nie ma znaczenia, czy Janka zabito, czy popełnił samobójstwo. Zmuszenie go do samobójstwa było morderstwem, być może gorszym niż zwyczajny.



Kiedy sprawę śmierci „Anody” nagłośniły media, do Dariusza Baliszewskiego, prowadzącego w telewizji program „Rewizja nadzwyczajna”, zgłosił się nowy świadek. Opowiadał, że 7 stycznia 1949 roku znalazł się na parterze gmachu MBP na ulicy Koszykowej jako goniec, który roznosił pocztę i dokumenty. Nagle zobaczył człowieka, który wyskakuje z okna. Próbuje dostać się na dach baraku, stojącego po prawej stronie przy ulicy. To jakiś budynek gospodarczy.

Mężczyzna jednak osuwa się z dachu na teren MBP. Po chwili chwytają go ubecy i prowadzą pod rękę. Mężczyzna ma prawdopodobnie uszkodzone lewe ramię, ale nie widać żadnych śladów krwi. Kilka dni później świadek usłyszał, że wyskakujący przez okno zbieg zmarł.

Ta wersja z punktu widzenia prokuratury okazała się również bezwartościowa. Świadek zastrzegł anonimowość, więc Dariusz Baliszewski nie mógł podać prokuraturze jego personaliów. Ta opowieść nie przedstawiała zresztą przyczyn i okoliczności zgonu „Anody”. Jeśli nawet przeżył upadek, to mógł potem umrzeć w wyniku odniesionych obrażeń.

Jednak także ta wersja wskazywała na inny motyw skoku z okna „Anody”: nie samobójstwo, ale próbę ucieczki (a więc potwierdzałyby notatkę, którą w dokumentach zauważyła Leonarda Rodowicz).

Żołnierze batalionu „Zośka” pamiętali, że obok gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, na skwerze od strony Alej Ujazdowskich, Niemcy podczas okupacji zbudowali garaże dla samochodów ciężarowych, tak zwanych bud, którymi jeździli na akcje.

Te duże budowle dotykały ściany późniejszego gmachu MBP. Były ustawione prostopadle do niego. Nad bramami baraku zaczynał się spadzisty dach kryty papą. Znajdował się dość wysoko, bo w garażu musiały zmieścić się duże samochody. Nikt jednak dokładnie nie pamiętał położenia tych budynków ani tego, czy po wojnie ich nie rozebrano.

Równie ważne wydaje się pytanie: czy Janek, skacząc z czwartego piętra, myślał, że przeżyje? Gdyby upadł na podwórze, prawdopodobnie by zginął. Piętra w budynku MBP były wysokie. Ale gdyby wylądował na dachu garaży, szanse na przeżycie miałyby większe. Włodzimierz Steyer „Grom”^[60] z batalionu „Zośka” zwracał uwagę^[61], że dwie posesje dalej była ambasada angielska. Niedługo po wojnie mieściła się przy alei Róż 1. Może „Anoda” próbował skoczyć na dach garaży, by uciec do ambasady? Część rodziny Rodowiczów również skłaniała się do wersji o ucieczce. Nikt z nich nie wierzył w samobójstwo. Janek był pełen życia. Głęboko wierzący. Bliscy próbowali połączyć dwie wersje śmierci: ucieczkę i pobicie.

Władysław Rodowicz, stryjeczny brat Janka, uważał, że „Anoda” skakał, aby dostać się właśnie do ambasady brytyjskiej. To miała być brawurowa

ucieczka, jak akcje z czasów wojny. Upadając jednak zwiczną rękę i nie potrafił wciągnąć się na wierzchołek dachu graniczącego z sąsiednią posesją. Zsunął się więc po spadzistym dachu na podwórze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Tam dopadli go strażnicy i zatłukli. Śmierć przez pobicie zgadzała się z tym, co rodzinie opowiadał doktor Konrad Okolski na podstawie wyników rzekomo przeprowadzonej sekcji zwłok.

Czy znajdzie się jeszcze jakiś świadek, który widział śmierć „Anody”?

Pewnego dnia w 1995 roku dowiaduję się, że do „zośkowców” napisał ktoś, kto podawał się za byłego więźnia UB. Twierdził, że przesłuchiowano go na Koszykowej. I że był w sąsiednim pokoju, gdy zginął Janek.

Wreszcie przełom. Ten świadek musi znać prawdę.



Jan Rodowicz podczas wyjazdu „zośkowców” do Zakopanego, przełom 1945 i 1946 r.

ROZDZIAŁ VI

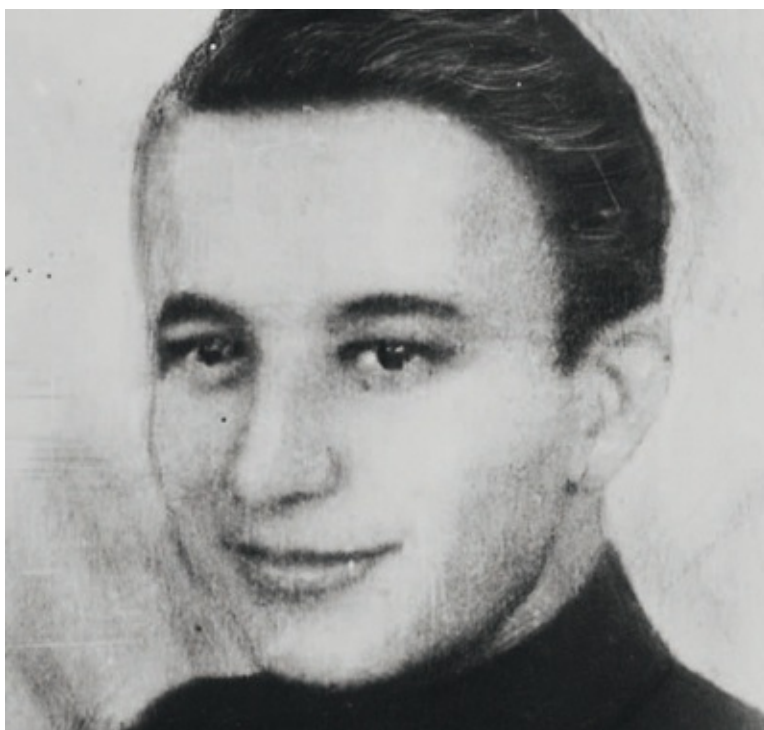
Nałogowiec schmeisserowiec

Dostać broń do ręki – to było wielkie marzenie wielu rówieśników „Anody”. Spełniało się, kiedy trafiali do Grup Szturmowych.

GS-y były harcerskimi oddziałami wojskowymi. Podlegały Kedywowi, Kierownictwu Dywersji Armii Krajowej. Ale zachowywały swoje tradycje i własne zwierzchnictwo.

Do Grup Szturmowych mogli trafić harcerze powyżej osiemnastego roku życia. Ale garnęli się również młodsi. Molestowali dowódców o przyjęcie albo zawyżali wiek. Wielu dostało się w ten sposób do oddziałów, zanim jeszcze osiągnęli dojrzałość.

Wszyscy w konspiracji rozumieli to marzenie o walce zbrojnej. Grupy Szturmowe to już było prawdziwe wojsko. Kiedy trafiało się do nich, następowała nobilitacja – wolno było nosić broń.



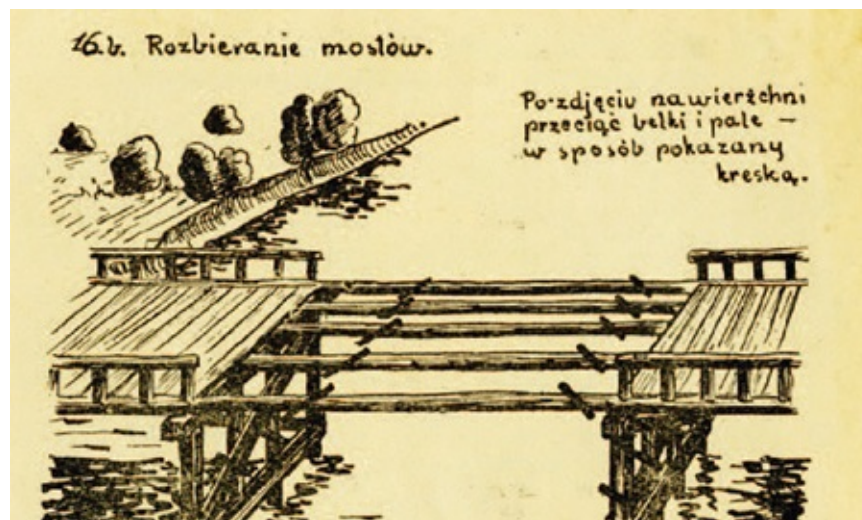
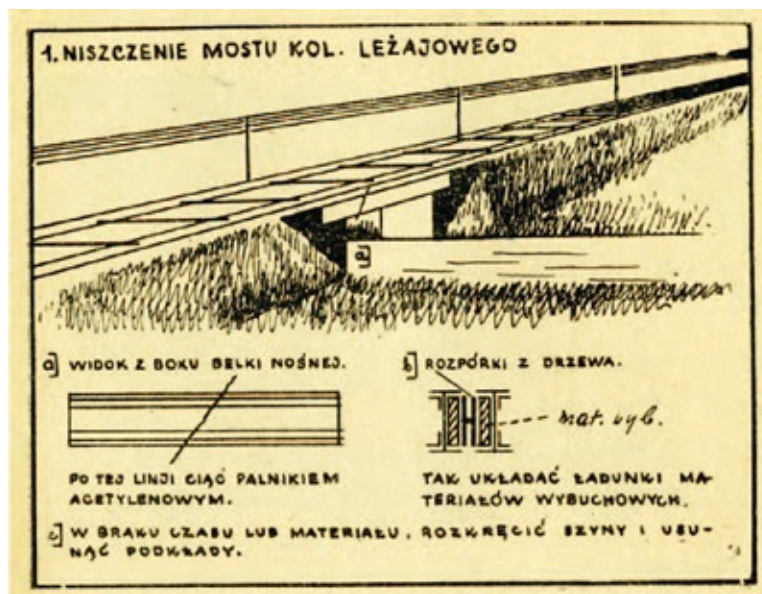
Tadeusz Zawadzki „Zośka”, jeden z bohaterów książki Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”

Harcerskim dowódcą Grup Szturmowych został Tadeusz Zawadzki „Zośka”. Syn profesora chemii i rektora Politechniki Warszawskiej Józefa Zawadzkiego.

Stanisław Broniewski „Orsza”, naczelnik podziemnego harcerstwa, na odprawie komendantów chorągwi 3 października 1943 roku mówił:

„Nasze oddziały Bojowych Szkół i Grup Szturmowych będą się bić. Chcemy, aby odegrały one w wojsku rolę ideowych drożdży. Armia odtwarzana będzie przecież z najrozmaitszego elementu, na którym wojna wycisnęła różnorakie piętno. Musi się w niej odbyć bardzo szybki proces podciągania masy do czołówki, musi nastąpić upowszechnienie tej atmosfery, jaką obecnie żyje Polska Walcząca. Zadania nasze są tu ogromne. Musimy się oduczyć bałwochwalczej postawy wobec armii. My również za nią jesteśmy odpowiedzialni. Musimy znać jej braki i mieć wolę je wyrównać w miarę naszych możliwości. Dziecinnie głupi zwyczaj niedyskutowania o wojsku musi w Polsce zniknąć. Nie chcemy mu już dziś ulegać, przeciwnie – mówimy o tym wyraźnie, jakie to wojsko chcemy widzieć, i czynimy wszystko, co w naszej mocy, by tę wizję wojska realizować. Na naszych chłopców z Bojowych Szkół i Grup Szturmowych

czyha w wojsku jedno wielkie niebezpieczeństwo. Zetkną się w nim z całym cynizmem zmaterializowanego i znaturalizowanego wojną życia. Cynizm potrafi imponować młodzieży. Aby nie rozładować akumulatora ideowego naszej młodzieży, musimy się uciec do starej zasady sztuki wojennej, a mianowicie, że najlepszą obroną jest natarcie. A więc nie bronić się przed wpływami wojska na młodzież, lecz postawić tej młodzieży zadanie stworzenia atmosfery w wojsku” [62].



Instrukcje dla żołnierzy AK, jak niszczyć i rozbierać mosty.

W drugiej połowie 1942 roku „Anoda” uczestniczył w drugim turnusie

Zastępczego Kursu Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agrikola” zorganizowano go specjalnie dla Szarych Szeregów. Janek ukończył kursy wyszkolenia bojowego, wielkiej dywersji oraz minerki.

W styczniu 1943 roku uzyskał stopień starszego podchorążego.

Janek był zastępcą dowódcy drużyny CR 200 w harcerskim Hufcu „Centrum” Grup Szturmowych (1942–1943). Dowódcą był jego wielki przyjaciel Konrad Okolski „Kuba”.

Przejście od małego sabotażu do Grup Szturmowych wiązało się z przekroczeniem granicy, jaką było zabijanie wrogów. Harcerskie dowództwo akceptowało uczestnictwo w akcjach zbrojnych, ale niekoniecznie w likwidacyjnych^[63].

Pierwsze poważne zadanie GS-ów polegało jednak na zastrzeleniu volksdeutscha, konfidenta Ludwika Herberta. Wyrok na początku 1943 roku wykonał Tadeusz Zawadzki „Zośka”.

Potem harcerzom raczej nie powierzano takich zadań. Bo co innego wykonywać wyrok na człowieku bezbronnym, a co innego zabijać w walce, kiedy przeciwnik jest uzbrojony. Do takich akcji wszyscy się garnęli.

Najpierw jednak zaprawiali się w zdobywaniu broni. Uczestniczyli też w przenoszeniu magazynów uzbrojenia, którym groziła wpadka.



Janek przyjmował kolejnych żołnierzy do oddziału.

11 listopada 1942 roku Henryk Józef Kowal razem z dwoma kolegami składał konspiracyjną przysięgę. Jednym z obecnych dowódców był „Anoda”. Chłopcy spotkali się w mieszkaniu Konrada Okolskiego „Kuby”. Jak zwykle podłogę wyłożono hitlerowskimi flagami ze swastyką. I jak zwykle stała lampka przykryta czerwonym materiałem udająca ognisko. Nastrój był podniosły i wzruszający.

Ale kiedy zakończono oficjalną przysięgę, chłopcy nie mieli nic przeciwko zabawie.

– Janek wziął szczotkę na kiju, założył hełm niemiecki na głowę, przebrał się w dziwne ubranie wyciągnięte z jakiegoś kąta i udawał, że chodzi po Berlinie – wspominał Henryk Józef Kowal „Henryk”^[64]. – Pamiętam

piosenkę, którą wtedy śpiewał: „Po Berlinie sobie tuptam, trupek tu i trupek tam”. Janek zawsze wnosił dużo humoru.

Potwierdzali to wszyscy – kiedy trzeba, Janek był niezwykle poważny, skoncentrowany i dokładnie wykonywał zadanie. A kiedy było można, żartował do upadłego. Choć koledzy widzieli go w dziwacznym przebraniu i ze szczotką na kiju, nikomu nie przychodziło do głowy, by kwestionować jego rozkazy. Harcerze potrafili być jednocześnie kolegami oraz dowódcami i podkomendnymi. Może to między innymi odróżniało ich organizację od tradycyjnego wojska z jego sztywnymi, hierarchicznymi stosunkami. I budowało legendę Szarych Szeregów, które były nie tylko armią, ale tak jak harcerstwo – sposobem na życie.

„Anoda” przychodził na szkolenia na ulicy Śniadeckich jako wykładowca. Uczył terenoznawstwa, organizacji wojska.

– Wykładowcą był wspaniałym – wspominał Henryk Kowal. – Umiął pogodzić wykłady z dowcipami. Dzięki temu bardzo łatwo się wszystko zapamiętywało. Był bezpośrednim człowiekiem. Jak ktoś o coś później pytał czy nie zrozumiał, to zwracał na to uwagę, ale w bardzo grzecznej formie.

Henryk Kończykowski zapamiętał jednak, jak Janek zwymyślał go w nieparlamentarnych słowach za głośnie tupanie butami w czasie przechodzenia przez most podczas nocnych ćwiczeń. Kończykowski wyrzekania przyjął z pokorą, bo w pobliżu kwaterowali Niemcy. Słyszeć było nawet ich śpiewy i granie na harmonii^[65].

– W naszym plutonie nikt się nie afiszował, że jest dowódcą – opowiadał Henryk Józef Kowal. – Wszyscy byliśmy kolegami. Potem ci, co dołączyli do nas w partyzantce, dziwili się, że krytykujemy dowódcę. Ale my krytykowaliśmy go jako kolegę, a nigdy, gdy wydawał rozkaz. Wtedy był naszym przełożonym.



Policja niemiecka podczas kontroli dokumentów u przechodniów, 1943 r.

– Nie przypominam sobie, by „Anoda” poruszał takie tematy jak bohaterstwo, walka za ojczyznę – wspominał Henryk Józef Kowal. – Uważaliśmy, że to nasza normalna służba.

Henryka Kończykowskiego Janek uczył na kursie minerskim. – Był zakochany w materiałach wybuchowych – zapamiętał Kończykowski^[66]. – Znał na pamięć wszystkie spłonki, detonatory pośrednie, bezpośrednie, chemiczne, uderzeniowe. Demonstrował, jak działają, jak obliczać długość lontu, żeby zdążyć uciec. Nawet kiedyś sobie, demonstrując, rękę przypalił.

Po kursie harcerzy dopuszczano już do poważniejszych akcji, takich jak transporty broni. Nikt ich nie lubił, bo nie liczyły się jako zbrojne akcje, choć i podczas nich żołnierze ginęli.

Pewnego dnia Henryka Kończykowskiego razem z kolegami wysłano po odbiór broni w Warce. Zwykle chłopcy dopiero na miejscu dostawali pistolety, by w razie czego mieli czym się bronić. Ale w Warce czekały na nich tylko karabiny. Pistolety trzeba było więc zabrać ze sobą z Warszawy.

Kończykowski był zaniepokojony, bo musieli z tą bronią jechać kilka godzin powolną ciuchcią. A niemal co drugi dzień Niemcy zatrzymywali pociąg i rewidowali wszystkich.

– Pamiętam, że tak sobie myślałem: choroba, co to będzie – wspominał. – Kiedy dowiedziałem się, że dowodzić będzie „Anoda”, od razu odżyłem. Do „Anody” mieliśmy wyjątkowe, stuprocentowe zaufanie. Jak się było koło niego, to wiadomo było, że nic nam nie grozi, bo on pomoże. Zawsze był spokojny, opanowany.

Janek miał wówczas ze sobą pistolet maszynowy, a reszta – zwykłe.

Akcja był ciężka fizycznie. W kolejce panował straszliwy tłok. Potem od Warki szli kilka kilometrów przez las. Na miejscu, w stodole za podwójną ścianką, czekało na nich kilkanaście karabinów. Największym problemem okazała się amunicja. Kilka ciężkich worków. Na plecach daleko by tego nie zanieśli.



Patrol policji niemieckiej na ulicach Warszawy, 1942 r.

– „Anoda”, chyba za własne pieniądze, skombinował na wsi furmankę – zapamiętał Henryk Kończykowski. – Załadowaliśmy i wyjechaliśmy późnym wieczorem. A już za dnia zajechaliśmy do Zalesia, do domu „Zośki”.



Mimo wojny młodzież starała się żyć normalnie.

Podobno Janek w czasie wojny zakochał się w Hance Zakrzewskiej „Białej”. Rywalizowali o nią z Jerzym Gawinem „Słoniem”.

– Była śliczna i odważna – wspominała Danuta Winiarska „Słoninka”^[67] (siostra „Słonia”, stąd pseudonim). – Jurek powiedział mi, że oni między sobą się porozumieli: który pierwszy zabije Niemca, ten będzie miał prawo starać się o Hanke. Drugi musi ustąpić. Hanka zginęła podczas powstania, na oczach Jurka.

A Jerzy Gawin „Słoń” zginął kilka tygodni później na Przyczółku Czerniakowskim.

Danuta Winiarska była łączniczką i sanitariuszką. Zapamiętała szalone pomysły Janka. Kiedyś wybrali się do Andrzeja Samsonowicza „Księcia”. To było świąteczne przyjęcie. Gaszono światła, po czym chłopcy pojawiali się jak duchy i odgrywali różne osoby. Gdy kolejny raz zapalono światło, zobaczyli Janka na balkoniku okalającym szczyt pieca. Stał w przedziwnej pozie ubrany w czarny trykot. Wszyscy byli zdumieni, jak się tam dostał.

Kiedy indziej „Anoda” udawał, że jest kowbojem. Stał na rękach i nogami tak nieszczęśliwie porysował bufet, że trzeba było go pastować, żeby rodzice nie nakrzydzeli.

Innym razem znajomi, wchodząc do parku, zobaczyli „Anodę” stojącego na cokole pomnika. Wygłaszał jakieś przemówienie.

– Mama Janka mi opowiadała, jak gdzieś zdobył rewolwer – zapamiętała Danuta Winiarska. – Siedzieli w domu z kolegą i w pewnym momencie mama usłyszała huk nie z tej ziemi. Jasiowi pistolet wystrzelił. A dookoła Niemcy. Wszyscy się bali, ale mama zносиła te jego wszystkie wyczyny. Była szalenie tolerancyjna, miła i serdeczna dla nas.

W Boże Narodzenie Andrzej Samsonowicz, który mieszkał dwa domy od Winiarskich, przyszedł już po godzinie policyjnej i przyniósł paczkę ze smakołykami. – Panie Andrzeju, przecież już po ósmej – niepokoiła się mama Danuty.

– Rozejrzałem się, nikogo nie było – odpowiedział chłopak.

– Młodzi ludzie zawsze wierzą, że im się uda – wspominała Danuta Winiarska. – Już ósma godzina, a my dopiero pędzimy do domu.

Często jednak rodzice zatrzymywali ich w domu, żeby się niepotrzebnie nie narażali. Chłopcy i dziewczęta nocowali u Konrada Okolskiego. Potem rano szli na mszę do kościoła Zbawiciela.

– Myśmy świetnie się czuli, świetnie ześmy się bawili – wspominała Danuta Winiarska. – Mimo że groziło nam w każdej chwili niebezpieczeństwo. Gdy ktoś wychodził na ulicę, nigdy nie wiedział, czy wróci. Nie chodziliśmy do kina, to się bojkotowało. Ale kiedyś byliśmy na jakichś koncertach muzyki poważnej. U nas w domu był adapter. Wtedy to była rzadkość. Tata nam zrobił prezent. Mieliśmy dużo płyt. I operowych, i do tańca, i z różnymi piosenkami. Przychodzono do nas w niedzielę po mszy, wtedy włączaliśmy ten adapter i płyty.

Jednym z gości był „Anoda”. Lubił muzykę. Dziewczyny żałowały tylko, że Janek nigdy nie tańczy. Ale on przyrzekł sobie, że nie zrobi tego do końca wojny. Za to czasami sam coś śpiewał albo deklamował.

Danuta Winiarska: – Był taki fajny, bezpośredni i beztroski. Żaden z innych chłopców podobnych rzeczy nie robił. A byli przecież w jego wieku. Jego coś roznosiło. Jak zginął, pomyślałam: „Może to jest tak, że jak ktoś krótko żyje, to musi przez ten czas wyładować swoją energię”



26 marca 1943 roku to jedna z najśłynniejszych dat w historii Szarych Szeregów. Akcja pod Arsenalem.

W nocy z 22 na 23 marca 1943 roku w mieszkaniu przy alei Niepodległości 159 Niemcy aresztowali Jana Bytnara „Rudego” i jego ojca. Wyraźnie szukali właśnie „Rudego”. Już od drzwi wołali z udawaną serdecznością: – Janek, Janeczek!



Pomnik upamiętniający akcję pod Arsenalem na ulicy Długiej w Warszawie.

Przeprowadzono szybką rewizję. „Rudego” i jego ojca zawieziono na Pawiak.

„Wszystko wskazywało na to, że wsypa dokonała się poza organizacją, natomiast wiadome jest, że Niemcy byli dość dobrze poinformowani o przynależności organizacyjnej obydwu konspiratorów – opisywał Stanisław Jastrzębski w książce „Zaczęło się pod Arsenalem” – Natychmiast wdrożone śledztwo miało na celu jak najszybsze wyciągnięcie od »Rudego« wiadomości o całej organizacji, wydobyć adresów i nazwisk jej członków. Niemcom chodziło o to, aby uzyskać te informacje, zanim pozostali na wolności członkowie organizacji zdążą zatrzeć ślady. Najpewniejszą ochroną przed aresztowaniem było w takim wypadku zlikwidowanie wszystkich materiałów organizacyjnych i natychmiastowe wyprowadzenie się z domu w sobie tylko wiadomym kierunku”^[68].

Koledzy postanowili odbić okrutnie torturowanego przez Gestapo „Rudego”.

Jeszcze tego samego dnia „Zośka” opracował plan – akcję „Meksyk I”. Zamierzano zaatakować więźniarkę, którą po południu przewożono „Rudego” z siedziby Gestapo w alei Szucha na Pawiak.

Przedsięwzięcie odwołano jednak, bo nie uzyskano na czas zgody dowódcy Oddziałów Dyspozycyjnych Kedywu Komendy Głównej AK.

Na następny dzień zaplanowano więc kolejną akcję – „Meksyk II”

Do walki o uwolnienie „Rudego” wyznaczono najstarszych stażem i funkcją żołnierzy Grup Szturmowych. A wśród nich tych, którzy byli najbardziej zżyci z „Rudym”. W sumie 28 osób.

Pierwszy na Niemców miał uderzyć „Anoda”. Dowodził sekcją „butelki”



Janek Bytnar od 1940 r. działał w Szarych Szeregach. Od 1942 r. był dowódcą hufca „Południe” i jednocześnie plutonu „Sad” w Oddziale Specjalnym „Jerzy” Kedywu KG AK.



Pawiak – w czasie okupacji niemieckiej jedno z głównych więzień śledczych niemieckiej policji bezpieczeństwa na terenie GG.

Akcję zaplanowano w historycznym miejscu.

„Arsenał warszawski długo czekał na swoje wielkie dni – opisywał Stanisław Broniewski „Orsza”, który wtedy dowodził. – Zbudowany w XVII wieku spełniał swoją funkcję składnicy broni. Aż nadszedł 17 kwietnia 1794 roku. Od 25 dni trwała już w Krakowie insurekcja. Przez kraj szedł pogłos huku armat i szczęku kos spod Raławic. – Kraj powstawał. A gdy wezbrana fala dotarła do Warszawy, właśnie tu, pod Arsenalem, nastąpił wybuch. Tu ręce wyciągnęły się po broń; tu padły strzały, polała się krew; tu przyciszony szepot zniewolonego narodu nareszcie zamienił się w okrzyk pełną pierśią. Okrzyk wolności! Od tej chwili dni Arsenалу biegły już inaczej” [69].

I w tym miejscu znowu miały paść strzały. Na rogu ulic Bielańskiej i Długiej.

Miejsce wybrano starannie. Tuż przed nim nadjeżdżająca ciężarówka musiała pokonać dwa zakręty. Powinna więc zwolnić.

Przed godziną siedemnastą transportowanego na noszach „Rudego” zobaczył w siedzibie Gestapo Zygmunt Kaczyński „Wesoły”, który jako akwizytor firmy E. Wedel bywał często w budynku. W obecności niemieckich oficerów podał przez telefon umówione hasło: – Wysyłam towar, musi być bezwzględnie odebrany!



Przedwojenne zdjęcie warszawskiego Arsenалу, składnicy broni zbudowanej w latach 1638–1643 za panowania Władysława IV Wazy.

„Katoda” zapamiętał ostatnie minuty przed akcją: „Rychło na placu zaroilo się od naszych chłopców, którzy niewielkimi grupkami gromadzili się, udając dla niepoznaki, że dokonują zakupów. Wśród wszystkich górował Alek Dawidowski, krzątał się zaś najbardziej Maciek Bittner. W pewnym momencie z pobliskiego przedsiębiorstwa ogrodniczego wyjechał wózek rowerowy, wiozący owinięte słomą drzewko owocowe i siedzącego na nim pasażera. Chochoł w takt ruchu pedałów riksiarza chwiał się przekomicznie. Widok ten rozśmieszył nas z »Anodą«. Zaczęliśmy sobie pokazywać osobliwego pasażera, który spostrzegłszy drwinę, pogroził nam pięścią. »Anoda« uznał to za bardzo dobrą wróżbę” [70].

Na akcję Janek poszedł uzbrojony w dwa przestarzałe francuskie rewolwery Mle 1892, zwane też od nazwiska konstruktora „lebelami”. Najważniejsze były jednak butelki z benzyną.

Więźniarka nadjechała o godzinie 17.30. Dowodzący akcją Stanisław Broniewski „Orsza” sięgnął po gwizdek. Niemcy zamknięci w aucie nie usłyszeli polskiego sygnału do ataku.



Tadeusz Zawadzki „Zośka”, zastępca dowódcy Oddziału Specjalnego „Jerzy” Kedywu KG AK, dowódca wielu akcji bojowych.

Ale nagle na ulicy pojawił się granatowy policjant. Niewiele brakowało, żeby przez niego załamała się cała akcja. Dostrzegł uzbrojonych Polaków. Sięgnął po broń. Strzelił do niego błyskawicznie orientujący się w sytuacji „Zośka”.

Kierowca nadjeżdżającej więźniarki widzi jednak to wszystko. Na skrzyżowaniu skręca w inną, niż przewidywano, stronę.

„Anoda” błyskawicznie podejmuje decyzję – rzuca butelką. Ale nie trafia – butelka upada na ziemię. Druga ląduje już precyzyjnie na szybie szoferki. Ale kolejny pech – nie rozbija się. Dopiero trzecia eksploduje. W płomieniach staje maska auta i kabina kierowcy.

Prowadzący Niemiec upada na kierownicę. Z szoferki wyskakują dwaj inni. Próbuje ugasić na sobie mundury. Jeden z nich, płonąc jak pochodnia, jeszcze sięga po broń. Likwiduje go seria z polskiego stena.

Ulica jest pusta. Poukrywali się wszyscy przechodnie. Harcerze widzą już tył wozu. Po bokach tylnej ławki siedzą dwaj Niemcy. Strzelają, dokładnie

celując.

Trafiają „Anodę”. Po akcji zauważą, że ma drażniętą szyję, przestrelone spodnie, rękaw i wgnieciony portfel na piersi.

Akcja trwa już kilkanaście minut. Czas gra przeciw Polakom.

Ulicą Nalewki nadchodzi esesman z kobietą. Sięga po broń. Likwiduje go „Alek” z ubezpieczającej sekcji „granaty”

„Anoda” podbiega do Józefa Saskiego „Katody” i woła:

– Byczo jest. Dawaj swoje pistolety. Moje są puste, a muszę jeszcze wracać.

„Katoda” waha się. W końcu oddaje koledze rewolwery, które zdążył naładować. Odbiera od niego te z pustymi bębenkami. Zaczyna uzupełniać amunicję.

W tym momencie z bramy przy ulicy Długiej wychodzi gruby esesman z wielką swastyką na rękawie. Strzela do „Katody”. Trafia w wystawę cukierni. Sypie się szkło.

„Katoda” jest bezbronny. Nie zdążył naładować rewolweru, na który zamienił się z „Anodą”. Bębenek musi przekręcić się kilka razy. Do esesmana na szczęście strzela Stanisław Jastrzębski „Kopeć”

„Zośka” podrywa wszystkich do ataku. Jeden z siedzących z tyłu więźniarki Niemców nie wytrzymuje. Chowa się za maską wozu. Drugi już nie żyje.

Chłopcy podbiegają do więźniarki. Opuszczają klapę. Aresztowani wyskakują na wolność. Polacy zabierają nosze ze skatowanym przez Niemców „Rudym”. Ładują go do swojego samochodu.

Spośród bitewnego huku i kurzu wyłania się nieziemski postać: kobieta w wizytowej sukni. To jedna z osób przewożonych w więźniarce. Chłopcy pomagają jej uciec.

Po chwili skrzyżowanie przeżywa swoje krótkie chwile wolności – tak to zapamiętał „Orsza”

Ktoś krzyczy do „Anody”: – Brawo, chłopaki! Łać szkopów!

„Katoda” słyszy: – Ale Meksyk! Panie, czy to powstanie? Daj pan broń!

„Wydaje się, że okupacyjną ciemność rozdarła błyskawica, że tu, na skrzyżowaniu ulicy Bielańskiej i Długiej, pierwszy raz od czterdziestu

dwóch miesięcy zabłysła Polska” – napisał potem „Orsza”^[71].

Koniec akcji. Odwrót ulicą Długą w stronę Starego Miasta.

„Anoda” trafia na Niemca w cywilnym ubraniu, ale z wpiętą w klapę swastyką. Celuje do niego z dwóch rewolwerów. Niemiec poddaje się, podnosi do góry ręce.

– Strzelać? – pyta „Anoda” dowódcę. „Orsza” odpowiada: – Zostaw.

„Mimo trzech lat bandyckiego postępowania Niemców trzeba było trzymać na wodzy chęć zemsty i pamiętać, że polskich żołnierzy obowiązuje międzynarodowe prawo, pamiętać, że polski żołnierz nigdy nie zamieni się w żołdaka – wspominał Stanisław Broniewski. – Niemiec został żywy”^[72].

Podczas odwrotu Niemcy ranią „Alka”

„Alek uczył ostre uderzenie w brzuch – opisywał Aleksander Kamiński. – Uderzenie tak silne, że skurczył się, zatoczył i opadł na chodnik. Dotknął lewą ręką ubrania i wyczuł coś ciepłego, lepkiego. Spojrzał – krew. Przez chwilę skurcz strachu wstrzymał bicie serca, ale w ułamku sekundy potem szarpnęła mózgiem ostra świadomość – ujrzał bowiem lufę pistoletu wymierzoną wprost w swoją twarz”^[73].

Obok „Alka” pojawił się niemiecki cywil. Celuje w niego, niemal przystawiając broń do głowy.

Do Niemca z dwóch rewolwerów strzela „Anoda”



Po akcji „Orsza” idzie w stronę ulicy Kapucyńskiej i wsiada do dorożki. Jedzie w stronę placu Napoleona (dziś plac Powstańców Warszawy). Po drodze, gdy przejeżdża przez Krakowskie Przedmieście, dostrzega idącego ulicą Janka. Nic nie wskazuje na to, że przed chwilą brał udział w akcji przeciwko Niemcom.

Podobno matka „Anody” dopiero po latach, czytając o akcji pod Arsenalem, dowiedziała się o roli swojego syna.

Po tym starciu Niemcy w Warszawie „poczęli otaczać się bunkrami, kozłami z kolczastego drutu, wzmocnili posterunki, patrole” – wspominał „Orsza”. Była to pierwsza tak poważna akcja w okupowanej Warszawie.



Przesłuchanie przez gestapo, rysunek Mieczysława Watorskiego, 1965 r.

Podczas natarcia uwolniono „Rudego” i 21 innych osób. Ale poniesiono też spore straty. Zmarli ranni podczas akcji Maciej Aleksy Dawidowski „Alek” i Tadeusz Krzyżewicz „Buzdygan”. Huberta Lenka „Huberta” zatrzymano i zamordowano. Potem Niemcy aresztowali rodziców i trzy siostry Jerzego Trzcńskiego „Tytusa”, a także Witolda Zdanowicza z synem i sublokatozem^[74]. Rozstrzelali także 140 więźniów Pawiaka.

Kilka dni później Jan Bytnar „Rudy” zmarł. W odwecie Polacy wykonali wyroki śmierci na dwóch torturujących go gestapowcach – Schulzu i Langem.

Akcja pod Arsenalem zawsze miała szczególne znaczenie dla żołnierzy batalionu „Zośka”.

– Nie chodziło o sam bohaterski czyn – wspomina Anna Jakubowska „Paulinka”. – Ale o więź i koleżeństwo. To była jakby kwintesencja naszej postawy: zrobić wszystko, żeby odbić kolegę.

Za Arsenał Janek dostał pierwszy raz Krzyż Walecznych.



W 1947 roku, wypełniając arkusz ewidencyjny dla Związku Uczestników Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację, Janek nie zdołał zmieścić się

w rubryce numer 11 „Udział w walkach z Niemcami” (oryginalna ówczesna pisownia). Drobnym maczkiem wpisał:

„Akcje dywersyjne w baonie »Zośka«: Arsenał, Celestynów, Sieczychy, Wilanów oraz 11 innych ostrych akcji m.in. wykolejenie 8 pociągów, 2 mosty i inne. Od kwietnia do lipca 1944 partyzantka pod Wyszkwem. Powstanie Warszawskie – w baonie »Zośka« – Wola, Stare Miasto, Śródmieście, Czerniaków”^[75].

Lapidarność bohaterstwa.

Niedługo po Arsenale „Anoda” uczestniczył w kolejnej poważnej akcji. Pod Celestynowem mieli odbić kilkadziesiąt osób transportowanych do obozu koncentracyjnego Auschwitz. „Anoda” należał do grupy „Więźniarka”. Uderzyli na stacji kolejowej w nocy z 20 na 21 maja 1943 roku.

Jedna grupa miała drągiem otworzyć wagon. Ale nie dawali rady. Podbiegł „Anoda”, założył ładunek wybuchowy i zniszczył blokadę.

Kilka dni później – 27 maja 1943 roku – „Anoda” dowodził grupą zabezpieczającą akcję zdobycia chloranu potasu do produkcji materiałów wybuchowych. Opanowano magazyny fabryki chemicznej przy ulicy Siarczanej 6 na warszawskiej Pradze. Akcję upozorowano na napad rabunkowy.

20 sierpnia 1943 roku – Sieczychy. Zlikwidowano posterunek żandarmerii granicznej. „Anoda” atakował ze swoją grupą od frontu.

Juliusz Deczkowski „Laudański” wspominał^[76], że przed akcją Sieczychy przyszedł do niego zmartwiony „Anoda”. „Laudański” prowadził magazyn broni u siebie w mieszkaniu przy ulicy Złotej 49/21. Zwykle miał „na stanie” kilka stenów. Tym razem również pistolet maszynowy Schmeisser zdobyty pod Celestynowem.

„Anoda” powiedział: – Zobacz, mam stena, bo jestem stylistą.



Grób Tadeusza Zawadzkiego w kwaterze Batalionu „Zośka” na warszawskim Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

To oznaczało, że w sześciuosobowej grupie uderzeniowej to on dysponuje największą siłą ognia. Na nim więc spoczywa największa odpowiedzialność.

Janek pożalił się, że w jego stenie zacina się trzon zamkowy o magazynek. Pokazał „Laudańskiemu”, na czym polega problem. I zaczął podchody, żeby zdobyć upragnionego schmeissera.

Udało się. Potem mówiono o nim „nałogowiec schmeisserowiec”. Nie chciał się rozstawać z tą bronią.

Przed samą akcją Sieczychy „Anoda” zaczął porządkować kieszenie^[77]. Wyciągał swoje skarby: sznurki, rzemyki, latarkę, zapasowe druty, agrafki, chustki, opatrunek, ołówki, kartki i cokolwiek tam jeszcze było.

– Zawsze coś się może przydać – tłumaczył z charakterystycznym dla siebie skrzywieniem ust, takim swoim uśmiechem.

Kiedy na początku akcji „Anoda” puścił krótkie serie w stronę strażników,

dwóch z nich wyskoczyło z budynku w samej bieliźnie. Ale po chwili nie było już zabawnie. Podczas akcji poległ Tadeusz Zawadzki „Zośka”. Był podczas tej akcji tylko obserwatorem.

Juliusz Deczkowski opisywał^[78], że kiedy zaczęli szturm budynku, nagle któryś z Niemców strzelił przez okno.

– Tadeusz, uważaj, ostrzał – krzyknął „Anoda”. Ale „Zośka” zachwiał się, ugiął kolana i upadł. Deczkowski pochylił się nad nim: – Co się druhowi stało?

Odpowiedziała mu cisza. Dowódca akcji Andrzej Romocki „Morro” spojrzął w oczy zabitego i krzyknął: – „Zośka”!

Dwóch chłopaków chwyciło ciało pod plecy, trzeci za nogi. Przenieśli kilkadziesiąt metrów do punktu sanitarnego.

Jacek Karpiński szedł potem obok furmanki wiozącej ciało „Zośki”. Kiedy jego ręka spadała bezwładnie, Karpiński ją poprawiał. Wreszcie podszedł doktor Zygmunt Kujawski „Brom” i powiedział: – Jacek, jemu jest wszystko jedno.

Dopiero wtedy do Karpińskiego dotarło, że „Zośka” nie żyje.

Stanęli w dwuszeregu na polanie. Ciało „Zośki” leżało przed nimi. „Morro” wystrzelił z pistoletu w powietrze. To było ich wzruszające pożegnanie.

1 września 1943 roku z Grup Szturmowych Szarych Szeregów powstał batalion nazwany imieniem „Zośki”



To jeden z trzech – oprócz „Parasola” i „Wigier” – batalionów złożonych przede wszystkim z harcerzy. Wiele lat później, w 1968 roku, odznaczono go Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Żołnierzem „Zośki” był między innymi poeta Krzysztof Kamil Baczyński, który zginął w Powstaniu Warszawskim, już w szeregach „Parasola”.

W batalionie „Zośka” Janek był zastępcą dowódcy III plutonu „Felek” w kompanii „Rudy”. Tak jak w Grupach Szturmowych jego bezpośrednim przełożonym był Konrad Okolski „Kuba”.



Krzysztof Kamil Baczyński, poeta i żołnierz Armii Krajowej, zginął w Powstaniu Warszawskim 4 sierpnia 1944 r.

Pluton nazwano na cześć Feliksa Pendelskiego „Felka”, kolejnego niezwykłego harcerza. Syn szkolnej sprzątaczkii i woźnego w bibliotece miał taką charyzmę, że pociągnął za sobą profesorskie dzieci. Był jednym z najważniejszych dowódców Szarych Szeregów. Uczestniczył w akcjach pod Arsenalem, Celestynowem, Czarnocinem. Zginął 6 czerwca 1943 roku, broniąc ранego kolegi.

„Anoda” brał udział we wszystkich akcjach swojego plutonu. Na przełomie czerwca i lipca 1943 roku uczestniczył w przygotowaniach do uwolnienia więźniów pod Jaktorowem. Potem 10 września 1943 roku organizował oswobodzenia aresztowanych pod Milanówkiem.

W nocy z 23 na 24 października 1943 roku był zastępcą dowódcy w akcji wykolejenia niemieckiego pociągu urlopowego pod Pogorzelą.

Niewiele brakowało, aby to ostatnie przedsięwzięcie spełzło na niczym. Pociąg z niemieckimi żołnierzami długo nie nadjeżdżał. Kiedy opanowano budkę dróżnika, okazało się, że niemiecki skład stanął w polu, bo zepsuła się

lokomotywa. Zastępczą zamierzano podstawić dopiero rankiem. Tak długie oczekiwanie było zbyt niebezpieczne dla zamachowców.

„Kuba”, dowódca akcji, uparł się, żeby doprowadzić sprawę do skutku. Grożąc bronią, zmusił dróżnika, aby natychmiast wezwał zastępczy parowóz.

Pociąg wreszcie ruszył. Toczył się jednak ospale. „Anoda” prawdopodobnie nieco za wcześnie odpalił minę, tuż przed lokomotywą. Jadący wolno skład wykoleił się. Z szyn wypadły tylko dwa wagony. Dwa następne zostały jedynie uszkodzone. Akowcy ostrzelali jadących Niemców. Był to odwet za wprowadzony w Warszawie terror.

Kolejna akcja kolejowa, tym razem wielki sukces. „Anoda” dowodził patrolem minującym tory niedaleko stacji Rogoźno. Nocą z 5 na 6 kwietnia 1944 roku zamierzano wysadzić przepust kolejowy. „Anoda” postanowił, że nie warto niszczyć pustego przejazdu. Lepiej poczekać na jakiś pociąg.

„Po raz pierwszy robił tak daleką wyprawę w świat – opisywał Aleksander Kamiński. – Był więc lekko speszony i nie bardzo pewien siebie. Ostatnio dużo siedział w domu nad przygotowaniem do egzaminów w kompletach politechnicznych. Wiosenne słońce, szmaragdowa zieleń oraz powiew ciepłego wiatru oszołomiły go. Dlatego specjalnie starannie zakładał miny i pod przepustem, i przed przepustem, i za przepustem. Na wszelki wypadek! Byle tylko pociąg i przepust »zagrały«. W wyniku tych manipulacji w powietrze wyleciał przepust kolejowy i lokomotywa ogromnego pociągu towarowego, pełnego zaopatrzenia wojskowego (powodując wykolejenie i wywrócenie wielu wagonów), a w pół godziny potem zwałił się tu jakiś pusty pociąg towarowy, rozbijając lokomotywę i gruchocąc wagony”^[79].

Ale na torach pozostała jeszcze jedna mina. Na tę najechał kolejny skład, tym razem ratowniczy.

Za tę akcję „Anodę” odznaczono po raz drugi Krzyżem Walecznych.

Nocą z 22 na 23 września 1943 roku „Anoda” dowodził patrolem, który w ramach akcji „Szosy” atakował niemieckie samochody na trasach wylotowych z Warszawy.

Stanisław Sieradzki „Świst” zapamiętał brawurę Janka. Kiedyś zgłosił się na akcję, na której potrzebna była znajomość niemieckiego. A wymawiał

dobrze tylko: „Jawohl, herr leutnant”

W styczniu 1944 roku Tadeuszowi Ratyńskiemu „Stenowi”, który prowadził w domu magazyn broni, w dłoni eksplodował granat. Ranił też jego matkę.

Chłopak zmarł wieziony dorożką przez granatowych policjantów. Jego matka trafiła do szpitala. Akowcy postanowili ją stamtąd ewakuować^[80].

Poszli we czterech. „Anoda” został na dole w holu. Zablokował wyjście i nie pozwalał nikomu opuścić szpitala. Trzej pozostali weszli na górę do matki „Stena”.

Już wcześniej wiedziała, że po nią przyjdą. Lekarz nie miał o niczym pojęcia, ale nie robił przeszkód.

Ponieważ było zimno, zabrali wiszącą na wieszaku cudzą jesionkę (po jakimś czasie grzecznie ją zwrócili).

Kobietę przewieziono dorożką na bezpieczną kwaterę. Niemcy pojawili się w szpitalu kilkanaście minut po ucieczce.

„Nazwałem go kiedyś człowiekiem »tysiąca jednej przygody« – wspominał Janka Andrzej Wolski „Jur” – co wywołało perlistą kaskadę śmiechu jego matki. To było w czasie okupacji, kiedy jeszcze rodzina Rodowiczów była w komplecie. Wszyscy oczywiście pogrążeni w konspiracji. Ojciec Janka, profesor Politechniki Warszawskiej, prowadził wykłady w tajnym nauczaniu. Przeurocza pani Rodowicz dzieliła swój czas między pracę społeczną i czynną pomoc w pracy konspiracyjnej Zygmunta i Janka. Zygmunt, już oficer WP czynny w podziemiu, a Janek u nas w plutonie »Felek«. (...) Rodowiczowie mieszkali w alei Niepodległości. Duży nowoczesny dom apartamentowy, wyłożony tak modną przed wojną szarą cegłą, przetrwał dzielnie oblężenie Warszawy i gdyby nie parę dziur po pociskach artyleryjskich, można by mieć wrażenie, że nic tu się nie działo. Zielone trawniki, chodniki wymiecione, drzewa przycięte. Nawet Niemców mniej było widać. Czasem przeszedł patrol żandarmerii. Mieszkanie było na parterze, a tuż pod nim piwnica, która była punktem centralnym działalności obu braci Rodowiczów. Zygmunt przygotowywał swoje wykłady wojskowe, a Janek grzebał się w stosach rzeczy mniej lub bardziej przydatnych do naszych celów. Tu leżała pomięta flaga hitlerowska zerwana

z Zachęty, pod nogami brzęczały puszkę po farbie, którą malowaliśmy kotwice na murach, na półkach zwoje sznurków, łańcuchy, w kącie piętrzyły się skrzynie po amunicji z września 1939 roku, a na rajzbrecie przyciągały oczy szkice topograficzne, kreślone mistrzowską ręką Janka. Od czasu do czasu spotykaliśmy się tam w dobrze określonym celu. Kiedy przychodziłem, w kącie leżał kawał starej plandeki, którą przykryte były peemy i pistolety. Zjawiałem się przeważnie o zmroku. Małe okienko piwnicy wychodziło bezpośrednio na Pole Mokotowskie. Kiedy już stałem obładowany bronią, Janek uchylał okienko, wysuwał się na zewnątrz i znikał w ciemności. Po jakimś czasie wsuwała się jego ręka i ku mojej radości, pozbywałem się ciężaru gniotącego mi plecy. Nie na długo, bo na zewnątrz musiałem odebrać z powrotem, od Janka, część broni. Tak uzbrojeni, rzeczywiście po zęby, szliśmy na wprost zgięci między wysokimi trawami, oddalając się od domu. Janek znał każdą dziurę. Wreszcie na jego znak padaliśmy zdyszani na ziemię. Janek rozkładał plandekę, na której układał broń z właściwą mu pedanterią – w jednym miejscu, zostawiając resztę płótna wolną. Następnie odbezpieczaliśmy każdą sztukę, układając – każdy dla siebie – broń uprzednio wyznaczoną. Janek przez chwilę nasłuchiwał, wlepiając wzrok w ciemność, a następnie brał do ręki peem. Ja naśladowałem go w każdym ruchu. Po czym w tę ogromną ciszę, utkaną dalekimi odgłosami miejskimi, wdzierają się nagle seria strzałów. Potem moja, później znów Janka, i ponownie moja, a potem pistolety ręczne, aż do ostatniej sztuki. Specjalne miejsce było przygotowane na broń, która nie działała. Wreszcie ogłuszeni strzałami, zaczadzeni swądem palonego prochu, nieruchomieliśmy na parę minut, wpatrując się w otaczającą nas czern. Powoli zaczynały dochodzić odgłosy ulicy. Nasłuchiwaliliśmy, czy przypadkiem nie słyhać syren policyjnych. Jeżeli dochodzące odgłosy świadczyły o normalnym ruchu, Janek dawał znak ręką i bez słowa zbieraliśmy »przestrzeloną« broń. Specjalny chlebak był przewidziany na zepsute sztuki. Wracaliśmy ostrożniej, w dużych odstępach od siebie. Wreszcie sylwetka Janka zniknęła i po odczekaniu chwili sam lądowałem bezpiecznie na podłodze piwnicy.

Na górze czuwała matka Janka. Zawsze czekała na nas z herbatą. Teraz

jeszcze widzę błyszczące, piękne oczy tej dzielnej kobiety, wpatrzone w nas i słyszę jej melodyjny głos, jakże spokojny, kojący”^[81].



Nazywali to kąpiele świętego Szczepana albo świętego Wita. Dziś już nikt dokładnie nie pamięta.

Na leśnym zgrupowaniu rano, jeszcze przed myciem i śniadaniem, „Anoda” wybiegał do lasu. Gęsiego za nim chłopcy w samych spodenkach kąpielowych. Pędzili przez zagajnik jałowcowy. Kolczaste krzaki raniły ciała, które miały się w ten sposób hartować.

– Strużki krwi mieszały się z rosą – zapamiętał Stanisław Sieradzki „Świst”
I następny obraz.

„Anoda” biegnie przez most na rzece Liwiec. Obok niego „Świst”. Pędzą na drugą stronę rzeki, żeby ubezpieczyć przejście kolumny. Janek jest roześmiany.

– Pamiętam jego radość na twarzy podczas tego biegu – opowiadał mi kilkadziesiąt lat później Stanisław Sieradzki.

Wszyscy wiedzieli, że „Świst” uwielbia „Anodę”. A ten droczył się z nim, lekko podśmiewał.

– „Anoda” z każdego żartował, ale najwięcej ze „Śwista” – zapamiętał Henryk Kończykowski „Halicz”^[82]. – Nie było dnia, żeby jakiejś łatki „Świstowi” nie przypiął.



Wiosną 1944 roku „Anoda” uczestniczył w ćwiczeniach wojskowych zwanych „Bazą Leśną”. Stacjonowali w Puszczy Białej koło Wyszkowa. Odbyły się dwa turnusy: „Par I” między 22 maja a 17 czerwca oraz „Par II” między 29 czerwca a 25 lipca (skończył się zaledwie kilka dni przez wybuchem Powstania Warszawskiego).

Na jedną z tych baz Janek pojechał pociągiem w mundurze kolejarza. Nawet niósł ze sobą kolejarską walizeczkę.

Uczestnicy zapamiętali, że „Anoda” stał się najpopularniejszą osobą tych

ćwiczeń. Błyszczał humorem, talentem aktorskim. Układał wierszyki i piosenki, karykaturował kolegów. Uwielbiał opowiadanie dowcipów, ale sam nie śmiał się „pełną gębą”

„»Anoda« na bazie – tym, którzy go dobrze przedtem znali – wydawał się trochę przygaszony – wspominał Henryk Kończykowski. – Wprawdzie robił występy z rekwizytami, urządzał dowcipy, ale dawało się zauważyć, że jest nieco zgaszony. Mniej więcej w rok po Powstaniu powiedział mi, że będąc na bazie, kontaktując się bez przerwy z naturą i przyrodą, zaczął mieć przeczucia co do przyszłości. I były to przeczucia straszne. Stąd jego ówczesne przygaszenie” [83].



Baza była daleko od siedzib ludzkich. Czasami trzeba było uciekać przed Niemcami na niebezpieczne bagna. Chodzono nad nimi po kładkach. Niemcy bali się tam zapuszczać.

– Podczas ćwiczeń w bazie leśnej w Puszczy Białej ruszyła na nas obława niemiecka. Znaleźliśmy się w okrążeniu. Janek imponował spokojem i dobrym humorem, co podnosiło nas na duchu – wspominał Bogdan Deczkowski „Laudański”

Bogdan Celiński „Wiktor” poznał „Anodę” na pierwszej bazie leśnej. Janek prowadził z chłopakami poranne ćwiczenia. Bogdan Celiński opowiadał^[84]: – Witał się z każdym osobno. Całowanie zawsze z dubeltówki. Zauważyłem wielką przyjaźń. Braterstwo.

– Mieliśmy nawet własnego krawca, który szył bardzo ładne mundury – opowiadał Henryk Kończykowski „Halicz”^[85]. – Swoją kuchnię, sanitariaty i rusznikarza. Byliśmy lepiej uzbrojeni niż piechota przed 1939 rokiem. „Zośka” to był chyba najlepiej wyszkolony i uzbrojony batalion w Armii Krajowej. Na bazie chodziło głównie o wyszkolenie w polu. Mieliśmy ostre ćwiczenia wojskowe. A niezależnie od tego parę polowań na niemieckie samochody na szosie. Co prawda te polowania nam nie bardzo wychodziły, bo Niemcy nie jeździli za często. Mieliśmy jeńców, Rosjan, których zwerbowano do pomocniczej służby niemieckiej. Nosili swoje mundury. Stawiało się wóz na szosie, obok naszych ludzi w tych niemiecko-rosyjskich

drelichach. „Anoda” czekał przebrany za Niemca.

Janek przeprowadzał ćwiczenia, szkolił z terenoznawstwa, budowy broni, organizacji armii, choć wciąż uczono głównie podstawowych rzeczy: maskowania, rozwinięcia szyku bojowego. Szkolenie dobre dla rekruta, ale niewiele wnoszące z punktu widzenia podchorążego i podoficera^[86].

Ćwiczenia ze strzelania odbywały się zawsze niedługo przed opuszczeniem kolejnego miejsca, tak by Niemcy nie namierzyli obozowiska.

„Anoda” prowadził też nasłuch radiowy.

– „Anoda” zrobił radia na baterie – wspominał Henryk Kończykowski. – A wtedy w ogóle się takich nie znało. Pierwsze radia na baterie pojawiły się dopiero po wojnie.

Dzięki „Anodzie” słuchali wieczorami BBC. Bogdan Celiński wspomina: – Pamiętam, jak Janek się zrywa, biegnie wielkimi susami do komendanta bazy i melduje: „Panie komendancie, drugi front rozpoczęty”.

To było 6 czerwca 1944 roku. Zachodni alianci przeprowadzili tego dnia największą w historii operację desantową. Wylądowali w Normandii.



Anna Jakubowska „Paulinka” poznała „Anodę” wiosną 1944 roku. Po raz drugi zetknęła się z nim na pierwszej bazie leśnej, na której była sanitariuszką i wykonywała prace gospodarcze.

– Janek zwracał uwagę swoją osobowością – zapamiętała^[87]. – Jakiś nimb już go otaczał, że to ten bohater, który brał udział w wielu akcjach. A jednocześnie zupełnie odwrotnie się zachowywał. Jak kolega, kumpel. Bezpośredni. Zupełnie się nie wywyższał, mimo że należał do grupy dowódczej. Dowódca bazy Władysław Cieplak „Giewont” i Eugeniusz Koecher „Kołczan” to były osoby, które stwarzały pewien dystans, ale nie Janek. „Anoda” nie rozróżniał, że ktoś jest ważniejszy, a ktoś mniej ważny. Rozładowywał wszystkie napięcia humorem i potrafił wyrobić sobie autorytet. To są właśnie takie cechy, które się rzadko spotyka jednocześnie.

Życie w bazie było ciężkie, zwłaszcza dla młodych dziewcząt. Anna Jakubowska miała 17 lat. Była najmłodsza. Maszerowali nocami po 20 kilometrów. Raz ze zmęczenia zasnęła w czasie marszu.

Chłopcy po przemarszach kładli się spać, a dziewczyny zabierały się do gotowania kawy na śniadanie. Było mało jedzenia, ale przede wszystkim brakowało picia. Wodę noszono kotłami po kilka kilometrów. Czasami rwali przydrożny rabarbar, żeby wycisnąć z niego wilgotny, gorzki smak.

Gdy Stanisław Sieradzki „Świst” stanął drugi raz w kolejce po kubek wody, dostał potworną burę od dowódcy. Był wyczerpany dźwiganiem karabinu maszynowego Browning-28, ale wszyscy cierpieli pragnienie. Nie mogło być wyjątków.

Pewnego dnia śpiącego na trawie Janka chłopcy po cichutku związali sznurem. Razem z karabinem. Wszyscy czekali, kiedy się obudzi. Nagle z bardzo daleka doleciał odgłos strzału. Byli wrażliwi na takie hałasy.

Anna Jakubowska: – To było takie wyczulenie jak teraz na dźwięk telefonu komórkowego.

Janek obudził się natychmiast. Chciał się zerwać. I oczywiście nie mógł. Wszyscy buchnęli śmiechem. On też. Mógł mieć pretensje, był przecież jednym z dowódców. Ale żart przyjął z humorem.

– Jeżeli ktoś potrzebował pomocy, Janek był do tego pierwszy – wspominała Anna Jakubowska. – Robił to nie z przymusu, tylko z uśmiechem, z życzliwością. Nie było w nim żadnego jadu, zazdrości, złości. Dlatego był bardzo lubiany przez chłopców i podziwiany przez dziewczyny. Ale na bazie nie pamiętam żadnego podrywania. To zdarzało się dopiero później, jak byliśmy starsi, po powstaniu. Harcerski sposób bycia wszystkich obligował do etycznych opiekuńczych zachowań. Pamiętam, jak jeden z chłopców zaproponował, że będzie mi niósł torbę sanitarną, bo jestem przemęczona.

Wieczorami organizowano ogniska harcerskie z gawędami. Janek bezbłędnie parodiował Hitlera.

– Zawsze umiał sobie zrobić tę grzywkę w taki sposób, że wszyscy ryczeli ze śmiechu – opowiadała Anna Jakubowska. – Kiedyś z Dorotą Łępicką, moją największą przyjaciółką, dyżurowałyśmy w kuchni. Przywieźli nam cielaka obdartego ze skóry, miałyśmy go ugotować, ale trzeba było najpierw poćwiartować. To absolutnie przekraczało nasze możliwości. Moja przyjaciółka postanowiła zrobić mózdzek cielęcy i próbowała rozłupać

czaszkę tego nieszczęsnego cielaka. A w pobliżu, na trawie, była odprawa dowództwa, czyli „Giewonta”, „Kończana”, Janka Rodowicza. Janek akurat siedział przodem do nas i obserwował nasze wysiłki. Dorota trzepnęła w końcu siekierą w czaszkę cielaka, mózg rozprysnął się wszędzie. Janek zaczął ryczeć ze śmiechu. Został od razu doprowadzony do porządku przez „Giewonta”

Zapamiętała, że „Giewont” w przeciwieństwie do „Anody” był ponurakiem. Kiedy siostra „Paulinki” upuściła papierek na plac apelowy, „Giewont” kazał jej stać z karabinem w tym miejscu. Czuła się poniżona, na widoku wszystkich, którzy obok przechodzili.



Pod koniec lipca 1944 roku harcerze przeszli na prawy brzeg Bugu. Maszerowali przez nadleśnictwo Brok. Pewnego dnia czujki zameldowały, że zbliża się jakiś duży obcy oddział.

– Była paskudna noc – wspominał Henryk Kończykowski „Halicz”^[88]. – Cały czas padał deszcz. Zatrzymaliśmy się rano, mokrzy, mieliśmy się jakoś osuszyć.

Henryk Józef Kowal^[89] opowiadał: – Dowódca „Giewont” zarządził zwinięcie obozu, przygotowanie się do natychmiastowej zmiany położenia, przesunięcia się gdzie indziej. Janka „Anodę” i jeszcze dwóch kolegów wysłał na wywiad w kierunku, skąd ten oddział miał przychodzić. Gdzieś za pół godziny z tych trzech wrócił tylko Janek.

I to jak wrócił! „Anoda” przyjechał na koniu, z szablą w rękę, jak ułan!

Okazało się, że spotkali grupę akowców z Wileńszczyzny pod dowództwem porucznika Adolfa Pilcha „Doliny”. Oddział liczył około tysiąca osób. Szwadrony kawalerii, piechota, wozy, kuchnia polowa.

Połączyli się i szli razem prawie cały dzień. Mogli zrezygnować ze swoich czujek. Ich ubezpieczenie kroczyło dwieście, trzysta metrów od oddziału. A u ułanów było wysunięte nawet o parę kilometrów, bo tyle przejechać na koniu to ledwie chwila.

Znajdowali się w pasie pomiędzy wycofującymi się Niemcami a nacierającymi Sowieci. „Dolina”, który miał już wcześniej

doświadczenie w pertraktowaniu z Niemcami, wynegocjował z nimi przepuszczenie oddziału.

– Pamiętam, że Niemcy stali z psem koło samochodów pancernych i strasznie się bali, gdyśmy przechodzili – opowiadał Henryk Kończykowski.

Wkrótce się rozstali. „Dolina” szedł do Kampinosu, a oni do swojego obozowiska.



Niemcy coraz słabiej panowali nad sytuacją w terenie. Pewnej niedzieli „zośkowcy” czwórkami i w pełnym umundurowaniu wmaszerowali do wioski Poręba. Przyszli do kościoła na nabożeństwo. Po komendzie „Prezentuj broń!” unieśli karabiny. Ludzie patrzyli na nich z podziwem.

A „Anoda” chodził potem od chałupy do chałupy, by przestrzec chłopów przed współpracą z Niemcami. „Pod dowództwem Anody przypadło mi wymierzać karę chłosty rozgadanemu chłopu w okolicach Kamieńczyka – wspominał Stanisław Sieradzki „Świst”. – Tenże nieostrożnie opowiadał niemieckim żandarmom o przemarszach naszego oddziału przez rzekę Bug, gdzie musieliśmy korzystać z miejscowego promu. Na skutek gadulstwa uczynnego przewoźnika na promie omal nie dotknęły nas tragiczne następstwa: aresztowania i tortury”^[90].

Pod koniec lipca 1944 roku z leśnej bazy wrócili do miasta, w którym wielu z nich miało wkrótce zginąć.

ROZDZIAŁ VII

Pistolet, mydło i prezydent

Pierwsze śledztwo w sprawie śmierci Janka rozpoczęła w 1992 roku Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Po przesłuchaniach przekazała pod koniec 1994 roku akta prokuratorowi Stefanowi Szustakiewiczowi z wnioskiem o umorzenie postępowania. To pierwsze umorzenie w sprawie „Anody” zbiegło się z listem, jaki otrzymał jeden z „zośkowców” od tajemniczego świadka. Twierdził on, że przesłuchiowano go w pokoju obok, gdy umierał „Anoda”. Że widział, jak ginął.

Wcześniej „zośkowcy” na wszelkie sposoby próbowali znaleźć ludzi, którzy mogliby powiedzieć coś o więziennych losach „Anody”. W kilku dziennikach opublikowano na ich prośbę informacje o poszukiwaniach. I to właśnie im udało się odnaleźć człowieka, który mógł odmienić losy śledztwa.

Prokurator nie chciał mi powiedzieć, kim jest ten świadek. Żołnierze batalionu „Zośka” też nie zdradzali jego personaliów, bo zastrzegł sobie anonimowość. Ale po pewnym czasie w prasie zaczęło się pojawiać jego nazwisko – Bogusław Bosiacki.

Średniej skali biznesmen w wieku emerytalnym tłumaczył, że gdyby się ujawnił, mógłby zginąć. Uważał, że ubecy nadal mu zagrażają. List wysłał z Białegostoku 20 grudnia 1994 roku. Apel „zośkowców” przeczytał w grudniowym numerze „Expressu Wieczornego”.

Twierdził, że jego stryj Olgierd Bosiacki był przyjacielem Janka. Bywali u siebie. Stryj mieszkał na ulicy Dobrej w Warszawie, u sióstr urszulanek. Zginął w 1943 roku z rąk Niemców, gdy miał 28 lat.

Bogusław Bosiacki utrzymywał, że „Anodę” torturowano. Potem zastrzelił go śledczy Bronisław Kleina. „Była to jedna z bardziej sadystycznych kanalii” – napisał Bosiacki. Ale udowodnić mu zabójstwo będzie trudno, bo byli ubecy nadal trzymają się razem.

„Śledczy Bronisław Klejna [pisownia oryginalna – P.L.] brał również udział w morderstwie w miesiącu sierpniu 1948 roku 12-tu żołnierzy Armii Krajowej w Opolu – twierdził Bogusław Bosiacki. – O ile Panom uda się ustalić że w tym czasie tam przebywał, to myślę że nie będzie kłopotu z dalszym ustaleniem faktów i doprowadzeniem Klejnego do ukarania. Z terenu białostoczczyzny i kielecczyzny poprzez woj. opolskie do Czechosłowacji i dalej poprzez Austrię na zachód, przedzierała się grupa żołnierzy AK i WIN był w niej również jeden z żołnierzy batalionu »Zośka«, on wówczas w Opolu też zginął. Wszyscy zostali zgładzeni w piwnicach Urzędu Wojewódzkiego UB.

Trupy wywieziono i zakopano w rowach na ulicy Torowej. Panowie domyślają się, że Klejna patologicznie nie znosił żołnierzy z AK i »Zośki« i innych oddziałów, myślę że wchodził w skład grupy operacyjnej, rozpracowującej ten a może i inne oddziały. Aktualnie wszystkie sprawy tego [zapis oryginalny – P.L.] i inne w różnych miejscowościach popełnione zabójstwa przez dzielnych pracowników Ubecji są obecnie od paru lat tuszowane i odwekslowywane na boczne tory. Czynią to przyjaciele, synowie i inni familianci ojców katów i zbrodniarzy którzy w dalszym ciągu pełnią poważne funkcje w resorcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”

Bogusław Bosiacki przekonywał prokuratora: – Obito mi się o uszy, że Rodowicz siedzi na Koszykowej. Nie widziałem go aż do śmierci. Współwięźniowie opowiadali, że widzieli Rodowicza kulejącego, utykającego i pobitego. Przesłuchiwano mnie zwykle w nocy. Kiedy przesłuchiwał mnie śledczy, który był niski, szczupły, miał czarne wąsiki, nad ranem usłyszałem bardzo głośny strzał dochodzący z drugiego, trzeciego pokoju od mojego w kierunku schodów. Mój śledczy natychmiast wyskoczył na korytarz, zarepetował pistolet. Nie domknął drzwi. Na korytarz wyskoczył też Bronisław Kleina, byli bardzo podnieceni. Kleina krzyczał do mojego śledczego, jakby się usprawiedliwiając: „Nie mogłem

wytrzymać, kurwa mać, zastrzeliłem tego skurwysyna”. Doszedł jeszcze jeden ubek, naradzili się. Wyciągnęli Rodowicza na korytarz, zanieśli pod okno, otworzyli i wyrzucili ciało.

Skąd wie, że strzelał Kleina?

Bogusław Bosiacki: – Następnego dnia współwięźniowie mówili, że zabito „Anodę” i że zastrzelił go Kleina.

Ta wersja zgadzałaby się z podejrzeniami rodziny, że Janka zastrzelono.



Prokuratura przesłuchiwała Bosiackiego. I kolejny raz okazało się, że zeznania nie nadają się do postawienia komukolwiek – w tym wypadku Bronisławowi Kleinie – zarzutu morderstwa.

Prokuratora wnioskowała: Bosiacki zeznawał, że po dwóch stronach korytarza były pokoje przesłuchujących. Nie mógł więc widzieć, że „Anodę” wyrzucono przez okno na korytarzu – skoro po drugiej stronie były pokoje.

Bosiacki mówił, że przesłuchujący po powrocie wycierał ręce z krwi. Ale podczas pierwszej ekshumacji nikt nie widział jej śladów na ubraniu „Anody”.

Prokurator zaczął szukać dowodów, że Bosiackiego rzeczywiście więziono na Koszykowej. W żadnych archiwach nie było śladu potwierdzającego ten fakt.

Prokurator Stefan Szustakiewicz umorzył więc śledztwo. Nie przekonałby sądu, że wersja Bogusława Bosiackiego o zastrzeleniu Janka przez ubeków jest prawdziwa.

Zanim jeszcze doszło do umorzenia, prokurator przeczytał w gazetach informacje o pewnym człowieku, który na gdańskim jarmarku sprzedawał mydło „z ludzkiego tłuszczu”. Rzekomo wyprodukowane podczas wojny w obozie koncentracyjnym. Prokurator wspomniał mi o tym, choć nie zajmował się tą sprawą. A mnie coś bardzo zaintrygowało. Zajrzałem do „Gazety Wyborczej”, w której mój kolega, reporter Wojciech Tochman opisywał^[91]:

„Wróciła sprawa mydła. Tomasz Zdybel, dziennikarz z naszego dodatku w Trójmieście, zauważył na Jarmarku Dominikańskim stare mydło.

Na kartce obok podano cenę – 20 nowych złotych – oraz informację, że mydło wyprodukowała niemiecka firma RIF z ludzkiego tłuszczu, w większości z Żydów pomordowanych w obozie koncentracyjnym Stutthof”

Mydło RIF pojawiło się również na jarmarku w Toruniu. Sprzedawca opatrzył je papierową reklamą: „Mydło RIF zrobione ze zwłok więźniów obozów koncentracyjnych, przeważnie z Żydów – 15 złotych”

W Toruniu sprzedawca namawiał oglądającą bazar Niemkę: – Kaufen, kaufen, Judenseife, gut, gut, kaufen („kupować, kupować, żydowskie mydło, dobre, dobre, kupować”).

Gdańska policja odnalazła handlarza. Przesłuchała go. W grę mógł wchodzić zarzut o znieważanie ludzkich zwłok.

Sprawdziłem dane personalne niezwykłego handlarza mydła. To był ten sam człowiek: Bogusław Bosiacki.

Bosiacki wciągnął w swoją grę policję, prokuraturę warszawską i gdańską oraz ogólnopolską prasę.

Eksperymenty nad przemysłowym wykorzystaniem zwłok prowadził profesor Rudolf Spanner. Nigdy nie osiągnęły one jednak skali przemysłowej. Z danych polskiej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie wynikało, że mydła RIF nie produkowano z tłuszczu ludzkiego. Mydło, które sprzedawał Bogusław Bosiacki, było więc zwyczajne.



Prezydent Warszawy Stefan Starzyński (drugi z lewej) w otoczeniu działaczy Bractwa Kurkowego, 1936 r.

Potem odnalazłem jeszcze wcześniejszy ślad pomysłowości Bogusława Bosiackiego. W 1991 roku napisał do „Gazety Wyborczej”, jak trafił do niego pamiętnik Stefana Starzyńskiego, legendarnego prezydenta Warszawy z okresu przedwojennego i niemieckiego oblężenia we wrześniu 1939 roku. Według Bosiackiego to nie hitlerowcy zamordowali prezydenta, jak zgodnie twierdzili historycy, bo Gestapo przekazało go Sowietom.

W liście do „Gazety Wyborczej”^[92] Bosiacki opisywał, że w czerwcu 1945 roku wyjechał z matką, tłumaczką Sowieckiej Wojennej Komendantury, do Niemiec. Zamieszkali w domu pastora w Coswig (Anhalt) nad Łabą. Kiedyś myszkując po wielkiej willi Bosiacki trafił na zamaskowane pomieszczenie, w którym ukrywał się młody Niemiec, bratanek gospodyni. Niemiec, około 35–38 lat, był gestapowcem.

„Z różnych powodów nie wydałem go w ręce NKWD, lecz nawiązałem z nim w pewnym sensie przyjacielskie stosunki – opisywał Bogusław Bosiacki. – Przynosiłem mu masło, spirytus i wędlinę. On uczył mnie niemieckiego. Czasami w nocy wychodził do przyjaciół. Czasami przynosił mi coś do czytania w języku polskim, także znaczki pocztowe (całe zbiory). Trochę z nim handlowałem”

Pewnego dnia Niemiec poprosił o litr spirytusu, w zamian obiecując coś

po polsku. Bosiacki dostarczył zamówienie. Gestapowiec wręczył mu parę zeszytów, które zdobył od polskich więźniów. Bosiacki zorientował się, że trzy z nich to rękopisy prezydenta Stefana Starzyńskiego. Rzekomo kreślił je w obozie.

Bosiacki już wówczas był wyraźnie uczulony na sprawę mydła. Pisał o Starzyńskim: „Pamiętam, że zajmował się rozdziałem mydła wśród więźniów, narzekał, że się nie nadaje do mycia, jest jak glina”

Potem gestapowiec – i jego kolega, z którym pili spirytus – mieli zapewniać Bosiackiego, że wszystkich więźniów przekazali Rosjanom. Ponieważ prezydent Starzyński wojny nie przeżył, łatwo się domyślić, że zginął z rąk Sowietów.

Bosiacki nie mógł pokazać pamiętników Starzyńskiego. Twierdził, że jeszcze w 1945 roku zeszyty przekazał przez gońca do Urzędu Miasta w Warszawie. Otrzymał nawet pokwitowanie, które jednak odebrał mu w 1947 roku Urząd Bezpieczeństwa w Wołowie koło Wrocławia.

Nic nie potwierdza tej wersji śmierci prezydenta Starzyńskiego. Według ustaleń Instytutu Pamięci Narodowej rozstrzelano go w grudniu 1939 roku w Warszawie albo w jej okolicach.



Dlaczego Bosiacki chciał zmienić historię? Czy kierowała nim chęć zysku albo potrzeba sławy? Czy raczej chciał udramatyzować historię jak reżyser filmu, który potrzebuje przejmujących scen: ubecy strzelają do młodego bohatera AK, Niemcy wyciągają z kadzi mydło z żydowskich trupów, Sowietci mordują prezydenta Warszawy.

Bogusław Bosiacki, rocznik 1929, krążył po polskich jarmarkach. Kiedy go szukałem, nawet jego rodzina nie wiedziała, dokąd wyruszył jarmarczny handlarz, świadek i kreator niezwykłych wydarzeń.

Pisząc reportaże historyczne, często spotykałem Bosiackich. Wielu z nich wierzyło w to, co opowiadali. Coś takiego dzieje się z ludzką pamięcią, że w przeszłości wciąż tworzy nowe wydarzenia. U niektórych przeszłość „żyje” bardziej niż teraźniejszość.

Opisałem w 1995 roku historię „Anody” w „Gazecie Wyborczej”

Wspomniałem, że wciąż nawet nie wiadomo, czy od razu po jego śmierci w 1949 roku wykonano sekcję zwłok.

Wtedy do redakcji nadszedł list z Ostrowca Świętokrzyskiego. Jego nadawca zapewnił, że może ostatecznie rozwiązać moje wątpliwości.

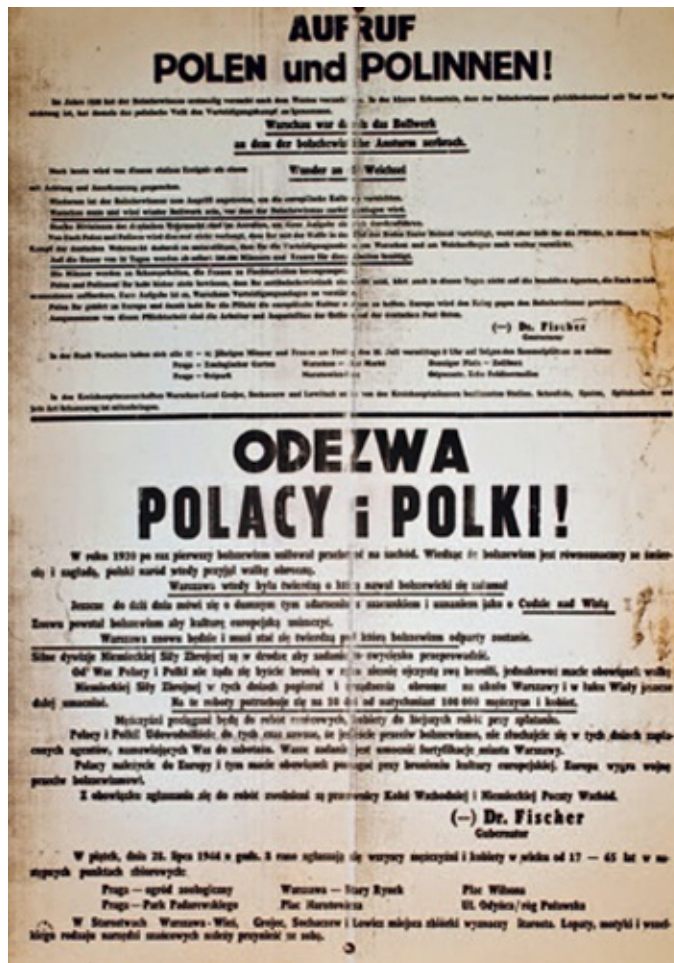
Po doświadczeniach z Bogusławem Bosiackim byłem już bardzo nieufny. Na wszelki wypadek postanowiłem jednak pojechać do człowieka z Ostrowca. Był przecież lekarzem, który przeprowadzał sekcje.

ROZDZIAŁ VIII

Wszystkie najkławsze chłopaki w tych niebieskich zaświatach

W powietrzu już wisiało powstanie. Z nadzieją czekali na nie konspirujący Polacy. Obawiali się go Niemcy.

Wydawało się, że już wkrótce uderzy na Warszawę Armia Czerwona, która dotarła na przedpola stolicy. Radiostacja imienia Tadeusza Kościuszki 30 lipca wzywała z Moskwy (choć przedstawiała się jako nadająca z okupowanej Polski): „Warszawa drzy w posadach od ryku dział. Wojska sowieckie nacierają gwałtownie i zbliżają się do Pragi. Nadchodzą, aby przynieść nam wolność. Niemcy wyparci z Pragi będą usiłovali bronić się w Warszawie. Zechcą zniszczyć wszystko. W Białymstoku burzyli wszystko przez sześć dni. Wymordowali tysiące naszych braci. Uczyńmy, co tylko w naszej mocy, by nie zdołali powtórzyć tego samego w Warszawie. Ludu Warszawy! Do broni! Niech cała ludność stanie murem wokół Krajowej Rady Narodowej, wokół warszawskiej Armii Podziemnej. Uderzcie na Niemców. Udaremniczcie ich plany zburzenia budowli publicznych. Pomóżcie Czerwonej Armii w przeprawie przez Wisłę”^[93].



Obwieszczenie o niemieckiej „brance”, która przyczyniła się do wybuchu Powstania Warszawskiego.



Niemieckie wezwanie do budowy fortyfikacji zostało przez warszawiaków zlekceważone.

Autorzy wezwania nie mieli oczywiście na myśli powstania pod wodzą

Armii Krajowej. Zapewne jednak spodziewali się ofensywy Armii Czerwonej na Warszawę, skoro apelowali o wsparcie warszawiaków.

Tymczasem Niemcy ściągali do miasta swoje wojska. Zamierzali wykorzystać Polaków do obrony przez Sowietami. Kilka dni przed wybuchem powstania gubernator Ludwig Fischer nakazał Polakom stawić się do kopania rowów strzeleckich na przedpolach Warszawy. Zarządzenie dotyczyło wszystkich w wieku 17–65 lat. Objęło w sumie 100 tysięcy osób.

Decyzja zaniepokoiła dowództwo AK. Przypuszczano, że warszawiacy nie podporządkują się rozkazowi, co narazi ich na represje. Ale jeśli Niemcy zmuszą część Polaków do pracy, rozproszą się oddziały Armii Krajowej. A Polacy byli już bardzo osłabieni przez okupację. W samej Warszawie hitlerowcy od początku wojny do wybuchu powstania wymordowali 10 tysięcy polskich inteligentów^[94].

Płk Antoni Chruściel „Monter”, dowódca Okręgu AK Warszawa, nakazał koncentrację żołnierzy. I oczekiwanie na godzinę „W”



W ostatnich dniach lipca Janek dostał jeszcze rozkaz przewiezienia broni do magazynu batalionu w Wesołej. Pochodziła z bazy leśnej i z centralnego magazynu w Brzozówce-Kobyłce. Transportował ją dwukonnym wozem razem z Janem Myszkowskim-Bagińskim „Bajanem” i Stanisławem Sieradzkim „Świstem”.

Henryk Józef Kowal zapamiętał, że od razu po powrocie z leśnej bazy znaleźli się w stanie pogotowia. Zgromadzili się w jednym miejscu. Później zwolniono ich do domów, ale pod warunkiem, że nie będą się z nich oddalać i pojawią natychmiast na rozkaz. Wreszcie łączniczka przyniosła wyczekiwane polecenie o zbiórce żołnierzy 1 sierpnia 1944 roku o godzinie 16.30.



Szef niemieckiej policji Heinrich Himmler (drugi z lewej) w towarzystwie niemieckich oficerów podczas zwiedzania zdobycznego składu bomb znajdującego się w lesie, 1942 r.

Na godzinę „W” Warszawa czekała właściwie od września 1939 roku.

Powstańczy hymn podnosił na duchu:

„Naprzód, do boju, żołnierze Polski Podziemnej! Za broń!

Boska potęga nas strzeże, woła do boju was dzwon!

Godzina pomsty wybija, za zbrodnię, mękę i krew.

Do broni! Jezus Maryja! Żołnierski woła nas zew!”

Heinrich Himmler po wybuchu powstania zwrócił się do Hitlera:

– Z punktu widzenia historycznego jest błogosławieństwem, że ci Polacy to robią. W ciągu czterech-pięciu tygodni pokonamy ich, a wtedy Warszawa – stolica, mózg i inteligencja tego szesnasto-, siedemnastomilionowego polskiego narodu – zostanie starta. Tego narodu, który od siedmiuset lat blokuje nam Wschód i od pierwszej bitwy pod Tannenbergiem (Grunwaldem) ciągle nam staje na drodze. Wtedy ten historyczny problem dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, a nawet już dla nas – nie będzie istniał^[95].



Manifestacja przedwyborcza gdańskiej NSDAP. Drugi od lewej gen. Erich von dem Bach-Zelewski, późniejszy kat powstańczej Warszawy.

Reichsführer SS Heinrich Himmler z upoważnienia Hitlera wydał dowódcom odsieczy niemieckiej ustny rozkaz całkowitego zburzenia Warszawy i eksterminacji jej mieszkańców. Rozkaz ten według zeznań generała Ericha von dem Bacha złożonych przed prokuratorem polskim w Norymberdze w 1946 roku brzmiał: „Każdego mieszkańca należy zabić (w tym również kobiety i dzieci), nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”.

Szybko okazało się, że choć powstańcy wystąpili przeciwko Niemcom, Armia Czerwona nie ruszyła do ataku na Warszawę. Stalin czekał z ofensywą na lepszą dla siebie okazję.



„Janek odjechał o trzeciej po południu – opowiadała matka „Anody” reporterce Barbarze Wachowicz. – Ucałował mnie, wskoczył na rower, pomknął. Był w doskonałym nastroju, przekonany, że zwyciężą. Nawdziewał na siebie co tam miał wojskowego. Nawet potem skądś zdobył

czapkę ułańską”^[96].

Jego brat Zygmunt, który był w Armii Krajowej, a równocześnie razem z ojcem pracował w Delegaturze Rządu na Kraj, był nastawiony mniej entuzjastycznie. Wyruszył do powstania w szarym garniturku, podpierając się laseczką. Zasmucony i pełen niewiary.

Podporządkowanie „Anody” w chwili wybuchu walk było takie: Armia Krajowa – zgrupowanie „Radosław” – pułk „Broda 53” – batalion „Zośka” – 2. kompania „Rudy” – III pluton „Felek” – zastępca dowódcy plutonu.

Najkrótszy opis jego szlaku powstańczego: Wola – Stare Miasto – kanały – Śródmieście Północ – Górny Czerniaków – przeprawa przez Wisłę.

Jako miejsce koncentracji Brygady Dywersji „Broda 53” – której częścią był batalion „Zośka” – wyznaczono fabrykę Telefunken przy ulicy Mireckiego, róg Karolkowej, na Woli.

W miejscu zgrupowania batalionu „Zośka” pluton „Felek”, w którym Janek był zastępcą dowódcy, robił szczególne wrażenie: prawie wszyscy mieli prawdziwe polskie mundury i wysokie buty – oficerki.

– „Anoda” chodził w wojskowej bluzie typu angielskiego – wspominał Henryk Józef Kowal^[97]. – Wszyscy mieliśmy niemieckie skarpety wojskowe i polskie przedwojenne buty wojskowe, które kupiliśmy za pieniądze zdobyte w akcji „Góral”^[98]. Wtedy każdy dostał po pięćset złotych na zakupy.

Tego dnia, 1 sierpnia, Janka mianowano podharcmistrzem.

– Wszyscy byliśmy zadowoleni, że idziemy na powstanie – wspominał Henryk Józef Kowal^[99]. – Przecież chcieliśmy nareszcie Niemca potłuc.

Do walki w powstaniu stanęło 320 żołnierzy batalionu „Zośka”



W dniu 1 sierpnia, jeszcze przed godziną „W”, Henryk Kończykowski dostał rozkaz dostarczenia broni.

– To był fenomenalny transport – wspominał. – Samych karabinów maszynowych chyba cztery, pięć. Karabinów kbk czterdzieści parę sztuk. Pistoletów maszynowych kilkanaście. Pistoletów zwykłych, czyli broni krótkiej, to nawet nie wiem, ile było. Poza tym jeszcze lornetki, jakiś drobny

sprzęt, „gamony”. Ciężki wóz ciągnęły dwa konie.

Niestety ten, który jako jedyny znał punkt, gdzie broń należało dostarczyć, zawiódł. Kończykowski bardzo się bał, że mógłby stracić taki arsenał. Wszyscy broń kochali, ale co ważniejsze, właśnie teraz jej potrzebowali. Postanowił czekać na „Anodę”, do którego miał bezgraniczne zaufanie, by ten zdecydował, co zrobić z uzbrojeniem. – Nie ruszamy się – rzekł do kolegów. – Jak będziemy jeździli, to się możemy minąć.

W końcu Janek dotarł do chłopaków czekających z transportem. – Jak go zobaczyłem, to żeśmy się przywitali, jakbyśmy byli braćmi i latami się nie widzieli – opowiadał Henryk Kończykowski. – Padliśmy sobie w ramiona.

Na zbiórce batalionu rozdano broń.

– Janek nie był na pewno zdenerwowany – zapamiętał Henryk Józef Kowal. – Był natomiast zaaferowany rozdawaniem broni. Cieszył się, że dużo chłopców przyszło w wojskowych mundurach. Poprzemycali je, idąc na spotkanie. Wszyscy byliśmy zadowoleni, że idziemy do powstania. Uważaliśmy, że za dwa, trzy dni zdobędziemy to, co mamy zdobyć, i będzie koniec.



St. strz. Tadeusz Suliński „Radwan” i st. strz. Wacław Krupiński „Belina” przy ulicy Sienkiewicza w czasie

Powstania Warszawskiego.

„Wchodzi parę łączniczek z koszem pełnym biało-czerwonych opieczętowanych opasek – opisywał Aleksander Kamiński. – Nakładają je na lewe ramiona tych szturmowców, którzy dotąd opasek nie mają, jest to urzędowa oznaka żołnierza powstańczego. Andrzej Morro przywołany do kompanii krąży nachmurzony od drużyny do drużyny i coś sprawdza, coś przegląda. Gdy ujrzał Okurę z »Sadu«, ogarnia go nowa fala irytacji. Okura stanął do powstania w krótkich, harcerskich spodenkach, łyskając gołymi kolanami. A Anoda? Jezus kochany, ten znów ma na głowie ułańską czapkę z barwnym otokiem. Ależ wojsko!”^[100].

Potem w powstaniu „Anoda” nosił jednak niemiecki hełm. Wymyślił, żeby na hełmach malować znak „GS”, skrót od Grup Szturmowych.



Powstanie zaczęli wśród grobów. Ruszyli na cmentarz żydowski, przygotowując się do ataku na szkołę przy ulicy Okopowej. Zajmowali ją esesmani.

– Na cmentarzu żydowskim to „Anoda” pierwszy rzucił w Niemców granatami – opowiadał Henryk Kończykowski. – Wyskoczył i wykurzył ich wszystkich. Nie raz jeszcze miał takie zrywy.



Atak na szkołę zakończył się powodzeniem. Niemcy uciekli, słysząc strzały.

Według powstańczej kroniki plutonu „Felek” 2 sierpnia żołnierze pod dowództwem „Anody” zlikwidowali na ulicy Okopowej dwa niemieckie samochody ciężarowe. Zabili dziesięciu Niemców, nie ponosząc żadnych strat. Wzbogacili się o niemiecką broń. I dwa czołgi, „Panthery”, które ulicą Powązkowską wdarły się głęboko w tereny opanowane przez powstańców.

– Czołgi przyjechały do nas gdzieś godzina ósma, dziewiąta rano 2 sierpnia – wspominał Henryk Józef Kowal^[101]. – Nasz pluton stał przy bramie, która wychodziła na ulicę Grzybowską z żydowskiego cmentarza, z kirkutu. Tam były szyny kolejki. 1 sierpnia zrobiliśmy barykadę, przewróciliśmy dwa wagony tramwajowe.

Chłopcy najpierw trochę powygłupiali się w tych tramwajach. „Kuba” udawał konduktora, ciągnął za sznurek dzwonka. „Anoda” bębnił nogami, walił w podłogę. Udawali, że jadą.

Oba czołgi wyszły z ulicy Mireckiego na Okopową i skręciły w lewo, w kierunku Powązkowskiej.

Drugi czołg zmierzał w stronę barykady. Kiedy zbliżył się na odległość rzutu – niemal pod samą barykadę – kilkunastu chłopców zamachnęło się granatami. Czołg uderzył w słup od drutów tramwajowych. Zgasł silnik. Pięciu Niemców wyszło ze środka i poddało się.

„Kuba” zarządził odprowadzenie jeńców do dowództwa. Zadanie powierzył „Anodzie”.

Ale wcześniej zajęli się rozbebeszaniem czołgu. „Kuba” i „Anoda” weszli do środka i wyciągali to, co może się przydać. „Anoda” zdobył karabin maszynowy, nawet spróbował, czy strzela. Przez luki wyrzucali kolejne trofea: niemieckie pancerniackie mundury wyjściowe, berety.

Witold Bartnicki „Kadłubek” opisywał: „Czołg stoi na torach tramwajowych obok zwałonego słupa trakcyjnego, na który wpadł w popłochu. Oglądamy go ciekawie, kilku wchodzi do środka. Anoda wypróbowuje cekaem strzelając z uchwytu do strzelań przeciwlotniczych. Ze środka wyciągają cygara, kilkanaście bochenków chleba, masło, zapasowe

ubrania. Widać Niemcy byli dobrze zaopatrzeni. Niestety, nikt nie zna się tak dobrze na nowoczesnych czołgach, aby choć ocenić jego stan techniczny. Niemcy żyją, są w niewoli. Na oko dużych uszkodzeń nie widać. Czołg wydaje się nam kolosem, ślady wybuchów granatów na klapie wieżyczki mają wygląd niewielkich wgnieceń. »Zupełnie jak od dmuchnięcia w miękkie ciasto« – przychodzi mi na myśl porównanie”^[102].

Andrzej Wolski „Jur” wspominał emocje: „Pluton szalał z radości, bo przed chwilą zdobyto czołg, cały, nie spalony, z małym tylko defektem w motorze. Chłopcy jak mały wdrapywali się na olbrzymie cielsko niegroźnej już pantery i z zaciekawieniem oglądali każdy szczegół tej olbrzymiej maszyny wojennej. Naturalnie Kuba z Anodą już byli w środku i podawali Słoniowi, nachylonemu ku klapie wjazdu, co się dało. A więc mundury, celty, amunicję, jedzenie, papierosy i tak dalej, a było tego sporo. Niemcy to jednak przewidujący naród. Wszystko to wędrowało w jedno miejsce i miało być później sprawiedliwie rozdzielone, naturalnie za zgodą dowództwa. Coraz to wydobywające się z wnętrza okrzyki świadczyły o nowych zdobyczach”^[103].

Plutonem wciąż dowodził Konrad Okolski „Kuba”. „Anoda” był jego zastępcą.

– „Kuba” i „Anoda” zawsze byli kolegami. Zawsze byli nierozłączni – wspominał Henryk Józef Kowal.

Chłopcy zapamiętali, jak dzielili się obowiązkami. „Kuba” chodził do dowództwa kompanii albo batalionu. Sprawy gospodarczo-organizacyjne powierzał „Anodzie”. Ten dysponował ludźmi, dobierał potrzebną broń. Często się między sobą naradzali. Ale „Anoda” nigdy nie wychylał się ponad to, co ustalił z „Kubą”.

Janek uwielbiał dowodzić natarciem. Mniej satysfakcji sprawiało mu kierowanie plutonem jako organizacją. Czyli sprawami czysto życiowymi, związanymi na przykład z jedzeniem.

– „Anodę” rozsadzało życie, a „Kuba” był bardzo spokojny – zapamiętał Kończykowski^[104]. – Może przez to Janek rzucał się bardziej w oczy niż „Kuba”.

Zdaniem Kończykowskiego „Anoda” zmienił się jednak podczas

powstania. Pamiętano go ze spotkań towarzyskich, na których żartował, opowiadał kawały. W powstaniu stał się bardzo zrównoważony, nie ulegał emocjom.



Janek pozostawił po sobie tylko jeden tekst opisujący wojenne dzieje. W 1946 roku skreślił kilka stron dotyczących pierwszych dni powstania i walk o Gęsiówkę. To hitlerowski obóz, w którym Niemcy więzili Żydów. Powstał na terenie byłego getta, zburzonego podczas powstania żydowskiego.

Tylko z tych kilku stron możemy próbować wyczytać, co myślał ten dwudziestojednolatek w ogniu walki.

„Zbliża się wieczór – pisał „Anoda” – Wolnym krokiem wchodzę do bramy domu na ulicy Mireckiego i wygodnie rozsiadam się na stojącej tu dużej skrzyni. Jestem bardzo zmęczony, drżą mi lekko nogi, bolą ramiona i biodra poobwieszane moim obfitym ekwipunkiem bojowym. Głowa ciąży pod hełmem, nie zdejmowanym przez cały dzień.

Sporo się dzisiaj nachodziłem, trochę poczołgałem i nieco poskakałem po dachach, aby rozpoznać budynek szkoły na ulicy Spokojnej, w którym uparcie bronią się Niemcy. Zebrane informacje chcę też przekazać kapitanowi Janowi. Ponieważ będzie on na kwaterze pułkownika Radosława za jakieś piętnaście minut, postanawiam odpocząć. Wyciągam się na skrzyni i z błogim uczuciem oddaję się bezmyślności.

Jednakże błogi stan mija szybciej, niż się zjawił, gdyż nagle doleciały mnie z pobliskiej bramy słowa chłopaków: »Ależ tam na Gęsiówce wałą«. Zdanie to zelektryzowało mnie. Szybko wstaję i wychodzę przed bramę. Rzeczywiście, od obozu na Gęsiej dochodzą odgłosy silnej strzelaniny, słyszę je coraz wyraźniej, góruje nad nimi krótkie, a częste jazgotanie erkaemu.

Niepokoję się o Kubę, dowódcę mojego plutonu, który dokonywał dzisiaj rozpoznania bojowego dalszej części ulicy Gęsiej, tak zwanej Gęsiówki. Właśnie teraz dochodzą stamtąd odgłosy dość ostrej strzelaniny. »Ciekawe, czy to oni się tak naparzają?« – pomyślałem. Niestety, nie mogę się stąd ruszyć, więc postanawiam dostać się gdzieś wyżej i popatrzeć przez lornetkę.

Z drugiego piętra widok doskonały; przede mną boisko »Skry«, dalej kirkut z pokrzywionymi przez zachodzące słońce nagrobkami. W prawo widać jak na dłoni mury i baraki obozu Gęsiówki. W dalszej jego części nie rozróżniam już żadnych szczegółów, spoglądam więc w stronę naszej barykady. Widzę ją doskonale między murem Gęsiówki a ogrodzeniem kirkutu. Wzniesiono ją wczoraj, wieczorem 1 sierpnia.

Jest to specjalna barykada przeciwczołgowa. Stoi ona w miejscu, gdzie tor kolejki wąskotorowej wychodzi przez bramę z terenu getta, by przeciąć później wyraźną prostą linią ulicę Okopową i kirkut. Tor wzdłuż Okopowej rozgałęzia się na dwie linie. Ustawione na ulicy w dwu rzędach lokomotywki i wagoniki stanowią część barykady. Wąski przejazd zostawiony jest tylko dla naszych samochodów, które często jeżdżą środkiem Okopowej.

Przesmyk ten można szybko zasunąć przygotowanymi w tym celu dwoma rzędami lekko cofniętych wagoników. Cała barykada jest zbudowana z podkładów kolejowych, w których przygotowano stanowiska strzeleckie. Spełnia ona funkcję barykady przeciwczołgowej na arterii przelotowej, jaką jest ulica Okopowa, stanowiąca najdogodniejszą drogę z Powązek na Wolę.



Stanisław Jankowski „Agaton” (w jasnej furazerce) podczas rozmowy z powstańcami na rogu ul. Mireckiego i Okopowej.

Przez lornetkę widzę prawie każdy szczegół barykady, dużą tablicę

umieszczoną na lokomotywie, a na tablicy napis: III pluton Felek komp. Rudy.

To właśnie mój pluton – w którym mam zaszczyt pełnić funkcję zastępcy dowódcy plutonu Kuby – obsadza tę barykadę. Jedna drużyna znajduje się zawsze w pogotowiu pepanc. na barykadzie i bocznych murach, pozostałe zaś trzy drużyny stanowią oddział uderzeniowy do dyspozycji dowódcy baonu »Zośka«, a właściwie dowódcy grupy »Broda« kapitana Jana.

Koło lokomotywek widzę tylko dwie sylwetki naszych chłopców. Wypatruję kogoś z oddziału, kto poszedł z Kubą na Gęsiówkę; jego obecność oznaczałaby, że rozpoznanie zostało zakończone, a więc i strzelanina na Gęsiówce nie dotyczy naszych. Wiążę się z tymi ludźmi. Szukam coraz bardziej gorączkowo, wyteżam wzrok aż do bólu.

Tuż za lokomotywkami, naprzeciw garbarni Pfeiffera, widać trzy czerwone cielska wagonów tramwajowych, które wybuch Powstania zastał na ulicy Okopowej. W nich mieszczą się nasze kwatery. Znajdujemy tam na zmianę drużynami schronienie przed dającym się dotkliwie we znaki zimnym, drobnym deszczem, który pada z niewielkimi przerwami od wczoraj wieczorem. Swoje miejsce znajduje tam również kwatera dowództwa plutonu, gdzie zazwyczaj można zastać Kubę.

Wpatruję się i przeszukuję wzrokiem okolicę wagonów tramwajowych. Niestety, pusto tam i spokojnie. Tylko od czasu do czasu ulicą Okopową przemykają wystraszeni cywile, którzy wciąż kryją się w poszukiwaniu bezpiecznego dojścia do domu. Nabieram pewności, że strzelanina na Gęsiówce, która akurat prawie zupełnie ucichła, była, niestety, związana z wyprawą Kuby.

Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Znając odwagę i ryzykowne działania Kuby i naszych chłopców, obawiam się – ba, prawie jestem pewien – że nie uniknęli najmniejszej okazji, aby wdać się w walkę z Niemcami, choć to wcale nie należało do dzisiejszego ich zadania.

Przypominam sobie incydent sprzed dwóch tygodni, gdyśmy byli jeszcze z naszym plutonem w partyzantce nad Bugiem. Kuba z tą samą co teraz drugą drużyną wybrał się do rozpoznania drogi oddalonej o parę kilometrów od naszego miejsca postoju i wplątał się w walkę z jadącymi

szosą Niemcami. Usłyszawszy odległą strzelaninę, potęgowaną przez echa leśne, natychmiast pomyśleliśmy o Kubie i wprost odruchowo ruszyliśmy w kierunku strzałów.

Biegliśmy bez przygotowania, bezradnie, aż do utraty tchu. Strach i obawa o losy przyjaciół dodawała nam sił. Zatrzymaliśmy się dopiero, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że straciliśmy orientację co do kierunku i odległości strzelaniny. W tej potyczce ranni zostali dwaj nasi chłopcy – Olgierd i Markiz.

W porę przypominam sobie o meldunku dla kapitana Jana. Szybko wchodzę na kwaterę Radosława. Jana tam jeszcze nie ma. Czekam w silnym podnieceniu i zdenerwowaniu, które przechodzą w bezsilną złość i wściekłość. Najgorsze są jednak chwile oczekiwania i bezczynności. Świadomość, że koledzy akurat się biją, a ja muszę tu jak głupi czekać na kapitana, który licho wie, kiedy się zjawi, ta świadomość jest nie do zniesienia.

Znamy to czekanie. W niedawnych akcjach dywersyjnych zajmowało ono niekiedy więcej czasu niż sama akcja. Cała nasza kompania »Rudy«, a zwłaszcza pluton »Felek« – to przyjaciele lub znajomi; poznałem ich i żyłem się z nimi w działaniach dywersyjnych i w partyzantce. Wspaniale żyje się i walczy w takim gronie przyjaciół, których się kocha jak braci i z którymi bardziej niż z braćmi łączy nas braterstwo broni i służby oraz wspólnie przeżyte walki, trudy i niebezpieczeństwa. Ale też każde zagrożenie odczuwa się bardzo mocno, obawa o przyjaciół szarpie nerwy i nie pozwala racjonalnie myśleć, nawet tłumi instynkt samozachowawczy. Chyba tym można tłumaczyć tak liczne w naszej działalności dywersyjnej i konspiracyjnej akty wspaniałego braterstwa, poświęcenia i odwagi.

Zwłaszcza dowodzenie grupą przyjaciół w jakiejś niebezpiecznej sytuacji wzmaga poczucie odpowiedzialności tak ogromne, że ja odczuwałem prawie bolesny strach przed wydaniem decydującego rozkazu lub przed podjęciem jakiejś ważnej decyzji. Wtedy refleksjom i rozważaniom nie było końca, bo co by to było, gdybym wydał głupi lub zły rozkaz, w wyniku czego stałoby się jakieś nieszczęście.

Usiłuję skracać sobie czas oczekiwania, obserwując przewijające się

łączniczki, oficerów i podchorążych i przyglądając się ciemnym kątom sklepu zajętego na miejsce postoju dowództwa zgrupowania. Wciąż jednak powracam myślą do chłopaków i łapię się na tym, że właściwie wszystko widzę jak przez mgłę i nic mnie tu nie obchodzi.

Z odrętwienia wyrwały mnie dość natarczywe spojrzenia dwu ładnych łączniczek, które przed chwilą weszły do dowództwa i przyglądały się dość ubrudzonej, lecz zapewne bojowo wyglądającej mojej postaci. Ambicja i chęć imponowania zrobiły swoje. Na chwilę zapomniałem o dręczących mnie niepokojach i zacząłem się zgrywać, przyjmując bohaterską pozę, wypinając brzuch, gdzie za pasem tkwiły groźnie aż cztery handgranaty, oraz delikatnie obracając się bokiem, by wyraźnie pokazać jedną część mego sierżancko-podchorążackiego naramiennika. Jestem przecież w mundurze wojskowym, który pozostał mi z partyzantki. Mundur jest jeszcze rzadkością i tym bardziej może być powodem do dumy.

Tymczasem wchodzi kapitan Jan, oficer niewielkiego wzrostu, zgrabny, energiczny. Natychmiast zbliża się do mnie. Na jego widok cała moja złość i zdenerwowanie całkiem ustępują. Taki wpływ na żołnierza ma widok tego dowódcy. Znam go dawno, kocham całym sercem i ufam mu bez granic. Kapitan wysłuchał mego meldunku i rzekł: – Jutro przed południem weźmie pan podchorąży dwie drużyny ze swego plutonu i jedną obsługę z erkaemem z kompanii »Maciek«. Zadanie: opanować szkołę na Spokojnej. Dalszych informacji udzielę jutro przed samą akcją. Proszę na mnie czekać na waszej barykadzie.

Wystrzeliłem automatycznym:

– Tak jest, panie kapitanie – i wykonawszy poprawnie w tył zwrot, szybko opuściłem sklep. No, nareszcie!

Teraz już mogę sprawdzić, co z moimi. Biegnę do wagoników tramwajowych. Dalekie łuny spalonej Wolskiej oświetlają krwawą poświatą widoczną z daleka barykadę lokomotywek. Czuję swąd dymów, słyszę odgłosy strzelaniny. Otoczenie jest groźne i tajemnicze.

Zdyszany, wpadam do naszego tramwaju. No, odetchnąłem z ulgą – cały pluton w komplecie żywo krząta się przy wydawanej właśnie kolacji. Zdziwiło mnie jednak, że nie słyszę tubalnego głosu Kuby, w którym

w takich chwilach brzmiała ojcowska troskliwość, nie widzę jego jasnej czupryny i barczystej postaci. Siedział na stopniach następnego wozu i wpatrywał się w niebo przez duże rogowe okulary, których szkła wyraźnie błyszczały w poświacie dalekiej łuny. Był wyraźnie zasepiony. Zrozumiałem, że coś jest nie w porządku.

Zbliżyłem się powoli. Wiem, że spostrzegł mnie i choć nie zareagował, to jednak czułem, że odgaduje pytanie, które cisnęło mi się na wargi. Znaliśmy się tak dawno i byliśmy najbliższymi przyjaciółmi, rozumieliśmy się zawsze wyjątkowo dobrze, toteż świetnie wyczuwaliśmy nawzajem swoje nastroje i myśli.

Po chwili Kuba powiedział cicho: »Jasiu, wiesz, że byliśmy na dolnej Gęsiówce. Pudel poległ«. Wiadomość uderzyła mnie jak grom. Nie zastanawiając się, palnąłem głupio: »Niemożliwe, żartujesz«.

I wtedy zaległa cisza, cisza niesamowita, złowieszcza, a może mnie się tylko tak wydawało. Na tle tej dzwoniącej w uszach ciszy wciąż słyszałem: »Pudel poległ, Pudel poległ, Pudel poległ«.

To pierwszy z naszego plutonu poległy w Powstaniu, a piętnasty od początku działań dywersyjnych. Pierwszy poległy – i to właśnie Pudel, jeden z najbliższych naszych przyjaciół, dowódca drugiej drużyny, Pudel, z którym przecież jeszcze cztery czy pięć godzin temu prowadziłem ożywioną rozmowę o Powstaniu.

Nie, to chyba niemożliwe! Nie mogłem połączyć pojęcia śmierci z osobą tak pełną życia. Choć podobne doznania mieliśmy przez ostatnie lata, coraz częściej trudno godziliśmy się z tą smutną rzeczywistością.

Kuba podniósł się powoli, wszedł po schodkach do środka wagonu. Wszedłem za nim. Zamknął drzwi i siadł ciężko na ławce. Wyraźnie czuł potrzebę wygadania się przede mną, bo zawsze łatwiej we dwóch dźwigać brzemię odpowiedzialności i dzielić trudności. Chciał zdać mi relację z tego, co się wydarzyło, ale nie mógł przełamać jakiegoś oporu psychicznego.

W końcu zaczął. Zrazu urywanymi zdaniem, później coraz płynniej: »Wiesz, jak Pudel ostatnio rwał się do walki... Czasem nawet byłem na niego zły. Teraz, gdy szliśmy na to rozpoznanie, był w świetnym humorze, koniecznie chciał powalczyć i mówił, że jeśli dzisiaj z Niemcami nie

potaćczy, to będzie ostatnim idiotą. Szliśmy marszem ubezpieczonym, gdyż cholera wie, gdzie w tych budynkach szkopy siedzą. Do przeciwnego muru, tego bliższego obozu, przetrząsnęliśmy wszystkie budynki – nikogo. Weszliśmy więc do bunkra w murze. Stamtąd widać było, że za murem jest ulica, za nią drugi mur z gęsto ustawionymi bunkrami i odrutowanymi barakami, między którymi znajdowało się kilka osób. To drugi, dalszy obóz Gęsiówki. Pudel wszedł do mnie na wieżę. Ogromnie się ucieszył, że naprzeciw są szkopy, i wychylił się, żeby ich lepiej obserwować. W tym momencie padł strzał, na szczęście niegroźny, kula trafiła w cegłę nad głową Pudla. Chowamy się i teraz przez szczelinę obserwujemy przedpole.

Po prawej stronie muru widać odrutowaną bramę, a obok przylegającą do muru wartownię. Jej drzwi, te od ulicy, są otwarte, a to znaczy – mówi Pudel – że trzeba z tego skorzystać i przeskoczyć tam, bo w wartowni pewno nie ma Niemców, a nawet jeśli są, to on sobie poradzi. Prosi, żebym mu pozwolił pójść tam z paroma chłopakami.

Odmówiłem. Zaczął nalegać, wręcz awanturować się – wiesz, jak to on. W końcu uzgodniliśmy, że pójdą, ale jeśli zagrozi im jakieś niebezpieczeństwo, to zaraz wrócą. Razem z nim ruszyli Karmen, Leszczyk i Medyk, potem dołączyło paru innych. My mieliśmy osłaniać ich ogniem. Pudel bardzo się ucieszył, omal mnie nie ucałował z radości, choć widziałem, że jest trochę zdenerwowany, ale idzie na całego. Trochę mi chłop zaimponował.



Żołnierze Batalionu „Golski” w trakcie odpoczynku na podwórzu kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 31.

Zbiegli zaraz na dół, otworzyli drzwi na ulicę... i nikt nie strzela, wychylają się... nic, cisza. Wiem przecież, że taka cisza zawsze najbardziej niepokoi; to ich zdaje się trochę speszyło, ale nic, za chwilę widzę, jak trzech nasi chłopcy biegną przez ulicę. Wtem pada parę strzałów, krótkie serie z erkaemu.

My – osłona – strzelamy trochę po strzelinach bunkrów, lecz nic tam nie widzimy, szkopy, cholera, dobrze się zamaskowali. Pierwszy z naszych już dobiegł do otwartych drzwi, drugi pada, trzeci przebiega koło niego i wskakuje do wartowni.

Patrzę, który to leży. Widzę, że Pudel. Poznaję wyraźnie jego zielony mundur. Widzę, że się lekko unosi, czołga, jest w połowie drogi do drzwi, ale strzały padają coraz gęściej. Pudel znów dostał i całkiem już wysiadł. Zbiegaliśmy na dół do drzwi. Chcemy go ściągnąć, lecz szkopy tak strzelają, że nie można nosa wystawić. W drzwiach naprzeciwko Leszczyc i Medyk i też nie wiedzą, co robić. Próbują się wychylić, lecz kule walą przy nich o mur. W Pudła wciąż trafiają. Znów drgnął po nowym strzale, tworzy się przy nim kałuża krwi, głowa już się nie podnosi, opada bezwładnie.

Krzyczę do tamtych, żeby wracali. Wychylają się, lecz boją się skakać. Nie dziwię im się, ogień jest cholerny. Wreszcie decydują się, skaczą. Ogień się wzmaga. Przelatują jakimś cudem, kule tuż za nimi walnęły w mur, w którym są nasze drzwi. Znowu naradzamy się, jak ściągnąć Pudła. Niestety, nic się nie udaje. Chcemy czekać do zmroku, ale jesteśmy za daleko od swoich, właściwie w nieznanym terenie. Musieliśmy się wycofać. Strasznie głupio mi było zostawiać ciało Pudła».

Tu Kuba przerwał. Czułem, że jest bardzo przygnębiony, przygnięta go poczucie odpowiedzialności, że pod jego rozkazami nasz przyjaciel zginął. Dawniej często rozmawialiśmy o ciężarze odpowiedzialności w dowodzeniu przyjaciółmi. Wiedziałem, że oczekuje ode mnie jakiegoś wsparcia. Powiedziałem krótko: »Cholernie szkoda Pudła, ale przecież musimy go pomścić, wyciągnąć jego ciało i zorganizować mu pogrzeb, na jaki zasłużył«. Kuba ożywił się, podniósł i powiedział z mocą: »Pomścimy go! Koniecznie pomścimy«.

Choć było ciemno, wiedziałem, że zacisnął pięści, gdyż usłyszałem trzask

kurczowo ściskanych palców. Dla energicznego i żądnego czynu Kuby świadomość, że jeszcze jest coś do zrobienia, dawała siłę do otrząśnięcia się z ciężkiego przygnębienia. Jeszcze raz powiedział: »No, zobaczą te szkopy«.

Potem energicznie wyszedł z tramwaju, ja za nim. Poszliśmy zająć się przygotowaniem służby i odpoczynku plutonu na noc. Znowu zaczął padać drobny deszczyk, spowijając wszystko tak gęstą mgłą, że nawet łuny pożarów nie bardzo mogły przez nią przeniknąć.



Powstańczy pogrzeb – żołnierze kompanii „Zemsta” batalionu „Pięć” niosą trumnę poległego ppor. Tadeusza Towarnickiego „Naprawy”

Później, pod koniec walk na Starówce, gdy większość kolegów i przyjaciół ginęła w coraz cięższych bojach Powstania, coraz bardziej zdawałem sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczeństwo – przez świadomość możliwości rychłego spotkania – zbliża nas do tych, co odeszli. Wyrażały to często wypowiedane proste, lecz jakże wiele mówiące słowa: »Jak tam musi być klawo w tych niebieskich zaświatach, jak tam teraz są wszystkie nasze najkławsze chłopaki, jak tam musi być przyjemnie i wesoło, chętnie by się tam człowiek wybrał«.

Postać Pudła stanęła mi przed oczami jak żywa”^[105].

Bogdan Celiński, po przeczytaniu tych kilka kartek zapisanych przez „Anodę”, poznał jego inną stronę.

– On, który wydawał się taki wesoły, przeżywa pierwszą śmierć swego kolegi z plutonu Tadeusza Tyczyńskiego „Pudla” – opowiadał^[106]. – Zjawił się Janek wrażliwy. To było bardzo wzruszające odkrycie innego Janka.



Oddział „Anody” szturmował silnie bronioną przez Niemców szkołę przy ulicy Spokojnej 13. „Rozpoznanie wyjaśniło, że piętrowy budynek szkolny zajmuje kompania własowców, dowodzona przez Niemca i silnie uzbrojona, między innymi w ciężkie karabiny maszynowe oraz moździerz – opisywał Aleksander Kamiński. – Dostępu do szkoły bronią bunkry betonowe. Własowcy tworzą placówkę odizolowaną od większych sił niemieckich, brać więc należało pod uwagę możliwość ich desperackiego oporu. Tak przynajmniej sądził Kuba i zdanie to podzielał dowódca »Brody«, kapitan Jan [Jan Kajus Andrzejewski – P.L.], który kilkanaście minut przed rozpoczęciem akcji przybył osobiście do tramwaju.

– Ależ wieje tu u was przez te potrzaskane szyby, brrr! – Wziął z rąk Kubu szkic ulicy Spokojnej i zaczął jeszcze raz uważnie go oglądać.

Wszedł Blondyn, dowódca »Maćka«. Pluton jego kompanii jest również gotów do odmarszu. Kapitan skierował się ku wyjściu. Kuba poprawił okulary i wydawszy wargi, pociągnął za sznur dzwonka tramwajowego, jakby dając hasło do odjazdu. Na ostry dźwięk, dziwaczny w tej nieruchomej pustce ulicy z setką zbrojnych pod murami, Anoda i Słoń uśmiechnęli się, ale na twarzy Blondyna pojawił się grymas niezadowolenia.

Ruszyli w stronę Powązek gęsiego po obydwu stronach ulicy. Drużyny miały zawczasu wyznaczone zadania. Znały je, omówiły. Teraz, posuwając się naprzód – milczeli. Czasem tylko wyrwało się jakieś słowo lub zdanie. Koło Spokojnej pluton »Maćka« skręcił w bok, aby zająć pozycję na tyłach własowców. Pluton Kubu po dawnemu szybko posuwał się pod murem i przebiegał skokami otwarte miejsce. Ale i ci stanęli, skupiwszy się w tylnej bramie fabryki Cygana. Jak zawsze przed akcją Jur odczuwa mieszaninę

niepokoju – a może strachu? – połączoną z odwagą i zdecydowaniem. Przeżywa jakby stan wewnętrznego drżenia, przypominający drzenie maszyny puszczanej w ruch, lecz trzymanej na uwięzi hamulca.

– Anoda, ruszaj.

Anoda poprawia swą czapkę z barwnym otokiem, obciąża panterkę i odbezpiecza karabin. Potem daje znak sekcji zwiadowczej i miękkim ruchem, wysoki, szczupły, bystry, przesuwa się za bramę. Za nim kilku innych. Odeszli. Mijają minuty. Cztery... Pięć...

Ta, ta, ta, ta, ta, ta – gwałtownie i jazgotliwie grać zaczyna karabin maszynowy. Kuba pędzi do przodu. Za nim sekcja Księcia.

Bunkry! Jeden – zdobyty zaskoczeniem. Z drugiego wytryskują nieustannie krótkie błyski ognia. Przy bunkrze zdobytym – Anoda i jeszcze ktoś. Przywarli płasko do betonu walcowatej ściany i nie śmiały wychylić się na cal. Z drugiego bunkra i z okien szkoły biją potoki pocisków.

Odzywa się teraz broń maszynowa powstańcza. Ogień nieprzyjaciela staje się od razu słabszy. Widać, jak rozpryskują się od pocisków »Maćka« szyby na wyższych piętrach gmachu.

– Książę, erkaem w szpary bunkra! Bez pośpiechu, starannie.

Książę jest strzelcem wyborowym. Klęka za załomem muru, zabezpieczony kilkoma workami piasku, które rzuciła jego sekcja, i powoli naciska język spustowy. Ogień w szpary bunkra na chwilę ustaje. Potem miga na nowo i znów ustaje.

– Teraz! – krzyczy Kuba, jednym skokiem przesadzając chodnik ulicy. Równocześnie wybiega spoza swej osłony Anoda i jeszcze ktoś. Koło bunkra przystaje tylko Anoda, aby wrzucić do jego wnętrza granat” [107].

Wzięli wówczas jeńców. Andrzej Wolski „Jur” zapamiętał, jak z ciemnego korytarza wyłonił się Niemiec z podniesionymi rękami. Powstańcy na wszelki wypadek wycelowali w niego. Niemiec oddał broń „Anodzie” i zameldował kapitulację.

– Kiedy było natarcie na szkołę, pierwszy został ranny „Witold” – zapamiętał Henryk Kończykowski^[108]. – „Anoda” od razu do niego podbiegł, ale zobaczył, że to tylko postrzał w rękę. Zawołał sanitariuszkę i poleciał dalej. Gdy Niemcy ostrzeliwali nasze stanowiska ogniem artyleryjskim,

co spadł jakiś pocisk, „Anoda” wszystkich po kolei wywoływał. Meldowaliśmy się: „Jestem! Jestem!”. A gdy przy którymś zalegała cisza, „Anoda” rozkazywał: „Kto najbliższy, sprawdź!”. Jak przeskakiwaliśmy przez ulicę pod ostrzałem, to też było ciężko. Bo się leciało, a tu bzyk, bzyk, bzyk, kule świszczą. Ostatni biegł „Anoda”, żeby pomóc temu, który padnie. Był taki opiekuńczy.

4 sierpnia Janek odwiedził rannych żołnierzy.

– W szpitalu leżało ze 20, 30 osób na jednej salce – opowiadał Henryk Józef Kowal „Henryk” – Część na łózkach, inni na siennikach na podłodze. Przyszedł „Anoda” z dwoma kolegami, chyba koło dwudziestej pierwszej. Jak zawsze uważał, że będzie wszystko dobrze. Zawsze był optymistą. Pocieszał. Wmawiał człowiekowi, że przecież nie jest tak źle: „Ręce masz, nogi masz, wszystko się rusza, to o co chodzi? Że prawą ręką nie możesz ruszać? Ale jak się zagoi, to będziesz mógł ruszać”



Potem nastąpił szturm na Gęsiówkę – hitlerowski obóz koncentracyjny, w którym więziono Żydów.



Powojenne zdjęcie zniszczonego bunkra niemieckiego przy ul. Gęsiej.

Wacław Micuta „Wacek” wspominał^[109], że nie znali wówczas historii Gęsiówki. Wiedzieli tylko, że przed nimi jest obóz zagłady, który trzeba zająć i ratować więźniów.

Obóz składał się z dwóch części. Jedna obok ulicy Okopowej, druga –

Gęsiej (obecnie Mordechaja Anielewicza).

Tę pierwszą część „Zośka” zajęła już pierwszego dnia powstania. Wtedy Niemcy ufortyfikowali się w drugiej części. Ta była od dawna silnie umocniona. Z muru wyrastało kilkanaście wież strzelniczych z ustawionymi karabinami maszynowymi.

Polacy zaatakowali 5 sierpnia około godziny czternastej. Pluton „Felek”, w którym służył „Anoda”, skradał się w kierunku lewej obozowej wieży. W tym czasie pluton „Alek”, dowodzony przez Eugeniusza Koechera „Kończana”, ostrzeliwał Niemców. Wieżę zamierzano zniszczyć dwoma pociskami czołgu, którym dowodził Waław Micuta. Drugi wystrzał miał być sygnałem do ataku.

Czołg musiał jednak pokonać olbrzymią, wysokości piętra, barykadę. Usypaną z betonu i gruzu. Wzmocnioną szynami i innym żelastwem. Jednak dzięki umiejętnościom kierowcy udało się wdrapać na górę i zsunąć z łoskotem na drugą stronę. Żołnierze ukryci za pancernem poobijali się, ale samej maszynie nic się nie stało.



Teren zachodniej części obozu koncentracyjnego Gęsiówka. Ujęcie od strony ulicy Gęsiej w kierunku północnym, 1945 r.

Okazało się, że Niemcy ustawili jeszcze jedną linię fortyfikacji. Czołg znalazł się pomiędzy dwiema barykadami. Ruszył w stronę tej drugiej, a kiedy wspiął się na jej grzbiet, oddał dwa umówione strzały. Zniszczyły wieżę.

Powstańcy rzucili się do ataku. Niektórzy nawet nie czekali na drugi wystrzał, ale zerwali się już po pierwszym. Któryś nawet wskoczył na rower i popędził środkową aleją obozu. Potem zeskoczył z niego i ostrzeliwał ze stena niemieckie wieże.

Polacy ubrani byli w zdobyczne niemieckie panterki. Na głowach mieli też niemieckie hełmy. Do więźniów różnej narodowości wołali po niemiecku. Więźniowie więc przypuszczali, że zaraz hitlerowcy zaczną ich likwidować.

„Przypomniałem sobie słowa »Radosława«: »Nawet jak zdobędziecie obóz, Niemcy mogą wymordować więźniów« – pisał Waław Micuta. – Podniosłem klapę czołgu, krzychałem coś w rodzaju: »Na miłość Boską, akcja nie skończona, rozsypcie się i kryjcie!«. Nic nie pomogło. Masa więźniów przesunęła się obok lub zgoła po czołgu w kierunku pierwszej części obozu”



Getto warszawskie, ulica Gęsia przy narożniku z Zamenhofa, 1940 r.

Uwolniono wówczas około 350 Żydów. Pochodzili między innymi z Polski, Rumunii, Węgier, Czech, Holandii.

Kiedy zdobyto obóz, na dużym placu stanął wojskowy dwuszereg więźniów. Ich dowódca dał komendę:

– Bacność, na lewo patrz!

Potem zameldował:

– Panie poruczniku, melduję batalion żydowski gotowy do boju.

Chętnych do walki Żydów przydzielono do batalionów „Zośka” i „Parasol”. Niektórzy trafili też do innych jednostek.



Następne dni to walka o utrzymanie cmentarzy żydowskiego, kalwińskiego i ewangelickiego.

Szczególnie zaciekle walki rozegrały się 8 sierpnia, kiedy pluton „Felek” zerwał się do przeciwnatarcia z cmentarza ewangelickiego w kierunku ulic Młynarskiej i Sołtyka. Doszło do walki wręcz z Niemcami. Powstańcy wyparli Niemców z cmentarza, zadali im poważne straty, sami ich nie ponosząc. Zajęli część ulic Sołtyka i Młynarskiej. Zdobyli broń.

Ryszard Białous, dowódca batalionu „Zośka”, wspominał w książce „Walka w pozodze”, że pierwsze dni powstania przyniosły wiele zdobyczy i triumfów, wiele chwil radosnych i wielkich nadziei. Wszystkie planowane cele osiągnięto, ale kosztowały wiele krwi i śmierci najbliższych przyjaciół.

Gdzieś między 8 a 10 sierpnia – data nie jest pewna – na ulicy Spokojnej „Anoda” dostał postrzał w lewe płuco. Trafił go snajper zaczajony pomiędzy cmentarnymi nagrobkami.

– Janek odwiedził mnie na stanowisku bojowym – wspominał Stanisław Sieradzki „Świst”^[110]. – Na drugim piętrze budynku szkoły przy oknie wychodzącym na stary cmentarz Powązkowski. Miałem worki ustawione na parapecie, dla strzelnicy karabinu maszynowego. Obserwowałem ruchy Niemców na cmentarzu, gdzie się udało, to pukałem. „Anoda” przyszedł pogadać, zapytać, jak się czuję, obejrzeć moje stanowisko bojowe. Kiedy skończył ze mną dłuższą rozmowę, schodził z drugiego piętra na dół, żeby na półpiętrze skręcić. Kiedy zszedł na półpiętro między drugim a pierwszym piętrem, w oknie zauważył go niemiecki strzelec wyborowy na naszym, katolickim cmentarzu. Strzelił. Słyszałem ogromny huk padającego

na schodach ciała Janka. Trafiony w lewe płuco zwałił się na schody. Krwawił strasznie. W dole zobaczyłem wystające zza zakrętu schodów jego nogi. Oczywiście szczołgałem się na dół. Wyciągnąłem jego ciało w bezpieczniejsze miejsce. Narobiłem krzyku. Nasze dziewczyny przybiegły. Opatrzyły. Zniosły na dół.

„Anoda” trafił na noszach do Szpitala Jana Bożego przy ulicy Bonifraterskiej.

„Każdy z chłopaków chce być ranny,
sanitariuszki morowe panny.

A gdy cię kula trafi jaka,
poprosisz pannę, da ci buziaka” – śpiewali powstańcy.

„Anoda” mógł więc liczyć na wiele buziaków. Ale oczywiście rzeczywistość powstańczych szpitali nie była tak piękna jak słowa piosenki. Jęki, smród, cierpienie.

– Janek był ranny w płuca, ja w brzuch – wspominała Danuta Winiarska „Słoninka”. – Leżeliśmy w salach obok siebie. Nie mogliśmy się ruszać, porozumiewaliśmy się kartkami. Dowiedziałam się, że zginął Konrad Okolski „Kuba”. Byłam naprawdę przybita. Janek przysłał mi śliczny list, serdeczny, który mnie podbudował. Trzymałam go pod poduszką. Niestety, jak nas potem nagle ewakuowali, ten list gdzieś został.

Kilka dni później „Świst” pomagał przenosić Janka do następnego szpitala, na ulicy Miodowej. Kiedy znaleźli się na placu Krasińskich, wpadli pod ogień granatników. Na szczęście jednak w końcu dotarli do szpitala prowadzonego przez słynnego doktora „Broma”.

W powstańczych szpitalach leżeli też Niemcy. Ranni Polacy niekiedy denerwowali się, gdy pielęgniarki rozdawały im – tak jak powstańcom – czekoladę. Podobno kiedyś rozżłoszczony tym „Anoda” rzucił swoją na podłogę. Ale potem już nie był taki nieprzejednany. Czasami rozmawiał z niemieckimi jeńcami. Choć nie poczuł nigdy do nich sympatii, nie okazywał jednak wrogości.



Powstańcy prowadzą jeńców niemieckich placem Krasieńskich, sierpień 1944 r.



Przewrócony tramwaj wykorzystany jako element barykady przegradzającej ulicę Miodową, sierpień 1944 r.

Podziemiami szpitala batalionowego na ulicy Miodowej 23, wypełnionymi jęczącymi rannymi, snuła się postać nie z tej ziemi: wysoki, szczupły mężczyzna w ułańskiej czapce. To „Anoda”, który co kilka godzin zwlekał się ze swojego siennika i ruszał na obchód, szukając swoich kolegów.

„Umiał przechodzić obok ludzi leżących prostopadle do ścian na siennikach lub słomie przykrytej kocami i ranni nie przeklinali go za nadeptanie lub potrącenie – opisywał Aleksander Kamiński. – Udawało mu się przeciskać nawet do najciężej dotkniętych kolegów, leżących na nielicznych łóżkach. Na szczęście piwnice szpitala były nieźle oświetlone. Elektrycznością! Anoda, zamiłowany w technice, przygotowujący się do zawodu elektryka, z podziwem rozprawał na temat załogi elektrowni na Powiślu. »Z ikrą muszą być chłopy!«”^[111].

Wciąż dowcipkował. Ułańską czapkę zdejmował tylko na noc.



O batalionie „Zośka” podczas powstania pisano: „Bezwzględna dyscyplina i braterstwo pozwalają stwierdzić, że oddział to wzór demokratycznej armii pozbawionej ducha kapralstwa”.

Za walki na Woli odznaczono „Anodę” najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym – Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. W uzasadnieniu napisano: „za uderzenie flankowe z rejonu Sołtyka w krytycznym momencie natarcia polskiego na cmentarz ewangelicki; uderzenie to zadecydowało o utrzymaniu stanowisk w tych rejonach”. 17 sierpnia awansowano go na stopień podporucznika.

Kiedy leżał w szpitalu, powstańcy dzielnie atakowali i bronili się, ale coraz mniej było szans na ostateczne powodzenie. Padały kolejne punkty polskiego oporu.

W nocy z 1 na 2 września powstańcy ewakuowali się ze Starówki. Wówczas Niemcy zajęli staromiejską dzielnicę. Symbolem porażki stało się zniszczenie przez hitlerowców czołgowym wystrzałem kolumny Zygmunta.

Niedługo przed upadkiem Starówki, 30 sierpnia, Janek przeszedł kanałami do Śródmieścia, do szpitala na ulicy Hożej. Rannych ewakuowano przez

włazy na placu Krasińskich i na ulicy Hipotecznej.

Kanały warszawskie były wykorzystywane już we wrześniu 1939 roku – Oddział II Dowództwa Obrony Warszawy wysyłał nimi raporty i rozkazy. Kanałami uciekali Żydzi z getta. Podczas powstania w getcie otrzymywali tą drogą broń i żywność od Polaków.



Powstańcy z Mokotowa wychodzą z kanału przez właz w Al. Ujazdowskich przy ul. Wilczej.

W czasie Powstania Warszawskiego pierwsze do kanałów zeszyły prawdopodobnie dwie łączniczki Maria Domińska „Marysia” i Lilla Morońska-Cielecka „Lilka”. Był piąty dzień walki, łączniczki dostały się pod silny ostrzał z obsadzonej przez Niemców Stacji Pomp. Zauważyły otwarty właz kanału, skryły się wewnątrz. Ostrzał trwał. Łączniczki nie mogły wyjść, więc zaczęły penetrować kanał.

Rozkazy dotyczące łączności na wypadek powstania w Warszawie nie przewidywały jednak wykorzystania kanałów. Powstanie miało trwać trzy dni, dla utrzymania łączności wystarczyłyby radio i łączniczki. Trwało jednak o 60 dni dłużej, a kanały okazały się niezbędne dla komunikacji między odciętymi, otoczonymi przez Niemców dzielnicami Warszawy.

– Lubiłem kanały i świetnie w nich się czułem – wspominał Kazimierz Sheybal „Antek”. W „Zośce” służył w plutonie pancernym, który obsługiwał dwa czołgi – „Panthery” zdobyte na Niemcach. Kiedy Niemcy zniszczyli je,

plutonowi pancernemu polecono (około 20 sierpnia) przygotowanie tras kanałowych między Starym Miastem a Żoliborzem. Choć w kanałach było zupełnie ciemno, chociaż szło się po kolana albo piersi w kanałowej cieczy, chociaż miejscami trudno było oddychać, to znikła cała wypracowana przez Niemców przewaga techniczna, przeciwko powstańcowi walczył Niemiec, a nie samolot, czołg, działo. Kanały jednak już wówczas otaczała tragiczna legenda. W świadomości ludzi jawiły się jako coś złowrogiego, pełnego szcurków i duchów Żydów, którzy ginęli w nich podczas powstania w getcie.

Dwie najważniejsze trasy powstańcze biegły kanałami między Starym Miastem a Śródmieściem i między Mokotowem a Śródmieściem. Ten drugi powstańcy nazywają „wajdowskim”, bo w nim reżyser umieścił akcję swego słynnego filmu.

Janek ewakuował się tą pierwszą trasą.

Jerzy Mirski zapamiętał wejście do kanału: – Z piekła znalazłem się w ciasnej ciszy.

Zofia Łazor „Zojda” wspominała: – Kiedy weszłam i skończył się otwór nad głową, poczułam ogromną ulgę. I ta nieprawdopodobna cisza. Po huku Starego Miasta ta cisza była wręcz oszołamiająca.

Stanisław Sieradzki „Świst” opowiadał: – Nie mieliśmy specjalnych ubrań do kanału. Każdy wchodził, jak stał. We włazie pod sobą zobaczyłem człowieka w czarnej szacie i meloniku na głowie.

O tych dramatycznych chwilach opowiadali mi żołnierze, gdy w 50. rocznicę powstania pisałem reportaż o kanałach^[112].

Ze Starego Miasta do Śródmieścia i na Żoliborz przeszło około 5 tysięcy powstańców (w tym 3 tysiące rannych) i nieliczni cywile.



Walczący warszawiacy czuli się osamotnieni i porzuceni przez resztę świata. Wciąż liczyli na wsparcie z praskiego brzegu Wisły. Dowództwo w Warszawie i rząd w Londynie słały apele o zrzuty broni. 4 września Churchill ponownie depeszował do Roosevelta o zrzuty dla Warszawy, nawet wbrew woli Stalina.

Tego samego dnia, 4 września, Janek z niedoleczoną raną płuca zgłosił się znowu do batalionu „Zośka”. Ten już składał się z jednej kompanii „Rudy”. Dowodził nią Andrzej Romocki „Morro”. Punkt zborny mieścił się w budynku ambasady bułgarskiej w Alejach Ujazdowskich.

„Anoda” wrócił do walki. Najpierw w budynku ZUS-u na rogu ulic Czerniakowskiej i Rozbrat. Wkrótce został znowu ciężko ranny. Tym razem odłamkami z granatnika w lewe ramię i łopatkę z potrzaskaniem kości.

Niemcy doszli do ulicy Wilanowskiej na Czerniakowie. Stanęli z powstańcami na wąskiej uliczce niemal nos w nos. W dwóch domach naprzeciwko wszyscy ustawili stanowiska strzeleckie. Był prawdopodobnie 15 września 1944 roku.

– Niestety, „Anoda” czasami za bardzo ryzykował – zapamiętał Henryk Kończykowski^[113]. – Został ranny, gdy za bardzo wychylił się z okna, bo chciał zobaczyć, co się dzieje u Niemców. Daty nie pamiętam – opowiadał. – Wtedy w ogóle się nie wiedziało, jaki jest dzień. Nie wiedziało się, czy to jest niedziela, czy piątek. Nie znało się godziny. Żaden zegarek nie działał. Za dużo było kurzu i pyłu.

Zdarzenie to widział Stanisław Sieradzki „Świst”. Janek leżał z pistoletem maszynowym na balkonie w budynku przy ulicy Wilanowskiej 1. Nadszedł niemiecki czołg. Wystrzelił z działa w balkon. Pocisk poszarpał całą klatkę piersiową „Anody”. Z trudem go wciągnięto do pokoju i opatrzone.

Janek zapamiętał, że tę ranę odniósł od rusznicy przeciwpancernej. Ale też nie wiedział, czy stało się to 15, czy może 19 września. W chaosie walki ginęły kolejne dni.

Tym razem „Świst” też był ranny. Leżał na sienniku na podłodze w punkcie opatrunkowym w piwnicy przy ulicy Wilanowskiej 1 obok „Anody”. Zapamiętał, że dzięki temu łatwiej mu było znosić niedogodności. Janek, ciężko okaleczony, wciąż był pogodny. W mrocznej piwnicy razem cieszyli się z jego awansu na stopień porucznika.

Z praskiego brzegu Wisły przeprawiali się pierwsi „berlingowcy” – żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego walczącej razem z Armią Czerwoną. Podczas desantu na Przyczółek Czerniakowski zginęło ich niemal tysiąc.



Gen. Konstanty Rokossowski (z prawej) odniósł w czerwcu 1944 r. wspaniałe zwycięstwo pod Bobrujskiem na Białorusi, za które mianowano go marszałkiem. Pod koniec lipca jego wojska podeszły pod Warszawę.



Armia Czerwona w natarciu. Latem 1944 r. po raz pierwszy na większą skalę Sowieci użyli swoich nowych czołgów ciężkich IS-122.

– Jak przyszli „berlingowcy” 15 września, między nimi też byli ranni i myśmy im pomagały – wspominała Anna Jakubowska „Paulinka”^[114]. – Zresztą nas trochę to bawiło, bo oni z jakiegoś małego draśnięcia robili wielkie halo. Bo byli nieprzyzwyczajeni do tego, co myśmy już przeżyli przez półtora miesiąca powstania. Kompletnie nie umieli się znaleźć w mieście. Nie rozumieli, że nieprzyjaciel może ich zaatakować nie z jednej,

ale ze wszystkich stron. Janka wtedy na Czerniakowie widywałam tylko przelotnie.

18 września walcząca Warszawa przeżyła krótką chwilę euforii. Z lotnisk południowo-wschodniej Anglii wystartowało 110 amerykańskich „latających fortec” – czterosilnikowych boeingów B-17 z 3. Dywizji 8. Armii Powietrznej USAAF. Do Warszawy doleciało 107 z nich (trzy zawróciły), ale tylko 101 dokonało zrzutu. Z 1170 zasobników spadło na cel 288. Tego dnia z nieba nad Warszawą zniknęły niemieckie bombowce. Powstańcy cieszyli się osłoną sowieckich myśliwców.

Podczas amerykańskich zrzutów ludzie wychodzili z piwnic na mury i gruzy. Płakali ze szczęścia. Niektórzy myśleli, że desantują się polscy spadochroniarze.

Ale nastrój mieszkańców Warszawy najbardziej oddawały już wówczas gorzkie żarty: „Monter” awansował na „Demontera”, bo zdemontował Warszawę, a na jej gruzach wyrósł „Bór”



Powstańczy plakat autorstwa Henryka Chmielewskiego.

Na walczącym brzegu Wisły lądowali kolejni żołnierze Wojska Polskiego. Desanty wiązały się jednak z coraz większymi stratami. W nocy z 17 na 18 września (a być może 19) wycofujący się żołnierze 3. Dywizji Piechoty 1. Armii WP generała Zygmunta Berlinga zabrali Janka na praski brzeg Wisły. Na ewakuację czekał na statku „Bajka” zacumowanym w Porcie Czerniakowskim. Rannych niesiono na drzwiach wyrwanych z futryn.

– Przenieśliśmy Janka na sam brzeg, tam go „berlingowcy” załadowali na łódkę – wspominał Henryk Kończykowski. – Prawie się nie odzywał. Był bardzo spokojny.



Gen. Zygmunt Berling w 1944 r. był dowódcą 1. Armii WP i jednocześnie zastępcą Naczelnego Dowódcy WP.

Stanisław Lechmirowicz „Czart” opisywał ewakuację łodziami na Saską Kępę:

„– Idą! Idą! Łodzie! Głośny krzyk z brzegu elektryzuje kłębiący się, niespokojny tłum. Żołnierze nad wodą zataczają latarkami koła, wskazując miejsce lądowania. Artyleria niemiecka rygluje środek rzeki i pas przed Wałem Miedzeszyńskim. W prześwitach między nogami stojących przede mną żołnierzy widzę chwilami jakiś skrawek oświetlonej rakietami rzeki

i rwące w niej pociski. Zdenerwowanie wzrasta. Zdrowi berlingowcy cisną się ku wodzie, gdzie mają przybijać pontony. Krzyżują się nerwowe, niespokojne krzyki. Ogień niemieckich maszynek potężnieje. Już słychać plusk wiosł. Tłum na pokładzie faluje nerwowo, bezładnie. Ktoś wpada do wody. Łądują. Ogarnięci paniką żołnierze rzucają się do łodzi. Nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Słychać krzyk Witolda, ktoś strzela – na próżno. Przepętniona, biorąca wodę bokami łódź odrywa się od brzegu. Słychać jeszcze nerwowe, chaotyczne uderzenia wiosł o wodę i zaraz budzi się na krótko tylko przycichły ogień cekaemów. Artyleria bije już we wzburzoną powierzchnię rzeki, a gdzieś wyżej wykwitają oślepiające wstęgi rakiet. Odpłynęli”^[115].

Stanisław Sieradzki „Świst” wspominał^[116], że panicznie bał się śmierci w nurtach Wisły.



Widok na Wisłę od strony Starego Miasta, zdjęcie powojenne.

– Płynąłem wcześniej od Janka – zapamiętał „Świst” – Nad Wisłą

gwizdały serie karabinów maszynowych. Uderzały pociski granatników i moździerzy. Widziałem z mojej łodzi, jak następna dostała pocisk w sam środek. Widziałem głowy tonących, krzyczących, wołających o pomoc. Drżałem, czy w tej łodzi nie było Janka.

„Świst” wspominał^[117], że gdy jego ponton dobił do brzegu, usiadł na wiślanym piasku, czekając na „Anodę”, który płynął trzecią łodzią.

– Jak go wzięli „berlingowcy”, to jakoś Wisłę przepłynęli – opowiadał Henryk Kończykowski. – Ale tamten brzeg był pod silnym ostrzałem artyleryjskim. I co oni zrobili? Nieśli go na noszach, jak zaczął się ostrzał, rzucili nosze i uciekli. Janek upadł, połamała się ręka. Ale żeby było mało, to któryś odłamek go trafił. Był bardzo pokancerowany.

Tylko nielicznych powstańców ewakuowano na praski brzeg Wisły. Inni – wśród nich „zośkowcy” – po upadku powstania znaleźli się w niemieckiej niewoli albo opuścili miasto z cywilami.

Janek trafił do szpitala w Aninie. Operowano go. Trzykrotnie przeszedł transfuzję krwi. Potem kolejny szpital w Otwocku.

– W Otwocku dowiedziałem się, że Janek jest w innym szpitalu – wspominał Bogdan Celiński. – Koniecznie chciałem go odwiedzić. Wędrowałem o kulach, w pożyczonym ubraniu. To była zima 1945 czy nawet koniec 1944. Droga przez mękę, ale do tego szpitala dobrnąłem. Janek leżał bardzo poharatany. Ręka prawa na jakimś wysokim rusztowaniu. Nawet uściskać się nie mogliśmy. Obie ręce były zupełnie do niczego.



Brat „Anody” Zygmunt podczas powstania odniósł poważną ranę już pierwszego dnia, na Czerniakowie.

– Ktoś mi powiedział, że Zygmunt Rodowicz leży w szpitalu – zapamiętała Jadwiga Klarner „Aniołek”^[118]. – Na ulicy Chełmskiej był klasztor, w pomieszczeniach u sióstr zorganizowano szpital, do którego po zranieniu przeniesiono Zygmunta Rodowicza. Miał fatalny postrzał, bo dostał w łopatkę, przez bark, to była lewa ręka. Leżała na wielkiej szynie, tak zwanym samolocie. Powędrowałam tam i zobaczyłam go. Był blady jak śmierć, wychudzony, bo z jedzeniem marnie, ale w każdym razie ręka mu się

goiła. Porozmawialiśmy trochę i on sam mnie wyrzucał od siebie: „Idź, idź! Bo zaraz będzie ostrzał”. Niemcy działali jak w zegarku, z niemiecką systematycznością, było doskonale wiadomo, o której i gdzie zaczyna się ostrzał. Rzeczywiście, zdążyłam ująć z pół kilometra, może kilometr od ulicy Chełmskiej, kiedy zobaczyłam ze skarpy wiślanej – bardzo dobry był widok na Dolny Mokotów – ostrzał. Wyraźnie bombardowali głównie szpital^[119].



Jan Rodowicz (z lewej) i Konrad Okolski w Warszawie 1944 r.

30 sierpnia w szpitalu na Chełmskiej Zygmunt zginął pod niemieckimi bombami.

W marcu 1945 roku rodzice odnaleźli jego spalone szczątki. Niewiele z nich zostało. Pochowali syna w małej trumience.

ROZDZIAŁ IX

Oddany przyjaciel w Panu

„W świątecznym numerze »Gazety Wyborczej« ukazał się Pański artykuł »Okno«, a w jego nadtytule dwa pytania: Jak zginął »Anoda«? Czy kiedykolwiek poznamy odpowiedź?” – napisał do mnie w połowie 1995 roku 66-letni Andrzej Biedrzycki. – Wydaje mi się, że pozna ją Pan po przeczytaniu mojego listu”

Kiedy dostałem ten list od lekarza zapewniającego, że słyszał o sekcji zwłok „Anody” w 1949 roku, miałem mieszane uczucia. Po doświadczeniach z fantastycznymi opowieściami Bogusława Bosiackiego utwierdziłem się w przekonaniu, że ludzie czasami pamiętają przeszłość zupełnie inaczej, niż ona naprawdę wyglądała.

To zresztą nie był pierwszy taki przypadek. Pisałem wiele o latach stalinizmu, II wojnie światowej i czasami nie byłem przekonany, że mój bohater opowiada o tym, co wydarzyło się w rzeczywistości, a nie tylko w jego głowie. To wielki temat – jak historia obrasta w mity, w które z czasem zaczynamy wierzyć.

Ale nie mogłem pominąć nowej relacji. W końcu przedstawiał ją lekarz. Na dokładkę specjalista w dziedzinie sekcji zwłok. Co więcej, okazało się, że jego relacja potwierdzała to, czego wcześniej matka „Anody” dowiedziała się w tajemnicy o śmierci syna.

Postanowiłem pojechać do nadawcy. W reportażu „Okno” („Gazeta Wyborcza”, 29.04.1995) wspomniałem, że ekshumacja w 1995 roku nie przyniosła jednoznacznych dowodów w sprawie śmierci Janka. Okazało się jednak z całą pewnością – co do tej pory było wątpliwe – że ktoś po śmierci

„Anody” dokonał sekcji jego zwłok. Ale prokurator nadal nie wiedział, kto. Nigdzie nie natrafił na urzędowe dokumenty dotyczące sekcji.

Tyle wiedziałem, wyruszając do Ostrowca Świętokrzyskiego do Andrzeja Biedrzyckiego.



Usiedliśmy na ławeczce w ogrodzie, pod różowym bzem, na którym wisiała słoninka dla sikorek.

Andrzej Biedrzycki od roku był na emeryturze.

Wciąż pozostawał zapalonym kolarzem amatorem. Kiedy potem spieszyłem się na autobus, posadził mnie na ramie swojego roweru i odwiózł na przystanek.

Jego ojciec, ochotnik w wojnie 1920 roku, był leśnikiem, potem pracował w gazowni. Matka uczyła śpiewu w szkole powszechnej.

W 1948 roku Biedrzycki zaczął studia medyczne w Warszawie. Na piątym roku zaliczał medycynę sądową u profesora Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego. Był grupowym, sprawdzał obecność studentów na wykładach, dlatego profesor go zapamiętał.

Po studiach Andrzej Biedrzycki wrócił do Ostrowca Świętokrzyskiego. W miejscowym szpitalu przeprowadzał sekcje zwłok. Wykonał ich w życiu kilka tysięcy. W roku 1960 pojechał na kilkumiesięczny kurs specjalistyczny anatomii patologicznej do Szpitala Przemienienia Pańskiego w Warszawie.

– Interesowały mnie przede wszystkim sekcje sądowe – tłumaczył. Załatwił sobie staż w Katedrze Medycyny Sądowej. Właśnie u profesora Grzywo-Dąbrowskiego.

– Byłem tam kilka miesięcy. W zakładzie żyliśmy się jak bracia – wspominał Andrzej Biedrzycki. – W czasie jakiejś rozmowy wspomniałem o „Anodzie”. Zupełnie bez związku. Nie mogłem przypuszczać, że tutaj ktoś wie o jego losach. I wtedy powiedziano mi, że zwłoki „Anody” przeszły przez ten zakład. Tak jak to dziś pamiętam, najpierw opowiadali mi o tych wypadkach asystenci profesora, a potem on sam. Zwłoki „Anody” przywieźli ubecy. Powiedzieli lekarzom, że wyskoczył z pierwszego piętra. Nie tak, jak dziś twierdzą, że z czwartego. Właśnie to niezwykle poruszyło asystentów

z Zakładu Medycyny Sądowej. Już pobieżne oględziny zwłok wskazywały bowiem, że takie obrażenia nie mogą powstać po skoku albo wypadnięciu z pierwszego piętra. Widzieli, że połamany jest wszędzie. Trumna była zabita gwoździami, zakazano jej otwierania. Ale oczywiście pracownicy nie posłuchali. Mało tego. W nocy profesor Grzywo-Dąbrowski przeprowadził sekcję zwłok. Znalezione ciężkie wielokrotne złamania, inaczej mówiąc – pogruchotane były wszystkie niemal kości. Towarzyszyło temu rozerwanie i zmiżdżenie prawie wszystkich trzewi jamy brzusznej i klatki piersiowej oraz rozległe urazowe wylewy krwawe w powłokach, jamach ciała, mięśniach. Wszystko dowodziło, że powstały za życia. Nie znaleziono natomiast jakiegokolwiek rany postrzałowej.

– Wyjątkowa ciężkość i rozległość obrażeń wykluczały możliwość powstania ich przy upadku z okna – twierdził Andrzej Biedrzycki. – Możliwe było tylko ciężkie pobicie „Anody”. Takie obrażenia mogły powstać na przykład przez wskakiwanie na „Anodę” całym ciężarem ciała sprawców, którzy, być może, nosili wojskowe buty.

Ta część relacji Andrzeja Biedrzyckiego zgodna była z tym, co matka „Anody” zapisała w 1968 roku o relacji doktora Konrada Okolskiego, który – łamiąc dane profesorowi Grzywo-Dąbrowskiemu słowo – opowiedział o wyniku sekcji zwłok. Dodawała, że w 1960 roku sama zapytała o to profesora.

Andrzej Biedrzycki pytał o „Anodę” dokładnie w tym samym roku co matka zabitego. On uzyskał odpowiedź, matka – nie. Dlaczego? Czy profesor obawiał się powiedzieć o wnioskach z sekcji matce, a potem dręczyło go sumienie i postanowił jednak komuś powierzyć tę tajemnicę? A może po prostu chciał oszczędzić Zofii Rodowicz tej potwornej wiedzy o tym, co zrobiono z jej synem?

Andrzej Biedrzycki przypuszczał:

– Byliśmy lekarzami. Swój swego wyczuje.

Opowieść Biedrzyckiego mogła zgadzać się z relacją anonimowego świadka (gońca w ministerstwie), że widział mężczyznę, który wyskoczył z okna na podwórko i próbował wspiąć się na dach budynku gospodarczego. Został jednak złapany przez ubeków. Czy rzeczywiście został

potem przez ubeków zakatowany na śmierć?



Prokuratura nie uwierzyła Andrzejowi Biedrzyckiemu.

Wezwano go jako świadka. Biedrzycki nie pamiętał jednak nazwiska asystenta Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej, który opowiadał mu o sekcji. Stwierdził też, że z wypowiedzi asystenta nie wynikało, czy osobiście uczestniczył w tej sekcji lub czy był przy niej obecny.

Biedrzycki prokuratorowi nie wspominał tego, co powiedział mnie, że o sekcji Janka słyszał bezpośrednio od samego profesora Grzywo-Dąbrowskiego.

Prokuratura wyjaśniła, dlaczego nie wierzy Biedrzyckiemu. Mimo że szczegółowo odtworzył relację asystenta, to nie pamiętał jego danych personalnych. Chociaż miał być na kursie przez sześć miesięcy i „bliżej poznać się z prowadzącymi zajęcia asystentami”, a nawet uczestniczyć w posiedzeniach katedry. Poza tym opisywane obrażenia, czyli „uszkodzenie prawie wszystkich kości”, zapewne zauważyłaby rodzina, która po śmierci przenosiła zwłoki Janka.

Kolejny świadek, zdaniem prokuratury, okazał się niewiarygodny.

Andrzej Biedrzycki sprawiał wrażenie prawdomównego człowieka. Odnosił się do mnie z ponadprzeciętnym szacunkiem. W liście do mnie użył niezwykłych już dziś określeń: „Pański niegodny i oddany przyjaciel w Panu”.

Moje wątpliwości budziło tylko to, że z miejsca bardzo dużo zaczął mi opowiadać o losach powojennej konspiracji. O ówczesnych bohaterach. Tak jakby tymi historiami zainteresował się dopiero niedawno. Czy przy okazji chciał w tych dziejach odegrać jakąś rolę? Czy rzeczywiście podczas tamtego kursu usłyszał coś o „Anodzie”? Czy może przy innej okazji? Czy naprawdę sam profesor Grzywo-Dąbrowski opowiadał stażyście z prowincji o tym, czego nie powiedział matce bohatera?

Tymczasem odkryłem bardzo ważny i wiarygodny trop. Świadkiem śmierci „Anody” był żołnierz Armii Krajowej! Zapamiętał mnóstwo szczegółów.

Chciałem się z nim spotkać. Jak najszybciej. Ludzie, którzy znają tamte czasy, są już w podeszłym wieku. Zdarzało się, że kiedy do nich dzwoniłem, ktoś z rodziny podnosił słuchawkę i mówił: – Tata zmarł miesiąc temu.

ROZDZIAŁ X

Wspomnienia i pogrzeby

Stawali się legendą.

Przez szeregi batalionu „Zośka” przeszło około 520 żołnierzy, poległo 360^[120].

Jeszcze podczas okupacji, w 1943 roku, wyszła książka Aleksandra Kamińskiego „Kamienie na szaniec”. Uwieczniła wojenne dzieje harcerskiej konspiracji bardziej niż jakikolwiek marmurowy pomnik.

„To chyba właśnie wtedy, na tej wycieczce, po raz pierwszy usłyszałem, że ktoś, chyba Krysia Szpotańska, zwrócił się do Janka per Anoda. – Dlaczego Anoda? – zdziwiłem się. – Coś ty – obruszyła się Krystyna. – Nie czytałeś »Kamieni na szaniec«?»

Zdrętwiałem. Nie mogłem uwierzyć. Nie mieściło mi się w głowie, że ten nasz wspaniały sympatyczny Rodowicz to legendarny Anoda spod Arsenалу” – tak wspominał „Anodę” kolega ze studiów Jan Suzin^[121], później słynny prezenter telewizyjny. „Bohater lektur nastolatka nagle ożył!” – powiedział podczas odsłonięcia tablicy Janka na Politechnice Warszawskiej w 1989 roku.



„W styczniu 1945 dowiedzieliśmy się, że przeżył! – wspominała matka. – Przewieziony do szpitala polowego koło Józefowa, operowany, już w marcu 1945 roku – w przeddzień imienin ojca – odnalazł nas. To było w Milanówku. Wracam z wyprawy po żywność, otwieram drzwi. Schował

się przede mną, jak dziecko. Ale zobaczyłam go w lustrze! Krzyku narobiłam! Był w kożuszku, pożyczonym od jakiegoś dozorczy, letniej czapce, ręka na temblaku, bezwładna, okropne blizny”^[122].

Janek wrócił do domu jako inwalida wojenny, oceniono, że w 81 procent stracił zdrowie.

Z Milanówka rodzina wróciła do Warszawy. Dostali przydział na ulicy Lwowskiej 7 m. 9.

„Anoda” wciąż nie władał prawą ręką. Lekarze wcześniej chcieli ją amputować.

Koledzy ułożyli wierszyk:

„Jasiu, Jasiu bój się Boga,
w prozku ręka, ranna noga.

Krzywdzisz wiarę, krzywdzisz siebie,
o tem gadki chodzą w niebie.

Od polskiego eskulapa klej dostałeś
nim ci łeb albo noga pęknie w dwoje,
klejem zaklej, w mig się zgoi.

Z załączonej tu książeczki

Czerp sposoby na dziewczeczki...”

– Blżej poznałam „Anodę” po wojnie – wspominała Anna Borkiewicz – Celińska^[123]. – Ci z nas, którzy nie poszli do niewoli, nie zginęli w czasie powstania ani nie wyjechali gdzieś na prowincję, wracali czym prędzej do Warszawy. Gdy spotykaliśmy się, to nawet ci, którzy mało ze sobą się znali albo niespecjalnie się lubili, padali sobie w ramiona. Ściskaliśmy się, całowaliśmy: „Ach, Boże, żyjesz, ach, Boże, co się stało, jak się cieszymy...” i tak dalej. Wśród nich był także „Anoda”

– Było takie braterstwo, że ci, którzy przeżyli wojnę, stworzyli jakby rodzinną grupę – zapamiętał Bogdan Celiński^[124]. – Matka jednej z koleżanek mówiła o nas z przekąsem: „Ta twoja najbliższa rodzina”. Niezależnie od przydziału, czy pierwsza kompania, czy druga, taki pluton czy inny, wszyscy tworzyliśmy rodzinę „zośkową”. Często się spotykaliśmy, zresztą u mnie na Filtrowej.

– Podczas imienin, urodzin ograniczały nas rozmiary mieszkań –

opowiadała Anna Jakubowska „Paulinka”^[125]. – Ale na mój ślub, który się odbył pod Warszawą, w Jeziornie, gdzie był duży dom i duży ogród, przyjechało 60 osób. Parę z rodziny, a reszta to byli już „zośkowcy” ze swoimi bliskimi.

Krążyli wtedy po Warszawie, szukając wojennych skrytek. Wiele z nich umieszczono pod podłogami albo w ścianach. Ukryte były tak dobrze, że Niemcy nawet podczas rewizji rzadko je znajdowali. Teraz więc udawało się wydobyć cenne dokumenty. Odnaleziono korespondencję między dowódcą „Brody” a dowódcą batalionu, korespondencję między dowódcą batalionu a poszczególnymi dowódcami plutonów, korespondencję między dowódcami plutonów a dowódcami drużyn i tak dalej.

Kiedy Janek zobaczył te dokumenty, powiedział:

– Słuchajcie, to przecież kopalnia złota. Niestychanie cenna rzecz dla przyszłych historyków.

Tak jak w czasie wojny walczył z poświęceniem, tak po niej z oddaniem rzucił się w wir pracy.

Stworzył biuro, które przepisywało na maszynie znalezione dokumenty. W czasie wojny często notowano je na maleńkich kawałkach papieru, ołówkiem na bibułkach do papierosów. Zapiski bywały trudne do odczytania. Najlepiej w treści orientowały się łączniczki. Całą tę dokumentację, odnalezione meldunki i rozkazy, postanowiono teraz utrwalić w postaci maszynopisów. „Anoda” zrobił pieczęć – Archiwum Batalionu „Zośka” – którą przybijano na przepisanych dokumentach.

– Kiedy ktoś opowiadał o jakichś wrażeniach z powstania, zawsze słyszał od „Anody”: „A napisałeś to? To musi być dla historii napisane” – wspominał Henryk Kończykowski „Halicz”. – I tak ciągle to powtarzał, że w końcu zmusił nas, abyśmy opracowali kalendarium powstania.

Bogdan Celiński zapamiętał: – Padło hasło: „Do piór, pisać wspomnienia”! „Anoda” sporządził listy poległych.

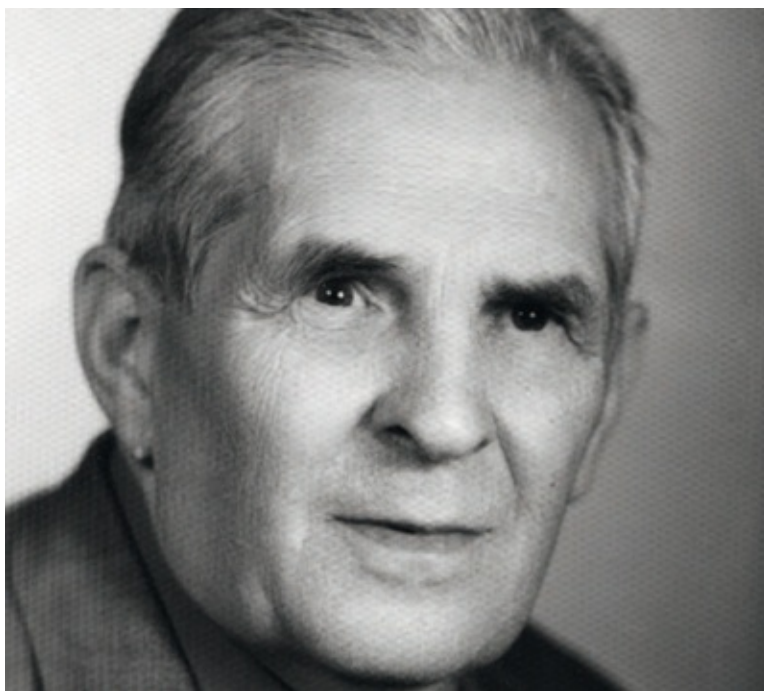
Spotykali się z Jankiem niekiedy po dwa razy w tygodniu. Notowali, co robił ich batalion. Godzina po godzinie. Wszystko ołówkiem. Bo nie było jeszcze długopisów, a trudno było o wieczne pióra. Pamiętali mnóstwo, bo od powstania minęło niewiele czasu.

Tuż po aresztowaniu Janka Ubecy przeprowadzili rewizję. Skonfiskowali część archiwów – tę, której nie zdążyli ukryć rodzice. Dziś niektóre z tych dokumentów znajdują się w Instytucie Pamięci Narodowej.

Po latach powstała wielka monografia batalionu napisana przez Annę Borkiewicz-Celińską. Wiele razy wydano też pamiętniki żołnierzy „Zośki”. Powstała książka Aleksandra Kamińskiego o batalionach „Zośka” i „Parasol”. Wszystko w wielkim stopniu dzięki relacjom, które gromadził „Anoda”.

Aleksander Kamiński w postłowie do pierwszego wydania swojej powojennej książki „Zośka i Parasol” zaznaczył, że kiedy przygotowywał tom wiosną 1946 roku, „niezastąpionym organizatorem kontaktów autora z ocalonymi ludźmi »Zośki« i »Parasola« był Anoda – Jan Rodowicz”.

Przy kolejnym wydaniu córka Aleksandra Kamińskiego wspominała: „W dodatku zdarzył się najprawdziwszy cud: odnalazło się archiwum »Anody«. Przekazywane z rąk do rąk przez rodzinę i bliskich, a po śmierci Rodowicza ukrywane, przenoszone z miejsca na miejsce, do biur i mieszkań, dotarło w pewnym momencie do rąk pani Marii Paszkowicz, bibliotekarki z Humania, zaprzyjaźnionej z moim Ojcem”^[126].



Aleksander Kamiński, w okresie okupacji niemieckiej współtwórca Szarych Szeregów, założyciel i komendant Organizacji Małego Sabotażu „Wawer”. Autor „Kamieni na szaniec”, których pierwsze konspiracyjne wydanie ukazało się w 1943 r.

Ale Janek niestety pozostawił niewiele własnych wspomnień. Jedyny większy tekst to cytowany już opis pierwszych dni powstania. I śmierci pierwszego bliskiego kolegi, „Pudła”



Kolejne ważne zadanie Janka to ekshumacje.

– To był nasz pierwszy obowiązek wobec tych, którzy odeszli – zapamiętała Anna Jakubowska „Paulinka” – Żeby oddać im hołd.

– Po powstaniu poszukiwaliśmy grobów naszych poległych kolegów – wspominał Wojciech Zygmunt Świątkowski „Korczak”^[127], podczas powstania w batalionie „Parasol” – Wtedy spotkałem Janka. On był jednym z głównych organizatorów poszukiwań i ekshumacji. Cały nasz wysiłek wtedy skupił się na tym, żebyśmy odgrzebywali z gruzów naszych poległych kolegów.



Dokumentacja powojennych ekshumacji przy kościele św. Jakuba na pl. Narutowicza w Warszawie. Ułożone szczątki wydobytych ciał z krzyżami i tabliczkami identyfikacyjnymi z pierwotnych grobów, maj 1945 r.

Henryk Kończykowski „Halicz” zapamiętał, że Janek z chłopcami brali zwykły, metalowy ręczny wózek. Przewozili odkopane ciała do wspólnej

kwatery batalionu „Zośka”, która powstała na cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, zwieńczonej charakterystycznymi brzołowymi krzyżami.

– Bez żadnych zezwoleń, bez żadnego kontrolowania – opowiadał Henryk Kończykowski. W pośpiechu, żeby ciał koleżanek i kolegów nie przeniesiono na jakieś inne cmentarze i nie pochowano jako NN. Janek prowadził kartotekę wszystkich ekshumowanych.

Zorganizowali też uroczysty pogrzeb Andrzeja Romockiego „Morro”, jednego z dowódców w batalionie „Zośka”. Zginął w połowie września 1944 roku. Jego ekshumowane ciało podkomendni nieśli z Powiśla na Powązki.



Pogrzeb Andrzeja Romockiego „Morro” z Batalionu „Zośka”. Trumnę niesie m.in. Jan Rodowicz „Anoda”.
Za trumną matka Andrzeja „Morro” Jadwiga z Niklewiczów Romocka, 31 października 1945 r.

Chociaż trudno było zapomnieć o śmierci, próbowali normalnie żyć.

– „Anoda” znał adres moich rodziców w Podkowie Leśnej, kiedyś zawsze jeździliśmy tam na lato – wspominał Henryk Kończykowski „Halicz”^[128]. – Któregoś dnia wiosną patrzę, w furteczkę wchodzi Janek. Jeszcze miał rękę na temblaku, jeszcze chodził troszeczkę kulawo. Ale był pełen zapału. Od razu dołączył do oddziału. Żyliśmy jak dobra rodzina. Spotykaliśmy się codziennie. Marzyliśmy, żeby mieć jeden wspólny dom.

26 września 1945 roku „Anoda” złożył podanie:

„Do Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki

Proszę uprzejmie o przyjęcie mnie na rok II studiów Wydział Telekomunikacyjny.

W roku bieżącym byłem studentem kursu wstępnego na rok III. Niestety choroba i komplikacje wynikłe z powodu odniesionych w Powstaniu Warsz. ran, zmusiły mnie do poddania się operacji i do przebywania w szpitalu aż do chwili obecnej. Fakt powyższy uniemożliwił mnie dalszą naukę na kursie wstępnym.

Duża przerwa w nauce i wyczerpanie fizyczne utrudnia mi znacznie szybkie przygotowanie się do egzaminów, koniecznych przy wstępowaniu na rok II, tym bardziej iż o potrzebie składania takowych dowiedziałem się dopiero w dniu dzisiejszym. Proszę więc uprzejmie o uwzględnienie mojej ciężkiej sytuacji i odroczenie egzaminów wstępnych na termin późniejszy”^[129].

Rozpoczął studia na Wydziale Elektrotechnicznym Politechniki Warszawskiej.

– Początkowo zapisał się na Wydział Elektryczny, ale mu to nie szło – zapamiętał Bogdan Celiński^[130]. – Kiedyś przyszedłem do niego, siedział nad książkami. Był zdegustowany, że to wszystko za ciężkie^[131].

Dwa lata później, kiedy podleczył ranną rękę, przeniósł się na Wydział Architektury. Zdał egzamin wstępny. Później zamierzał uzupełnić niezaliczone przedmioty z pierwszego roku.

W życiorysie sporządzonym 29 września 1947 roku napisał:

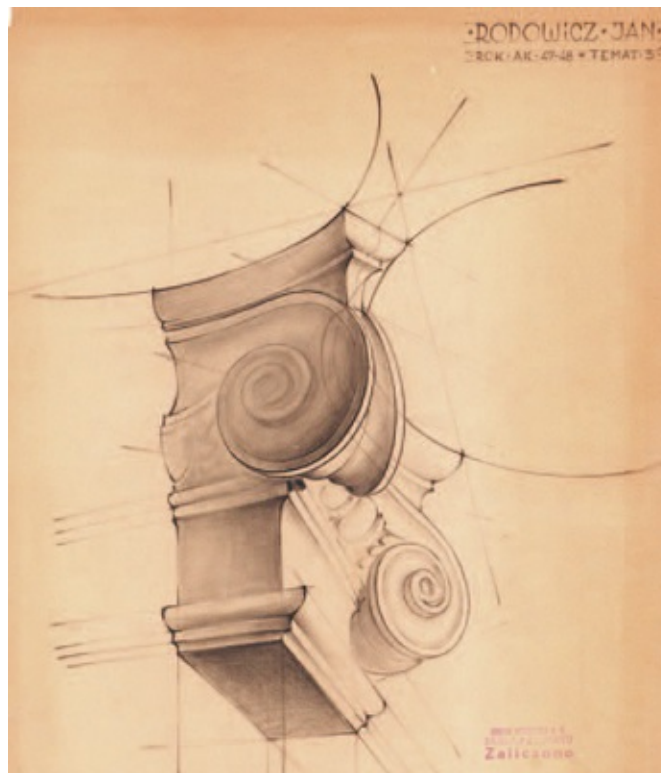
„Z powodu bezwładu ręki nie mogę poświęcić się od razu studiom w upragnionym zawodzie architekta, toteż z chwilą uruchomienia Politechniki Warszawskiej wstępuję na wydział elektryczny, gdzie kończę dwa lata studiów. W bieżącym roku akademickim zostaję przyjęty na Wydział Architektury Polit. Warsz. na skutek złożonego podania. Decyzję powyższą podjąłem wobec tego, iż po długiej kuracji i trzech operacjach stan mojej ręki tak się polepszył, iż nie stanowi on już przeszkody w obraniu kierunku studiów zgodnie z zamiłowaniem”

Kolega z uczelni Wojciech Świątkowski wspominał:

– Na architekturze jego talent do rysunku mógł się wreszcie rozwinąć. O zdolnościach mogliśmy się przekonać na pierwszych ćwiczeniach, inwentaryzacji drewnianego kościoła w Gawłuszowicach nad Wisłoką, niedaleko Mielca. Rysowanie rzutów, przekrojów czy widoków kościoła nie

sprawiło Jankowi żadnych trudności. Rysował szczegółowo i dokładnie. Z własnej inicjatywy szkicował detale architektoniczne tej drewnianej świątyni, widoki perspektywiczne.





Rysunki Jana Rodowicza.

– Mama Janka opowiadała mi – mówiła Danuta Winiarska „Słoninka” – że kiedyś Janek dostał na studiach pięć z plusem za jakąś pracę plastyczną. To było zupełnie niecodzienne. Rzadko kto dostaje taką ocenę na studiach. Ale Janek rysował wspaniale.

Jan Suzin, kolega ze studiów, zapamiętał: – Do legendy przeszła słynna klamka zaprojektowana przez niego na tak zwanej klauzurze. Znakomite perspektywy i wielobarwne przekroje ukazywały bardzo zgrabny i pomysłowy mechanizm, działający nie na zasadzie obrotu, tylko pchnięcia lub pociągnięcia. Dopasowane były wszystkie zapadki i trybiki. Wszyscy cmokaliśmy nad tą klamką. Nie tylko my zresztą, dziwowali się również profesorowie. Byłby dziś na pewno znakomitym architektem o światowej sławie.



Już w 1947 roku, ledwie po dwóch miesiącach na wydziale, urządził „fukówkę”. Studenci architektury przyjmowali pierwszoroczników. Jeszcze huczniejszą zorganizował w 1948 roku.

Największą salę na wydziale, mieszczącą kilkaset osób, wypełnił tłum studentów. Przyszli asystenci i wykładowcy. Na drabinie Janek przymocował chmury. Ze sceny, którą zbudował ze stołów, obwieścił:

– Jak „fuks” zda dobrze egzamin, to z tych chmur wyłoni się goła noga.

Owa kończyzna należała do Wojciecha Szymanowskiego „Synona”, który siedział wysoko na drabinie.

– Jaka jest różnica między ćwiczeniami ze statyki a ćwiczeniami z rysunku odręcznego? – zapytał „Anoda” pierwszego egzaminowanego.

„Fuks” nie miał pojęcia.

– Rysunek odręczny robi się przez szybę – tłumaczył „Anoda” – Pożycza się od kolegi, przyczepia na szybie, kładzie się swój papier i przerysowuje. Ćwiczenia ze statyki są obliczeniowe, graficzne. Bierzesz od kolegi, podkładasz kalkę techniczną...



Jan Rodowicz podczas wyjazdu „zośkowców” do Zakopanego, przełom 1945 i 1946 r.

Potem Janek opowiedział dowcip: – Ulicą Koszykową przed Wydziałem Architektury idzie dwóch studentów młodszych lat. Nagle jeden z nich patrzy, po drugiej stronie kroczy profesor Lech Niemojewski – profesor

Katedry Historii Architektury Powszechnej. Jeden więc mówi: „Patrz, idzie Mojewski”. A drugi poprawia: „Niemojewski”. Pierwszy więc pyta: „A kto?”

Henryk Kończykowski „Halicz” studiował na Politechnice Warszawskiej razem z „Anodą”. Codziennie spotykali się na wykładach. Razem zdawali egzaminy. Przed jednym z nich „Halicz” zaproponował „Anodzie”: – Ty jesteś moim dowódcą, daj podwładnemu dobry przykład, idź pierwszy.

Na co Janek: – Dobry dowódca najpierw posyła patrol rozpoznawczy.

Danuta Winiarska „Słoninka” zapamiętała, że mówiono o nim żartobliwie: „Jasio wariat”. Bo „Anodę” znów roznosiła energia. Był dowcipny. Radosny.

Kiedyś jadąc tramwajem zobaczył na ulicy Marszałkowskiej Juliusza Bogdana Deczkowskiego „Laudańskiego”. Wyskoczył z niego tylko po to, żeby opowiedzieć mu kawał. I popędził dalej.

„Janek tryskał życiem – opowiadał Jan Suzin. – Z głową pełną pomysłów zawsze był pierwszy do pracy, do pomocy, a także do żartów i studenckich figli. I cieszył się życiem. Snuł rozległe plany, chciał skończyć jak najprędzej studia i budować, rysować i projektować”^[132].

W kwietniu 1948 roku pisał o sobie w liście:

„A u mnie: ja, cóż ja? Po prostu starszy obywatel. Pędzę spokojny żywot studenta na wydaniu. Uczę się zapamiętane, na domiar złego, ponieważ jestem w wielkiej »żałobie po pieniądzach«, a stypendium nie wystarcza, muszę więcej pracować zarobkowo. Nie bardzo mi to idzie, bo jak zawsze na wiosnę odzywają się moje stare grzechy – rany płuc. Ale, cóż, grunt że jeszcze czuję się bardzo młodo i nie jestem całkiem łysy”^[133].

– Był zakochany w motocyklach – wspomina Henryk Kończykowski „Halicz”. – Kupił sobie jeden. To były stare niemieckie graty, zużyte podczas wojny. Żadne warsztaty jeszcze nie działały, trzeba było je w domowy sposób reperować. Jankowi mało było jazdy, chciał sięgnąć wyżej. Ogłoszono pierwsze po wojnie uliczne wyścigi. Aleją Niepodległości, Rakowiecką, placem Unii Lubelskiej, później Polną i 6 Sierpnia znowu do Niepodległości. Kilkanaście okrążeń. Odradzałem „Anodzie” start. On miał przecież jeszcze powstawiane metalowe kawałki zamiast kości w rękach. Rany w płucach. Powiedziałem mu: „Człowieku, przecież czy się wywalisz, czy coś, to tragedia może być”. Dostał numer. Wystartował.

Okazało się, że Janek wytrzymał. Ale motocykl nie dał rady. Rozsypał się podczas wyścigu. Innym razem jednak wywalczył trzecie miejsce.

– Nie wiem, skąd Janek miał – od kogoś chyba pożyczył – harleya. W lutym we dwóch pojechaliśmy do Czarniawy – zapamiętał Stanisław Krupa „Nita” z batalionu „Zośka”. – To był ośrodek wypoczynkowy dla studentek. Zmarzliśmy jak psy, ledwo nas dogrzały te dziewczyny.

Bogdan Celiński opowiadał: – Janek był bardzo koleżeński, taki czuły do pomagania innym. Pamiętam, że mieszkał z rodzicami na ulicy Lwowskiej 7. Przychodzę do niego: „Co robisz?” „Lampę dla Wojtka”. Potem, jak Wojtek Szymanowski „Synon”, też z architektury, nie miał gdzie mieszkać, wziął go do siebie.

Wciąż trzymały się go żarty.

– Pisał kartkę do mnie: „Pozdrów ferajnę” – opowiadał Bogdan Celiński^[134]. – A na dole: „Gacie macie?”

– A szalał! – wspomina Danuta Winiarska „Słoninka”^[135]. – Na Boże Narodzenie przyszła do nas cała paka chłopców i dziewcząt. Nagle Jasio gdzieś zniknął. Po pewnym czasie się pojawia w szlafroku mojej mamy, z założonym lisem. Niby tańczy z kobietą. Poza świetna. Równocześnie się dławi, jakby tańcząca osoba miała jakieś piórko w kapeluszu i go łaskotało. Taki był z niego wspaniały mim, że boki ze śmiechu zrywaliśmy. Nożyki do owoców stały na bufecie, Jasio je wyciągnął. Bawił się, że jest jakimś kowbojem, i rzucał nimi. Aż się złamały. Kiedyś byliśmy zaproszeni do „Fijoła”, to był Świętosław Stanisław Nowakowski. Bardzo przyjemny dom, śliczne stylowe meble. Mama przygotowała wspaniałe przyjęcie. Nie wiem, co Jasia podkusiło, wszedł na stylową szafkę. Mama wchodzi z kawą, a tu trzask. Zapada się wierzch i Jasio wpada do środka. Zupełnie nas zatkało. Mama spojrzała, ale nic nie powiedziała. Wyciągnęliśmy Jasia.

„Anoda”, chociaż studiował na innej uczelni, zapisał się do zorganizowanego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego klubiku studentów pod nazwą „Keep Smiling”. Zbierali się w nim młodzi ludzie, którzy chcieli zapomnieć o przeszłości. Odreagowywali złe wspomnienia, starając się za wszelką cenę uśmiechać. Wymyślali śmieszne zadania, które ktoś musiał wykonać.

Potem w akcie oskarżenia przeciwko jednemu z członków „Keep Smiling” napisano, że jego działalność była wymierzona przeciwko ustrojowi państwa.



Od prawej: Stanisław Krupa, Zygmunt Kujawski, Jan Rodowicz – byli żołnierze batalionu „Zośka” i Edward Żbikowski – były żołnierz batalionu „Czata 49”, Ustronie Morskie, 1948 r.

„Anoda” układał żartobliwe wierszyki o kolegach^[136].

O „Świście”:

„Smoczek ten dla Świsteczka,
Gdy go włoży w swe usteczka
I w kołysce się ułoży
Niemowlęciem zostać może.
A jeśli też zakwili
Noworodek moi mili!”

O „Medyku”:

„Medykowi oczywista
Niechaj służy z łyżką miska
Niech się dobrze przy niej krząta

Zdrowsze będą Medycząta”

O „Orkanie”:

„Pięknym sportem są wszak narty,
Ale padać to nie żarty!
Można przecież zostać trupem,
Lub co najmniej pobić d...
Lecz ten oto opatrunek
W mig rozwieje twój frasunek”

O Edwardzie Żbikowskim:

„Tu mam rączkę prawą
Więc Edziowi dam.
Małą ale klawą,
Bo ma z swoją kram.
Można nią się drapać
Tam gdzie tylko chcesz
Mrówki, pluskwy łapać
I całować też”

O „Wiktorze”:

„Inni o ducha, ty zaś dbasz o trupy.
Chciałbyś je wszystkie pozbierać do kupy.
Zakupiłem łopatę ja w niebieskim sklepie.
Sama zakopie, zasypie, przyklepie.
Ale na świecie, wszystko się zdarza.
Może zakopie ona i grabarza!”

– Pracowałem w firmie handlu zagranicznego DAL – opowiadał Stanisław Krupa „Nita”^[137]. – Mieściła się na Nowym Świecie. Któregoś dnia wpada Janek. Mówię: – Zdejmij płaszcz, to sekretarka zrobi ci kawę.

– Nie, nie, nie mam czasu. Przyszedłem ci nowy dowcip opowiedzieć.

Może ten: „Gdyby Polskę znowu napadli Niemcy i Sowieci, to kogo byśmy bili? Najpierw Niemców, potem Sowieców. Najpierw obowiązek,

potem przyjemność”

Albo: „Jak się nazywa kołchoz po polsku? Chłopowiażka”

Albo jeszcze inny: „Gdy pewien komunista został ministrem, jego matka stwierdziła: »Gdybym wiedziała, że mam takiego zdolnego syna, to bym mu pozwoliła przynajmniej skończyć jedną klasę«”

– Opowiedział i poleciał – zapamiętał Stanisław Krupa. – Janek układał – czasami pomagałem mu w tym – fraszki. Przytoczę przyzwoitsze, bo były i nieprzyzwoite. Zacznę od takiej intelektualnej: „Szedł rak za rakiem, szły raki pochodem, a jeden rak pokraka szedł przodem. Co – rak rakiem iść nie raczy? Rozległy się tupania i świsty – ciężkie z nas indywidualisty”. Inna: „Pewien kret kretyn roznosił kreci biuletyn, do każdej jamy kreciej po jednym bilecie, a że to był kret kretyn, to i do budy psa jamnika wcisnął jeden biuletyn”

– To był okres, kiedy po okupacji, latach wyrzeczeń poczuliśmy się swobodnie i korzystaliśmy z życia – dodawał Stanisław Krupa. – Janek nigdy dużo nie pił, raczej umiarkowanie. Opowiadał brzydkie dowcipy. Ale w jego ustach najbardziej brzydki dowcip nie wypadł wulgarnie.

Uwielbiał słodycze^[138]. Kiedy ktoś nimi częstował, zaczynał opowiadać obrzydliwe kawały. Takie, że innym robiło się niedobrze i odsuwali się od słodkości. Wówczas Janek wszystko zabierał i sam zżerał.

– Najmniej wspomnień dotyczy jego kontaktów z płcią piękną, chociaż miał ogromne powodzenie – opowiadała Anna Jakubowska. – Był jednak bardzo dyskretny w środowisku „zośkowców”. Wiedzieliśmy, że chociaż wiele dziewcząt się w nim kochało, to on lokował swoje uczucia poza naszym gronem.

– Z Jankiem jeszcze łączyło mnie to, że poznałem go z Alą Arenówną – wspominał Stanisław Krupa. – To była wielka miłość. Ponieważ mama Janka to była starszej daty pani, Janek spotykał się z Alą często właśnie u mnie. Miałem ładną kawalerkę w dobrym punkcie. Czasami Janek brał klucze.



Bardzo chciałem spotkać narzeczoną „Anody”. Gdy znalazłem jej numer

telefonu i zadzwoniłem, odebrał mężczyzna. Trochę się zmieszałem. Jak tu zapytać o dziewczynę – dziś już kobietę w kwiecie wieku – która była narzeczoną „Anody”?

Ale mężczyzna – jak się okazało, mąż Alicji Arens – o wszystkim wiedział. Udało mi się więc spotkać z jedyną, powojenną narzeczoną „Anody”.

Mówiła o nim, jakby rozstali się zaledwie wczoraj. Chociaż zastrzegła:

– Trudno mi dziś opowiadać o miłości dwudziestolatki. A to była moja i jego pierwsza prawdziwa miłość. I to od pierwszego wejrzenia. W 1945 roku, już po wojnie, przyjechał na imieniny do mojej kuzynki. I już cały wieczór tańczyliśmy tylko ze sobą. Pięknie tańczył.

Wcześniej ślubował, że dopóki trwa okupacja, nie zatańczy.

– Pracowałam na poczcie w Skolimowie, zaczynałam o szóstej rano – wspominała Alicja Arens. – Po imieninach pierwszy na pocztę przyszedł Janek. Pamiętam, jak przez ogródek idzie do poczty z ogromnym naręczem groszków.

– Nie chodzę specjalnie na jego grób – dodała. – Tylko kiedy gdzieś zobaczę groszek.

ROZDZIAŁ XI

Był i ode mnie wyszedł

Były akowiec, który doskonale zapamiętał szczegóły śmierci „Anody”, to Bronisław Kleina. Był prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała Janka żywego. Bo po wojnie tak się potoczyły losy Kleiny, że z akowca zmienił się w ubeka.

W śledztwie dotyczącym Janka uczestniczył także szef Kleiny Wiktor Herer i dwaj inni ubecy: Roman Masny i Bolesław Cykała.

Roman Masny pochodził z Miedzechowa w powiecie Grójec^[139]. Urodził się w 1923 roku. W czasie wojny, podobnie jak Kleina, również konspirował. Ale nie w Armii Krajowej, lecz w lewicowej partyzantce. W przeciwieństwie do Kleiny jego służba w UB (w styczniu 1945 roku trafił do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Grójcu) wydaje się naturalnym elementem życiorysu.

Odszedł ze służby w 1963 roku. Pięć lat później ukończył studia na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. To uczelnia kształcąca kadry komunistycznej partii. W 1972 roku zaczął uczęszczać tam na seminarium doktoranckie.

W maju 1976 roku przyjęto go do pracy na pół etatu w Akademii Spraw Wewnętrznych. Objął stanowisko wykładowcy Instytutu Kryminalistyki i Kryminologii.

Rok później poprosił o ponowne przyjęcie do milicji. Ale według departamentu kadr jego podanie należało załatwić odmownie. Roman Masny miał już 54 lata, a z Milicji Obywatelskiej zwolniono go wcześniej ze względu na trwałą niezdolność do służby.

Nigdy nie zapytałem Masnego o „Anodę”. Kiedy zacząłem zbierać

materiały dotyczące UB z Grójca – miasta, w którym się urodziłem – już nie żył.



Kolejny ubek to Bolesław Cykała. W czasie wojny trafił do obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald^[140]. W tym drugim wstąpił do konspiracyjnej Polskiej Partii Robotniczej. Jego powojenne losy też wydają się przemyślaną drogą życiową. W listopadzie 1945 roku przyjęto go do pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Na stopień kapitana awansował w lipcu 1951 roku.

Walka z Kościołem to musiał być konik Bolesława Cykały. Wśród nielicznych dokumentów, jakie zachowały się z jego służby, znajduje się referat „Walka z wrogą działalnością kleru w obecnym etapie”^[141]. Pochodzi z sierpnia 1958 roku. Major Cykała napisał w nim:

„Partia nasza nie może jednak zamykać oczu na rzeczywistość. Nie może w swej polityce stosować presji administracyjnej wobec wierzących, nie uwzględniać faktu, że dawny spór z Kościołem przeciwstawiał milionowe masy wierzących władzy ludowej, utrudniał ich udział w naszym budownictwie, odpychał ich od socjalizmu. Należało ten stan zmienić”

Analizował: „Przypatrzmy się jednak, dla kogo jest przeznaczona pomoc materialna kleru. Referat duszpasterstwa dobroczynnego przy Kurii Metropolitarnej w Warszawie interesuje się przede wszystkim b. więźniami politycznymi. W tym celu utrzymuje on kontakt z b. przywódcami reakcyjnego podziemia (jak np. Niepokulczycki [pisownia oryginalna, w rzeczywistości Franciszek Niepokólczycki – P.L.], »Radosław« i inni), którzy kierują do referatu duszpasterstwa dobroczynnego swoich ludzi, potrzebujących pomocy. W podobnym celu utrzymuje się kontakt z tzw. »Komitetem Pań« skupiającym kobiety ze zubożałej arystokracji. Pomocy takiej udziela się przy tym nie tylko osobom już wyszłym z więzienia za przestępczą działalność polityczną oraz ich rodzinom. Tak więc za pieniądze i paczki nadsyłane z USA organizuje się działalność charytatywną, która m.in. polega na niesieniu pomocy przestępcom politycznym osadzonym w więzieniu. Z pieniędzy tych opłaca się

adwokatów broniących tych ludzi, za pieniądze te przekupuje się dozorców więziennych przy przesyłaniu grypsów i za pieniądze te usiłuje się organizować procesy rehabilitacyjne skazanych przestępców”.



Franciszek Niepokólczycki „Teodor” – żołnierz Armii Krajowej i powojennego podziemia antykomunistycznego, prezes WiN, więzień polityczny w okresie stalinowskim, kawaler Orderu Orła Białego.

Tropił: „Kościół w Polsce stara się zachować pozory, że nie walczy z ustrojem a jedynie chodzi mu o pozyskanie ludzi, utrzymanie ich w moralności katolickiej i zdobycie trwałych pozycji dla Kościoła.

W konsekwencji jednak walczy i głosi się o zwycięstwie Kościoła nad komunizmem. To hasło Kościoła skupia wokół niego wszystkie najbardziej reakcyjne i wrogie Władzy Ludowej elementy. Obserwujemy zjawisko skupiania się wokół kleru środowisk i działaczy rozbitego podziemia reakcyjnego: b. działaczy WiN-u, działaczy WRN-owskich, SN-owskich, PSL-owskich itp. Obserwujemy ich aktywne poparcie dla wszystkich posunięć kleru, wymierzonych w istotę naszego ustroju”.

Jego ostatnie miejsce pracy w „organach” to stanowisko zastępcy komendanta do spraw politycznych Wydziału Wyższej Szkoły Oficerskiej MSW w Legionowie. Zwolniono go 15 września 1976 roku.

Bolesława Cykały – podobnie jak Romana Masnego – również nigdy nie spotkałem. W sprawie śmierci „Anody” nigdy nie przesłuchała go prokuratura. Zmarł, zanim ktokolwiek mógł zapytać go o Janka.

Ale Bronisław Kleina nadal żył.



Łączył ich wiek: Bronisław Kleina i „Anoda” urodzili się w 1923 roku. Obaj też służyli w Armii Krajowej.

Ale to koniec zbieżności. „Anoda” mieszkał w stolicy, chodził do liceum. Kleina uczył się na prowincji w zawodówce.

Od dzieciństwa musiał mieć problem, który ciągnął się przez całe życie – nazwisko. Brzmiało dziwnie, obco, dlatego w dokumentach zapisywano je na rozmaite sposoby: Klejna, Klaine.

W życiorysie, który znajduje się w jego aktach personalnych pracownika MBP, Kleina pisał^[142]:

„Urodziłem się 16 VI 1923 roku w Grudziądzu jako syn rzemieślnika.

7 kl. szkołę powszechną ukończyłem w Grudziądzu. Po ukończeniu szkoły zdawałem do szkoły budowy maszyn. Egzamin zdałem lecz do szkoły nie uczęszczałem ponieważ ojciec został przesiedlony z Firmy »Unia« Grudziądz do Firmy »Unia« w Kunowie Mieście. Tu też w dalszym ciągu się doksztalałem i w następnym roku zdałem egzamin do Rzemieślniczej Szkoły w Ostrowcu, lecz i tu nie uczęszczałem z powodu wybuchu wojny.

W listopadzie 1939 r. zgłosiłem się jako uczeń ślusarski w fabryce narzędzi rolniczych w Kunowie Mieście. Przy tej fabryce była szkoła rzemieślnicza, którą ukończyłem. W roku 1942 mam powołanie do Junaków, dlatego też przeniosłem się do warsztatów kolejowych aby być reklamowanym”. Śpiewał w kościelnym chórze. „Chciałbym nadmienić, że matka moja była i jest wierząca i praktykująca katoliczka, pod której wówczas byłem wpływem” – napisał, jakby się tłumacząc.

Wstąpił do Armii Krajowej w 1943 roku. „O ile pamiętam, składałem

przysięgę na krzyż (krucyfiks) – opisywał. – Treści przysięgi nie pamiętam, w każdym bądź razie było coś związane z wiernością dla »rządu londyńskiego«. Jego oddział działał w Kunowie w województwie kieleckim, obwód Opatów AK. Dowodził nim ppor. Wacław Wanat „Gorliwy”. Jego oddział w listopadzie 1944 roku podporządkował się Armii Ludowej. Kleina nosił pseudonim „Brzoza”

„W czerwcu [1944 roku – P.L.] wstępuję w szeregi K.B. [Korpus Bezpieczeństwa – wojskowa organizacja konspiracyjna, początkowo podlegała Armii Krajowej, potem podporządkowała się Krajowej Radzie Narodowej i Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego – P.L.]. Tam też w drobnych potyczkach i w większej bitwie pod [nieczytelne – P.L.] hartuję się na żołnierza, by w przyszłości być dobrym żołnierzem odrodzonego Wojska Polskiego” – napisał Kleina.

Pierwszy krok w stronę UB wykonał w lutym 1945 roku. Pewnie jeszcze nieświadomie. Dowódca polecił mu, aby zgłosił się do Rejonowej Komendy Uzuppełnień w Ostrowcu Świętokrzyskim. Stamtąd skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty Korpusu Bezpieczeństwa Wojsk Wewnętrznych w Andrzejowie koło Łodzi. To zapewne był już krok drugi. Po zakończeniu wojny trafił do Oficerskiej Szkoły Intendentury w Lublinie. Uczył się prostych rzeczy: jak zaopatrzyć wojsko w jedzenie, jak zorganizować kwatery. Ukończył ją w październiku 1945 roku w stopniu chorążego.

Trzeci krok poprowadził go na drogę, z której nie było już odwrotu. Rozkazem Sztabu Generalnego KBW w Warszawie przydzielono go do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Najpierw miał – zgodnie z wykształceniem – przejąć ministerialne centralne magazyny żywnościowe w Ursusie.

Zmieniono jednak decyzję. Wysłano go do jednostki operacyjnej w Departamencie V MBP. Mianowano młodszym referentem sekcji I w Wydziale IV, którym kierował Wiktor Herer. Ten sam Herer, który kazał aresztować „Anodę” i prowadził przeciwko niemu śledztwo.

Praca w magazynach to coś zupełnie innego niż praca operacyjna. Ale przecież życiem Kleiny rządził już rozkaz, a nie jego własne wybory. Było

zapewne zbyt późno, by wycofać się z tej drogi.

23 listopada 1946 roku złożył ubeckie przyrzeczenie:

„Pomny dobra Rzeczypospolitej Polskiej ślubuję, że na powierzonym mi stanowisku urzędowym przyczyniać się będę w mym zakresie działania ze wszystkich sił do ugruntowania wolności, niepodległości i potęgi demokratycznego państwa polskiego, któremu wiernie służyć będę.

Ślubuję stać na straży konstytucji z dnia 17 marca 1921 r. oraz praw stanowionych przez Krajową Radę Narodową jako naczelną władzę ustawodawczą odrodzonego Państwa Polskiego.

Ślubuję obowiązki urzędu mego spełniać gorliwie i sumiennie, polecenia mych przełożonych wykonywać dokładnie, tajemnicy urzędowej przestrzegać, a w postępowaniu swoim kierować się zasadami honoru, uczciwości i równości społecznej”.

Kleina uczył się rozpracowywania studentów. Od działaczy młodzieżowych i własnych informatorów zbierał dane o nastrojach. Tropił nielegalne organizacje.

Gdy partia uznała, że zbyt mało wie o studentach, polecono, aby każdy podczas przyjmowania na uczelnię wypełniał dodatkową ankietę personalną. Ta trafiała do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wprost do Bronisława Kleiny. Przedwojennego spawacza.

Kleina prowadził więc kartotekę wszystkich polskich studentów. Dostawał od Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego opinie o tych, którzy wyjeżdżali studiować za granicą. Gromadził też dokumenty dotyczące wszystkich organizacji katolickich działających w Polsce. Jego wiedza o studentach i Kościele była ogromna.

W ankietach nie wspominał, że jego ojciec Antoni był volksdeutschem^[143].

Szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Ostrowcu w sierpniu 1953 roku donosił o Antonim, ojcu Bronisława Kleiny (pisownia oryginalna): „Gdy wybuchła wojna polsko-niemiecka i wojska hitlerowskie wkroczyły na nasze tereny to Klajne Antoni wraz z całą rodziną wyszedł witać wojska hitlerowskie z kwiatami i mówił do nich po niemiecku. Po wkroczeniu Niemców zaraz wstąpił do milicji niemieckiej, która to trzymała straż porządkową, po paru tygodniach zwolnił z tej milicji

i z powrotem zaczął pracować w fabryce narzędzi rolniczych w Kunowie jako główny majster, w czasie jego pracy na tym zakładzie odnosił się do ludności polskiej arogancko i zapowiadał, że jak kto nie przyjdzie do pracy, to go odda do gestapo, w czasie okupacji to nawet zmienił swój charakter mowy udając, że mało rozumie po polsku”.

Z dalszej dokumentacji (MBP przeprowadziło w tej sprawie wewnętrzne śledztwo) wynika, że raport wyolbrzymiał zachowanie ojca Kleiny. Po jakimś czasie Niemcy skreślili go z volkslisty. Ale wśród ludzi wciąż żywe były wspomnienia, że podczas okupacji był volksdeutschem i zbudował sobie dom.

Po wojnie ojciec Kleiny wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, po zjednoczeniu należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Już po śmierci „Anody”, w listopadzie 1949 roku, bezpośredni szef Bronisława Kleiny Wiktor Herer wystawił mu opinię: „Pracowity, b. zdyscyplinowany, posiada wybitnie rozwinięte poczucie odpowiedzialności, umie zachować tajemnice służbowe, wywiązuje się b. dobrze z nałożonych nań zadań”.

Kierująca całym Departamentem V Julia Brystigier oceniała Kleinę w 1950 roku: „Pracę operacyjną opanował dość dobrze, z agenturą pracuje dobrze. Wykazuje dużo inicjatywy i samodzielności w pracy. Posiada duże poczucie odpowiedzialności. W pracy wykazuje dużo zapału i poświęcenia”.

Pięć lat później – 17 stycznia 1955 roku – jednak napisała: „Poziom intelektualny średni. Nie uczy się i nie widać u niego chęci do nauki. Z uwagi na zwiększone wymagania w stosunku do organów B.P. uważam, iż kpt. Kleina winien być wykorzystany w pracy mniej politycznie skomplikowanej, poza aparatem B.P.” 31 stycznia 1955 roku zwolniono go z pracy w „bezpieczeństwie”.

Potem Kleina przez 30 lat, aż do emerytury, pracował jako naczelnik ochrony w Pałacu Kultury i Nauki. Czy po latach patrzy na swoją ubecką młodość z dystansem? Czy nadal jest zagorzałym komunistą, który po 1989 roku czuje się w Polsce jak w obcym kraju?

Ale dla mnie najważniejsze było to, co mógłby powiedzieć o śmierci „Anody”. Bo to właśnie on konwojował Janka w chwili, kiedy rzekomo

wyskoczył przez okno.



Próbowałem rozmawiać z wieloma ubekami. Od tego zaczęła się niemal ćwierć wieku temu moja przygoda z reportażem historycznym. Pierwszy poważny tekst powstał po moich spotkaniach z Adamem Humerem, wicedyrektorem Departamentu Śledczego, zastępcą Józefa Różańskiego. Kilka razy chodziłem do niego do więzienia. Po 1989 roku oskarżono go o torturowanie więźniów w okresie stalinowskim. Akt oskarżenia sporządził prokurator Stefan Szustakiewicz – ten sam, który zajmował się sprawą śmierci „Anody”

Współpracownicy Humera odpowiadali z wolnej stopy. Chodziłem więc do ich mieszkań i próbowałem namówić na zwierzenia. Opisałem to wszystko w książce „Humer i inni”

W pewnym momencie dostrzegłem, że pomiędzy reporterem a byłymi ubekami wyrosła nowa fizyczna bariera. W Polsce pojawiły się domofony.

Z coraz większym trudem udawało się dotrzeć pod drzwi mieszkania. Czasami pomagało naciskanie wszystkich guzików naraz z nadzieją, że któryś zniecierpliwiony lokator otworzy wejście na klatkę.

Stanięcie twarzą w twarz z ubekiem było bardzo ważne. Opisanie tego, jak dziś wygląda. Jak reaguje na pytanie, czy zgodzi się rozmawiać o tamtych czasach.

Czasami efekt bywał komiczny. Jak w przypadku prokurator Wiesławy Bardonowej, która kiedyś oskarżała wielu działaczy podziemia. Gdy zadzwoniłem do jej drzwi, otworzyła w wałkach na głowie.

Innym razem dotarłem pod mieszkanie Wiktora Leszkowicza, jednego z wicedyrektorów Departamentu Śledczego, równego rangą Adamowi Humerowi.

Żył samotnie na Mokotowie. Nie pokazał mi swojej twarzy. Rozmawialiśmy przez uchylone drzwi, które zabezpieczał łańcuch. Mówił o sobie w trzeciej osobie, jak o kimś obcym.

– Szukam pana Leszkowicza – powiedziałem.

– Nie ma go tu – usłyszałem zza drzwi.

- Ale mieszka pod tym numerem?
- Nie ma go.
- Kiedy będzie?
- Po co pan tu przyszedł?
- Bo chcę o nim napisać reportaż.
- On do żadnych reportaży mówić nie będzie, bo się sprawa rozdmucha.
- Skąd pan wie, że nie będzie mówić?
- On na pewno nie będzie udzielał żadnych informacji.
- Kiedy go można zastać?
- Nie wiem. Niech pan nie próbuje nawet, bo on nie będzie rozmawiał. Nie ma najmniejszego sensu. Nie będzie udzielał żadnych informacji na ten temat i proszę więcej nie przychodzić – zakończył.

Wiktor Leszkowicz zamknął drzwi. Z mieszkania dobiegała transmisja pielgrzymki papieża Jana Pawła II.



W tamtych czasach adresy jeszcze można było poznać z akt prokuratorskich. Albo ze starych książek telefonicznych. Ubecy nie kryli swojej tożsamości. Ich ofiary uważały nawet, że demonstracyjnie obnoszą się ze swoimi personaliami. Jakby niczego się nie wstydzieli.

Bez większego więc trudu odkryłem, gdzie mieszka Bronisława Kleina.

Czy zechce rozmawiać? Stoję przed jego drzwiami pełen niepokoju.

Oczekiwanie przedłuża się. Wreszcie wychyla się niewysoki mężczyzna w samych slipkach i skarpetkach.

- Po co o tym dzisiaj rozmawiać? – pyta, ale jednak na chwilę pozwala mi wejść do przedpokoju.

Ma 74 lata. Kiedy zaczynał pracę w „bezpieczeństwie”, miał 22 lata. Jak wielu innych ubeków tłumaczył mi:

- Do UB trafiłem przez przypadek. Ojciec był robotnikiem w Centralnym Okręgu Przemysłowym, w fabryce narzędzi rolniczych. W czasie wojny należałem do Armii Krajowej. Potem ujawniłem się, trafiłem do oficerskiej szkoły intendentury. Ze szkoły skierowano mnie do magazynów Ministerstwa Bezpieczeństwa. Ale tam powiedzieli, że na magazyny jestem

za młody. Wysłali mnie do pracy operacyjnej.

I tyle. Niektórzy ludzie potrafią kilkadziesiąt lat życia streścić w kilku zdaniach. Albo inaczej: nie potrafią o całym życiu nic więcej powiedzieć.

– Nikogo nie przesłuchiwałem – zapewniał mnie Bronisław Kleina. – Prowadziłem kartotekę studentów. W 1947–1948 roku mieliśmy trudny dostęp do akt na uczelniach. Ministerstwo Oświaty zarządziło, by studenci pisali dodatkową ankietę. Trafiła najpierw do Ministerstwa Oświaty, a stamtąd do nas. Było tego około 30 tysięcy ankiet. Przez dwa lata układałem je alfabetycznie. Ale wnukom bym radził, żeby nie wstępowały do takich organów. Bo jak człowiek jest potrzebny, to dobrze, ale jak Murzyn zrobił swoje, to może odejść.

– Dlaczego wysyłał pan Andrzeja Sołdrowskiego do karceru? – zapytałem.

Andrzej Sołdrowski był działaczem Akademickiej Sodalicii Mariańskiej, młodzieżowej organizacji istniejącej od czasów przedwojennych, prowadzącej działalność religijną, wychowawczą, charytatywną. Aresztowano go w grudniu 1950 roku, gdy władze likwidowały Sodalicję. Przesłuchiwano przeważnie w nocy. Gdy prosiłem go o rozmowę, nie chciał wracać do tamtych czasów. Ale w prokuraturze zeznał, że Bronisław Kleina zmuszał go „do wykonywania niezliczonej ilości przysiadów i umieszczał w karcerze”.

– Nigdy go nie przesłuchiwałem – zapewnił mnie ponownie Kleina. – Protokoły ktoś musiał sfałszować. Po co? Sam tego nie wiem. To dla mnie też zagadka.

Na moje pytanie o „Anodę” odpowiedział: – Nie chcę o tym rozmawiać. Nie miałem z tym nic wspólnego. Z tym tylko, że był i ode mnie wyszedł – dodał.

Wypowiedział z naciskiem te dość enigmatyczne słowa. Wiele razy odsłuchiwałem z magnetofonu to krótkie nagranie, próbując zrozumieć coś więcej. Ale za każdym razem słyszałem tylko to niejasne: „Był i ode mnie wyszedł”



Bronisław Kleina w 1995 roku był przesłuchiwany przez prokuratora

Stefana Szustakiewicza. Zeznał wówczas, że nie wie, na czyje polecenie i kiedy zatrzymano Janka. Oraz że nie wiedział, jaką „Anoda” prowadził działalność. W jego wydziale mówiono, że aresztowano członków „Parasola” i „Zośki”. Jednak nie znał nazwisk zatrzymanych i nie prowadził żadnej sprawy dotyczącej nielegalnych organizacji. Zapewniał, że Janka nigdy nie przesłuchiwał. Potem jednak stwierdził, że odpytywał go jeden raz.

Opowiadał, że wcześniej z polecenia naczelnika Wiktora Herera pojechał na rewizję do domu „Anody” wraz z Bolesławem Cykałą i Romanem Masnym. Był też świadkiem odkopywania broni ukrytej przez „zośkowców” w Pruszkowie, w Powsinie oraz na ulicy Żelaznej i w Alejach Jerozolimskich.

– Jan Rodowicz był osadzony w areszcie ministerstwa na Koszykowej, w piwnicach – opowiadał prokuratorowi Bronisław Kleina. – Z aresztu na przesłuchania doprowadzali strażnicy. Ja nigdy nie dawałem poleceń konwojowania aresztowanych, gdyż jak wcześniej zeznałem, nie prowadziłem postępowań przygotowawczych.

W styczniu 1949 roku ktoś z wydziału przyprowadził do jego pokoju Janka. Kleinie polecono przesłuchać „Anodę” na temat nielegalnej działalności. To miał być więc wyjątkowy dzień w karierze Kleiny, który – jak zapewniał – zwykle miał do czynienia z kartotekami, a nie z ludźmi. I tylko tego jednego dnia w swojej karierze kogoś przesłuchiwał. Zdumiewający zbieg okoliczności – jedyne w życiu przesłuchanie i od razu zakończone wielką tragedią.

Wydarzenia w dniu śmierci Janka według Kleiny wyglądały tak:

7 stycznia 1949 roku „Anoda” zachowywał się spokojnie, odpowiadał na pytania „nie” albo „tak”. Nie rozwijał odpowiedzi. Był zamknięty w sobie.

Podczas przesłuchania, które trwało około 20 minut, Kleinie polecono – nie pamiętał kto – aby doprowadził Janka do gabinetu naczelnika Herera.

Kleina zamknął na zasuwę pokój, w którym sam urzędował. Przyprowadził Janka do sekretariatu, przez który wchodziło się do Herera.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał: – Jeszcze chwileczkę, przejdź do następnego pokoju, drzwi są otwarte i nikogo w pokoju nie ma.

Kleina wszedł pierwszy do tego pomieszczenia. „Anoda” kroczył za nim.

Ale nagle błyskawicznie dostał się na parapet otwartego okna. Wyskoczył.

Kleina nawet nie wychylił się przez okno, żeby zobaczyć, co się stało z Jankiem.

– Okno było dwuskrzydłowe, otwarte na oścież – zeznał Bronisław Kleina.

– Do okna nie podchodziłem, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że na pewno poniósł śmierć.

– Zawiadomiłem sekretariat o tym samobójstwie – opowiedział Bronisław Kleina prokuratorowi. – Tragedią tą byłem wstrząśnięty, dygotałem, nie mogłem się uspokoić. Naczelnik i koledzy uspokajali mnie. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Rodowicz to zrobił. Odpowiedzi jednak nie znalazłem. Natychmiast wezwano lekarza, ponieważ w ministerstwie mieściła się poliklinika. Lekarz stwierdził zgon w chwilę po wypadku. Nie wiem, czy była przeprowadzona sekcja zwłok. Jana Rodowicza nie mogłem powstrzymać, ponieważ zrobił to w błyskawicznym tempie, przeleciał koło mnie jak wichur.

– Przysięgam na wszystkie świętości, na swoje dzieci, że do śmierci Jana Rodowicza nie przyczyniłem się – odezwał się w pewnej chwili, siedząc naprzeciwko przesłuchującego go prokuratora. I w tym momencie Bronisław Kleina rozpłakał się.

– Pobudek jego desperackiego kroku nie znam – dodał. – Nie widziałem u niego żadnych śladów pobicia. Nie skarżył się na niewłaściwe traktowanie.

Podczas wizji lokalnej Kleina mówił, że jego gabinet znajdował się na czwartym piętrze. Wchodziło się lewą klatką, prawa była zamknięta. Na Aleje Ujazdowskie wychodziły okna jego gabinetu, sekretariatu i pokoju Masnego. Kleina nie pamiętał, czy w jego pokoju było jedno, czy dwa okna.

Wskazał to, z którego wyskoczył „Anoda”. Patrząc od Alej Ujazdowskich, pierwsze na lewo od prawej klatki schodowej. Następne okno, półokrągłe, należało do sekretariatu. Kolejne, duże i półokrągłe, znajdowało się w pokoju naczelnika Wiktora Herera.

Wieczorem tego dnia, gdy zginął „Anoda”, Kleinę wezwano do Wydziału do spraw Funkcjonariuszy. Powiedziano mu, że jest winien, bo umożliwił zabranie do grobu spraw, o których wiedział „Anoda”. Kleina dodał, że nie

poniósł żadnych konsekwencji.

Ale w jego aktach osobowych znajduje się zapis z 29 marca 1949 roku: „ukarany 10 dni aresztu domowego za niezamknięcie okna, co ułatwiło podejrzanemu popełnienie samobójstwa”

– Nikt mnie nie powiadomił, że zostałem ukarany aresztem domowym za powyższy wypadek – zeznawał Bronisław Kleina. Może dlatego, że w lutym 1949 roku udał się na miesięczny urlop wypoczynkowy. Rok wcześniej też w tym okresie odpoczywał.

Bronisław Kleina twierdził, że w trakcie pracy w MBP nigdy nikogo nie przesłuchiwał. Oprócz tego jednokrotnego przypadku z Jankiem. Ale z akt sprawy karnej Andrzeja Sołdrowskiego wynikało, że Kleina prowadził przeciwko niemu śledztwo. I na pewno przesłuchiwał go 7 i 9 grudnia 1950 roku.

Ekspertyza grafologiczna potwierdziła, że protokoły przesłuchań zostały skreślone jego ręką. Prokuratura oskarżyła Kleinę o składanie fałszywych zeznań.

Kiedy ktoś kłamie w jednej sprawie, trudno uwierzyć, że o innej mówi prawdę.



Pozostał jeszcze jeden świadek. Spośród żyjących zapewne najważniejszy. Wiktor Herer. Naczelnik w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. To on polecił aresztować „Anodę”. A potem go przesłuchiwał. Czy dziś odważy się opowiedzieć o śmierci Janka?

ROZDZIAŁ XII

Druga konspiracja

W styczniu 1945 roku rozwiązano Armię Krajową. Generał Leopold Okulicki „Niedźwiadek” napisał w rozkazie:

„Postępująca szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia w krótkim czasie całej Polski przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwycięstwo słusznej sprawy, o którą walczyliśmy od roku 1939. W istocie bowiem – mimo stwarzanych pozorów wolności – oznacza to zamianę jednej okupacji na drugą, przeprowadzaną pod przykrywką Tymczasowego Rządu Lubelskiego, bezwolnego narzędzia w rękach rosyjskich (...).

Polska według rosyjskiej recepty nie jest tą Polską, o którą bijemy się szósty rok z Niemcami, dla której popłynęło morze krwi polskiej i przecierpiano ogrom męki i zniszczenia Kraju. Walki z Sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym Państwie Polskim (...).



Gen. Leopold Okulicki, dowódca AK, który 19 stycznia 1945 r. wydał rozkaz rozwiązania podziemnej armii.

Żołnierze Armii Krajowej!

Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą. W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni nie tylko Polsce oraz by Wam ułatwić dalszą pracę – z upoważnienia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej zwalniam Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi AK”^[144].

Ale żołnierzom ciężko było nagle porzucić broń i konspirację. Widzieli, że Armia Czerwona co prawda przepędziła niemieckiego okupanta, ale wprowadziła swoje, komunistyczne rządy. Ukrywano więc sprzęt i uzbrojenie. Szczególnie broń miała wielkie znaczenie. Broń, której zawsze akowcom brakowało, którą z wielkim trudem zdobywali, była dla nich symbolem wolności, niezależności i bezpieczeństwa. Ostatnim szańcem.

W pierwszej połowie 1945 roku „Anoda” razem z Henrykiem Kozłowskim

„Kmitą” ukrył część broni batalionu „Zośka”. Na wszelki wypadek.

– Nie wierzyliśmy, że dadzą nam spokój, że pozwolą nam żyć – wspominała Anna Jakubowska^[145]. – Mieliśmy wiadomości o aresztowaniach na Wileńszczyźnie i w kręgu naszych bliskich. Dlatego chłopcy postanowili ukryć naszą broń. Oni czuli się z nią bezpieczniej, nawet jeśli była zakopana w ziemi. Na pewno by jej nie mogli użyć w takim stanie. Ale przez lata okupacji tak się do niej przyzwyczaili, że to jest ich ochrona przed niebezpieczeństwem, że nie potrafili się z nią rozstać. Potem właściwie jedyny konkretny zarzut, który można było nam postawić, to że nie oddaliśmy całej broni.

– Co to było za wyzwolenie? – oburzał się Henryk Kończykowski „Halicz”^[146]. – Zmiana okupanta. Weszli Rosjanie, zajęli Warszawę. Weszli siedemnastego, a osiemnastego NKWD mnie aresztowało. To ja byłem wyzwolony?

Po przegranym powstaniu, po ustanowieniu nowych władz, „zośkowcy” pogrążyli się w czarnej rozpacz. Tak ten okres zapamiętała Anna Borkiewicz-Celińska.

Henryk Kończykowski opowiadał^[147], że nie mógł uwierzyć, gdy na ulicach zobaczył plakaty „Zapluty karzeł reakcji”. Jak to? Przecież Armia Krajowa walczyła, poświęcając życie swych najlepszych żołnierzy. A teraz komunistyczna propaganda przedstawia ich jako „zaplute karły reakcji”? Deptane przez żołnierza wprowadzającego nową władzę? To było szokujące. Niewiarygodne.

Stanisław Krupa opowiadał, że „zośkowcy” byli przeciwni nowej władzy: – Janek był wyjątkowo negatywnie nastawiony.

– Wszyscy byliśmy do nowego ustroju nastawieni na „nie” – wspominała Anna Jakubowska. Pamiętali przecież, jak w czasie powstania sowieckie wojska stały za Wisłą i nie pomogły akowcom. To przekreślało wiarę, że ta nowa Polska może być prawdziwą Polską.

Niektórzy jeszcze mieli nadzieję, że zachodni sojusznicy nie pozostawią kraju na pastwę Związku Radzieckiego. Że jakoś upomną się o swojego alianta. Choć w tym przypadku ratunek mógł być tylko jeden – III wojna światowa.

„Anoda” wciąż chodził na co dzień w wojskowym mundurze.



Po rozwiązaniu Armii Krajowej w konspiracji działała nadal organizacja „NIE” („Niepodległość”). Wymyślono ją jeszcze w 1943 roku, na wypadek sowieckiej okupacji. Przewidywano, że powinna działać już po rozwiązaniu Armii Krajowej. W praktyce – choć ze względów konspiracyjnych chciano tego uniknąć – składała się z byłych akowców. Jednak już w marcu 1945 roku jej dowódca generał Leopold Okulicki został uprowadzony przez Sowieców, a potem skazany w moskiewskim procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej. W 1946 roku zginął w sowieckim więzieniu. NKWD zatrzymała również generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, jednego z ważnych dowódców „NIE”.

Organizację „NIE” rozwiązano w maju 1945 roku.

Na jej miejsce generał Władysław Anders, pełniący obowiązki naczelnego wodza, powołał Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, z dowódcą pułkownikiem Janem Rzepeckim „Ożogiem”. 24 lipca 1945 roku napisał do byłych żołnierzy Armii Krajowej: „Szósty rok, rok jawnej walki Armii Krajowej z niemieckim najazdem, przyniósł Wam wielkie ciosy i rozczarowania. Gra wielkich sił międzynarodowych zmusiła do rozwiązania Waszych szeregów i zwolnienia Was ze służby i doprowadziła do likwidacji rządu oraz krajowych ośrodków kierownictwa politycznego, które Was do walki prowadziły. Faktyczne kierownictwo odbudowy Ojczyzny przeszło w ręce Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Zła wola jednak do dzisiejszego dnia złośliwie wypacza obraz Waszej długoletniej ofiary i Waszych intencji, zohydza Wasz wysiłek i odmawia Wam w praktyce możliwość pełnego jawnego udziału w odbudowie ojczyzny bez sprzecznego z honorem wypierania się swej rzetelnej żołnierskiej przeszłości. Przy tym głosząc te same hasła postępu, wolności i niezawisłości, które wypisane były na Waszym sztandarze, realizuje dotychczas tylko ich karykaturę. Was zaś prześladowe moralnie i fizycznie, traktuje Was jak »narzędzia reakcji« i szkodników w dziele odbudowy (...).



Leopold Okulicki w czasie procesu szesnastu w Moskwie, podczas którego został skazany na 10 lat więzienia. Zmarł w nim 24 grudnia 1946 r.

W tak ciężkim położeniu jedna jest tylko droga niezawodna – droga prawdy, a zarazem wierności wyznawanym ideałom wolności człowieka i niezawisłości narodu, ideałom, dla których zawsze warto ponosić ofiary.

Puszczajcie więc mimo uszu słowa, a patrzcie na czyny i fakty! Co jest zgodne z Waszymi ideałami – jest dobre bez względu na to, od kogo pochodzi. Co ich realizacji przeszkadza – jest złe i musi być potępione. Na tej drodze spotkacie się ze wszystkimi prawdziwie demokratycznymi polskimi siłami społecznymi. Idąc nią, wnosicie największy i najtrwalszy wkład w odbudowę Polski. Z tej drogi nie dajcie się zepchnąć ani tym, którzy Was do dzieła odbudowy nie chcą dopuścić, ani tym, którzy we własnym, ciasnym grupowym, często społecznie reakcyjnym interesie chcą Was od niego odciągnąć i skłonić do jego bojkotu. Nie dawajcie posłuchu namawiającym Was do jałowego szkodnictwa, do tworzenia oddziałów zbrojnych, do destrukcyjnego bandytyzmu politycznego, zwalczajcie psychozę dezercji z wojska i agitację za dezercją. Są to działania nieodpowiedzialne, warcholskie, społecznie i politycznie szkodliwe i całkowicie sprzeczne z konstruktywną zawsze postawą Polski Podziemnej.

Jeśli tylko pozwala na to Wasze osobiste położenie, jeśli bezmyślne prześladowanie przez tzw. bezpieczeństwo nie zamyka Wam tej drogi – przystępujcie do jawnej pracy na wszystkich polach nad odbudową Polski,

pozostając wiernymi drogim każdemu żołnierzowi byłej AK demokratycznym hasłom: Wolność obywatela – niezawisłość narodu. Walka polityczna o ich realizację jest Waszym obowiązkiem i Waszym prawem, którego nie może Wam odmówić żaden uczciwy Polak uważający się za demokratę”^[148].



Część żołnierzy „Zośki” po rozwiązaniu AK zawiązała tak zwaną drugą konspirację. „Anoda” tworzył ją razem z Henrykiem Kozłowskim „Kmitą”. Podporządkowali się swojemu zwierzchnikowi z czasów wojny – pułkownikowi Janowi Mazurkiewiczowi „Radosławowi”, szefowi Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Powstała przy nim grupa bojowa, której dowódcą został Henryk Kozłowski „Kmita”, a zastępcą Janek Rodowicz „Anoda”. Oddział ochraniał odprawy dowództwa, obserwował Urzędy Bezpieczeństwa.

– Janek z początku miał obiekcje, czy podporządkowywać się Henrykowi Kozłowskiemu „Kmicie”, ale doszli do porozumienia – opowiadał Bogdan Celiński.

Powojenny okres był w pewnym sensie trudniejszy niż okupacja. W czasie wojny podział na „swojego” i „wroga” był prosty. Później sprawy się skomplikowały. Stalin narzucił Polsce władzę komunistów, ale w pierwszych miesiącach w kraju działała silna legalna opozycja – Polskie Stronnictwo Ludowe. Wicepremierem został przywódca PSL Stanisław Mikołajczyk – podczas wojny premier polskiego rządu w Londynie. Stał się więc symbolem przedwojennej Polski. Jego decyzja o powrocie do kraju była zapewne równie konieczną, co nieudaną próbą porozumienia się z nową, wprowadzoną przez Sowieców, władzą.



Premier Stanisław Mikołajczyk (po prawej) po powrocie z wizyty w ZSRR, sierpień 1944 r.

Opozycję jednak od początku prześladowały służby bezpieczeństwa. Żołnierze Armii Krajowej trafiali do więzień.

W połowie 1945 roku grupa bojowa przygotowywała się do odbicia więźniów z Urzędu Bezpieczeństwa w Otwocku. Akcją miał dowodzić „Anoda”. Żołnierze pojechali do Otwocka ciuchcią. Zabrali peemy, pistolety i granaty. Czekali, bo uderzenie zaplanowano na piątą rano. Ale pojawił się łącznik z informacją, że aresztowanych wywieziono. Atak odwołano.

Rozrzucali antykomunistyczne ulotki na trasie kolejki EKD. Przerabiali słynny plakat „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji AK”. Olbrzymem stawała się AK, a karłem PPR.



Legitymacja orderowa gen. Augusta Emila Fieldorfa.

Największe przedsięwzięcie to prawdopodobnie plan uwolnienia generała Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Więżono go w Rembertowie. Zanim jednak akcję przeprowadzono, generała wywieziono do Związku Radzieckiego.

Planowano zasadzkę na polskich komunistów żydowskiego pochodzenia Anatola Fejgina i Wiktora Grosza.

Latem 1945 roku chłopcy pojechali mercedesem w pięciu do Łodzi. Stanisław Sieradzki „Świst” opisywał: „Pamiętam, że jechaliśmy ulicą Poprzeczną ku ul. Piotrkowskiej. Ulicą Kilińskiego jechał tramwaj, stanął na przystanku, więc prowadzący samochód Janek Anoda ruszył ku Piotrkowskiej. Tymczasem ciężarowy pojazd mechaniczny, prowadzony przez krasnoarmiejca, mijał stojący na przystanku tramwaj po lewej stronie. Manewr ten nie był przepisowy. Radziecki pojazd uderzył naszego Mercedesa z lewej strony, na wysokości kierowcy, którym był Anoda. Odczuł on potężne uderzenie w wygojony lewy bok, co spowodowało złamanie lewej ręki i obojczyka. Zatrzymałem jadący pojazd osobowy, sympatyczny użytkownik pojazdu oficer w polskim mundurze użyczył nam swego pojazdu, Janek Anoda trafił do wojskowego szpitala w Łodzi. Był ogromnie zaszokowany, a ponieważ miał w kieszeni lewe dokumenty na inne nazwisko, mogło dojść do wypadki. Na drugi dzień rano, w czasie obchodu sal z chorymi, Janek Anoda zdziwił się, że lekarz zwrócił się

do niego obcym nazwiskiem, więc skorygował to nazwisko mówiąc, że nazywa się Rodowicz. Nastąpiła konsternacja, która na szczęście nie zakończyła się tragicznie. O zaistniałej sytuacji opowiedział Janek Anoda kolegom odwiedzającym go po południu. Tego samego dnia Anoda opuścił szpital bez opowiadania się”^[149].



Gen. August Emil Fieldorf „Nil” – dowódca Kedywu Armii Krajowej. Aresztowany w 1949 r. i skazany na śmierć wyrokiem nielegalnego sądu (tzw. sekcji tajnej) w 1952 r.

Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj działała do sierpnia 1945 roku. Rozwiązał ją pułkownik Jan Rzepecki. Wtedy zlikwidowano też grupę bojową, do której należał „Anoda”



Kiedy 1 sierpnia 1945 roku, w pierwszą rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, aresztowano Jana Mazurkiewicza „Radosława”, „zośkowcy” rozważali pojmanie jakiejś ważnej osoby, aby wymienić ją za niego. Ale tej

akcji nigdy nie przeprowadzili.

Po rozmowach z funkcjonariuszami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego pułkownik Mazurkiewicz zaapelował do swoich podkomendnych, aby ujawnili się. Henryk Kończykowski „Halicz” zapamiętał, że rozkaz przyjęto niezbyt dobrze. Ale wszyscy byli zdyscyplinowani, należało się podporządkować.

„Anoda” razem z 16 kolegami ujawnił się 19 września 1945 roku przed Komisją Likwidacyjną byłej AK w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego. Potem razem ze Stanisławem Sieradzkim „Świstem” pracował w kancelarii komisji. Tworzył ewidencję poległych „zośkowców”.

Akcja ujawnienia formalnie miała pomóc byłym akowcom powrócić do normalnego życia. Ale przede wszystkim umożliwiła nowym komunistycznym władzom sporządzenie spisów żołnierzy podziemia. Dzięki temu uzyskali informacje o niemal całym środowisku niepodległościowym.

Anna Jakubowska opowiadała^[150]:

– Janek „Anoda” razem z moim mężem Henrykiem Kozłowskim byli najbardziej czynni podczas akcji ujawniania się. Podpisywali składane deklaracje. Janek i Henryk namawiali wszystkich do ujawnienia, ponieważ „Radosław” był dla nich wielkim autorytetem. Założeniem akcji było to, że cokolwiek się zrobiło poprzednio, w okresie między Powstaniem Warszawskim a ujawnieniem, będzie objęte całkowitą amnestią. Ale przedsięwzięcie okazało się chybione. Nie uwolniło nas od odpowiedzialności.

Bogdan Celiński zapamiętał^[151]: – To było bardzo bolesne, dlaczego mamy się ujawniać. Przecież braliśmy udział w walce, a teraz to wszystko jakby się nie liczyło. Ujawniłem się tak jak inni koledzy. Potem była praca zawodowa, studia, ale byliśmy w bliskim kontakcie, przyjaźni między sobą. Przychodzi rok 1948. Mam tylko jedną rozmowę z Jankiem „Anodą”. Mówił, jakby trochę wyczuwał, że przyjdą nowe czasy, że możemy spotkać się z represjami. Że trzeba być na to przygotowanym. Powinniśmy mieć jakiś bliższy kontakt, jako tak zwana Samoobrona. Przyjąłem to do wiadomości, ale nie podjąłem w tej sprawie żadnej rozmowy z kolegami. Na tym rzecz się skończyła.

Po rozwiązaniu Delegatury Sił Zbrojnych we wrześniu 1945 roku pułkownik Jan Rzepecki stanął na czele konspiracyjnego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Używano cywilnych określeń „zrzeszenie” i „prezes”, aby uniknąć skojarzeń z wojskiem. WiN miał być czymś w rodzaju cywilnej konspiracyjnej opozycji. Ale ludzie i tak mówili o kolejnych „komendach” WiN-u i jego „komendantach”.

Od września 1945 do grudnia 1952 roku w konspiracji działało pięć komend WiN-u (ostatnia była ubecką mistyfikacją). Ich żołnierze wiele razy przeprowadzali akcje zbrojne przeciwko komunistom.

Ale nikt z „zośkowców” nie wstąpił do tej konspiracji. Żaden z nich nie przyłączył się do WiN-u.

Kiedy aresztowano ich na początku 1949 roku, od dawna nie prowadzili już żadnej działalności podziemnej. Mieli natomiast za sobą trzy wspólne zimowiska. I to one później stały się absurdalnym dowodem na to, że wciąż konspirowali.



Na przełomie 1945 i 1946 roku wyjechali pierwszy raz do Zakopanego. Wynajęli całą willę niedaleko Krupówek, gdzieś na Drodze pod Reglami ^[152]. Gaździna zgodziła się żywić wszystkich. W pokojach przygotowali prycze z siennikami. Wieczorami zapalali lampy naftowe, bo jeszcze nie było prądu. Ale potem Włodzimierz Steyer „Grom” podłączył elektryczność.

Sprzęt narciarski skompletował „Anoda”. Wyjechało około 40 osób.

Wzorowali się na przedwojennych obozach harcerskich. Podzielili na cztery zastępy. Dziewczęta należały do „Babińca”, chłopcy do „Gentlemenów”. Osobne pokoje dla jednych i drugich.

Rano pobudka, mycie, sprzątanie, rozkaz dzienny, modlitwa, śniadanie. Potem kilkugodzinne wyprawy narciarskie na okoliczne zbocza. Jazdy uczyli się wzajemnie od siebie.

Przed zmrokiem wracali na kwaterę, na odpoczynek i obiad. Wieczorem „rozpalali” symboliczne ognisko. Ale w sylwestra na sąsiednim wzgórzu zapalili prawdziwe.

Snuli opowieści. „Anoda” wspominał akcję pod Arsenalem i pod

Rogożnem, ktoś inny – zamach na Kutscherę. Prawie co wieczór wystawiano zabawne teatrzyki i skecze.

– Wieczorami śpiewaliśmy nasze powstańcze piosenki – wspominała Anna Jakubowska „Paulinka”^[153]. – Potem Janek opowiadał niekończące się dowcipy, wywołując huragany śmiechu. I nie dlatego, że kawały były takie wspaniałe – to jego interpretacja powodowała, że były niepowtarzalne. Ten sam dowcip powtórzony przez kogoś innego nie wywoływał takiego efektu.

Henryk Kozłowski wspominał, że urządzono też obowiązkowy „małpi dzień”, kiedy to jego podkomendni wydawali mu rozkazy. Zmachał się solidnie, ganiając z miotłą i wykonując różne dziwne polecenia.

„Na tym pierwszym powojennym zjeździe spotkał nas zaszczyt i duża przyjemność – pisał Henryk Kozłowski. – Odwiedził nas bowiem przebywający na kuracji w Zakopanem »Kamyk« – Aleksander Kamiński. Wielu z nas słyszało już o nim jako o autorze »Kamieni na szaniec«, ale nie znało go osobiście. Spotkałem »Kamyka« na ulicy w Zakopanem zupełnie przypadkowo (znaliśmy się już osobiście, pamiętałem go też dobrze z harcerskich, dawnych czasów przedwojennych, kiedy był twórcą ruchu zuchowego, wspaniałym instruktorem, autorem książki-biblii ruchu zuchowego »Antek Cwaniak«). Po krótkiej wymianie informacji zaprosiłem go na nasz wieczór. Przyszedł w towarzystwie swojej współpracownicy i b. łączniczki – Marii Straszewskiej. Po krótkim przedstawieniu przeze mnie kolegów »Kamyk« zabrał głos; mówił krótko, widać było, że jest słaby i zmęczony. Jego wizyta zrobiła na nas wszystkich duże wrażenie; byliśmy ciekawi poznać autora »Kamieni na szaniec« – opowieści o naszych poległych kolegach, o naszym ówczesnym środowisku, a niekiedy i o nas samych”^[154].



Wyjazd „zośkowców” do Zakopanego, przełom 1945 i 1946 r.

Zimowisko trwało około 12 dni. Wspaniała pogoda, śnieg i słońce.

„Anoda” lubił tańczyć. Wreszcie po okresie wojennej wstrzemięźliwości mógł sobie powetować stracone lata. Pewnego dnia chłopcy postanowili zorganizować zabawę. Niestety, trochę za mało było dziewcząt. Kawalerowie ruszyli więc w miasto szukać kandydatek do potańcówki. Z Jankiem na czele grupy zwiadowczej.

Udało się. Wrócili z bardzo wysoką, choć trochę płaską damą. Urodziwą, może tylko nieco zbyt mocno umalowaną. Ale na salę wkroczyła z gracją. Podała pierwszemu z chłopaków dłoń do pocałowania. Złożył szarmancki cmok. I w tym momencie Janek się ujawnił! Bo to on przebrał się za ową dziewczynę. Sala gruchnęła śmiechem.

Rok później pojechali do Szklarskiej Poręby. Zamieszkali w domu wypoczynkowym Związku Inwalidów Wojennych. Dostali do niego oficjalne skierowanie, bo wielu „zośkowców” było solidnie pokiereszowanych podczas walki.



Wyjazd „zośkowców” do Zakopanego, przełom 1945 i 1946 r.

Tym razem było to już raczej spotkanie dobrych znajomych niż harcerskie zimowisko. Przyjechało około 50 pięć osób z „Zośki” i z „Parasola”. Byli też ich znajomi, przeważnie studenci Politechniki Warszawskiej. W sylwestra przyszedł pułkownik Jan Mazurkiewicz „Radosław” wraz z łączniczką i żoną „Irmą”

– Bliżej poznałem „Anodę” – tak właśnie się na niego mówiło – na zimowisku w Szklarskiej Porębie – wspominał Wojciech Zygmunt Świątkowski „Korczak”^[155]. – Janek był potwornie ranny w jedną rękę. Jeździł na nartach, używając tylko jednego kijka.

Szusowali od rana, a po zmroku dyskutowali. W Szklarskiej Porębie po kolacji siadali w kole i „Anoda” prowadził „kącik ogłoszeń”. Mieli swój „felkowy” hymn plutonu, który zaczynał się od słów: „Pistoletów maszynowych szczęk...”

„Dnie wypełnione były jazdą na nartach, wycieczkami w pobliskie okolice – wspominał Henryk Kozłowski. – Wieczory spędzaliśmy na przeróżnych, improwizowanych wesołych teatrzykach, śpiewach, tańcach, zabawnych historyjkach. Inspiratorem tych wieczorów, reżyserem a często i aktorem był, tak jak na poprzednim zjeździe, Janek »Anoda« przy częstym współudziale koleżanek i kolegów z wydziału architektury Politechniki Warszawskiej. Dużą przyjemnością była obecność Jurka »Linowskiego«,

który przywiózł z sobą harmonię. Grał świetnie do »tańca i do różańca« (piosenki partyzanckie i czasów konspiracji). Sylwestra rozpoczęliśmy polonezem, prowadzonym przez płk. „Radosława” mającego za partnerkę »Paulinkę«”^[156].



Wyjazd „zośkowców” do Zakopanego, przełom 1945 i 1946 r. Od lewej: Bogdan Celiński „Wiktor”, Jan Makowelski „Pytek”, Jan Rodowicz „Anoda”

Pewnego dnia kilku chłopców poszło do nowej kawiarni. Akurat przywieziono świeże pączki. Janek z kolegą z „Parasola” założyli się, kto zje więcej. Do dziesiątego szli łeb w łeb, a raczej szczeka w szczekę. Ale przy jedenastym Janek dostał skurczu szczęki i utkwiała mu część pączka. Przegrał. Musiał zapłacić rachunek za wszystkie.

– Na drugim zimowisku byłem w dosyć zaawansowanej ciąży – opowiadała Anna Jakubowska „Paulinka”^[157]. – Nie bardzo mogłam uczestniczyć w narciarskich wyprawach. Janek spotkał mnie kiedyś spacerującą i mówi: „Słuchaj, żal mi ciebie. Wiesz co? Ja pożyczę sanki i na górkę cię wciągnę, chociaż sobie na sankach zjedziesz”. Mówię: „Cudownie, wspaniale”. Razem wdrapaliśmy się na górę. Po czym on

powiedział: „Poczekaj, ja zjadę na nartach na dół i tam będę cię odbierał!” Tak się też stało. Wsiadłam na sanki, przejechałam kawałek. Nadziałam się na jakiś pień, przekoziółkowałam 15 razy i zjechałam, oczywiście nie na sankach, na dół. Zobaczyłam przerażoną minę Janka. Jemu wydawało się, że ja się już rozsypałam całkowicie i on jest odpowiedzialny za to wszystko. Chodził koło mnie cały dzień. „Słuchaj, ale nic ci się nie stało?” – dopytywał. Ja śmiałam się cały czas, wiedząc, że nic mi się nie stało. A on jeszcze długo z niepokojem śledził każdy mój ruch. Bardzo mnie wtedy rozczulił tym swoim odpowiedzialnym niepokojem i tą swoją troskliwością.

Janek miał silną wolę w przełamywaniu swojej słabości fizycznej i psychicznej, bo to jedno z drugim było połączone – dodawała Anna Jakubowska. – Rana bardzo mu dolegała. A jednak jeździł na nartach i nie pokazywał po sobie, że go boli. To bardzo charakterystyczne dla niego.

Potem widywaliśmy się już rzadziej, obowiązki matki nie pozwalały mi uczestniczyć w wielu imprezach towarzyskich. Niemniej zawsze cieszyłam się na spotkanie z nim – był bliskim przyjacielem. Najbardziej fascynowała mnie jego otwartość do ludzi i do świata. Ta wiara w człowieka – granicząca może z naiwnością – która w moim odczuciu wpłynęła na jego dalsze losy.

Trzecia powojenna zima to wyjazd do schroniska Strzecha Akademicka w pobliżu Karpacza. Tym razem pojechało już tylko jakieś 25 osób.

Niedługo przed tym premier Józef Cyrankiewicz ożenił się z aktorką Niną Andrycz, wypoczywali w ośrodku wczasowym.

– Oczywiście telefon miał zastrzeżony – wspominał Stanisław Krupa^[158]. – Ale Janek zawziął się, uwiódł, zaczarował młode dziewczęta, które pracowały na miejscowej poczcie. Dały mu numer i zadzwonił do Cyrankiewicza z życzeniami dla nowożeńców. Była z nami początkująca aktorka Maja Kubicka, młoda jeszcze dziewczyna, ledwo zaczynała pierwsze kroki stawiać w teatrze – dodawał. – Dziewczęta mieszkały na górze, a my na dole. Któregoś dnia piliśmy w sześciu, dziewcząt było cztery. Majka mówi tak: „Wiecie, chłopcy, mnie już się znudziło to dziewictwo. Może któryś z was się poświęci i zabierze mi cnotę?” Wszyscy zamilkli. W końcu Janek mówi: „Wiesz co? To jest ciężki kawałek pracy. Ale jak postawisz pół litra, to ja się poświęcę”. Na to Majka: „Ty świntuchu! To ja tu oddaję ci dziewictwo,

najdroższy skarb dziewczyny, a ty jeszcze pół litra chcesz?”

Potem ubecy uznali te zimowiska za dowód, że „zośkowcy” wyjeżdżali, aby konspirować.

– A nasze wyprawy do Zakopanego i do Szklarskiej Poręby nie miały nic wspólnego z podziemiem – zapewniał Stanisław Krupa. – To były po prostu koleżeńskie spotkania. Raz do nas przyjechał „Radosław” i to uznano za największe obciążenie. Z Jankiem jak się spotykaliśmy, to nie mówiliśmy o sprawach konspiracji. Raczej dowcipkowaliśmy i żartowaliśmy.



Danuta Winiarska na ostatnich imieninach Janka w listopadzie 1948 roku zaproponowała, by został ojcem chrzestnym jej córki Anny.

– Najpierw zwróciłam się z tym do pani Zofii, do matki Janka, czy on w ogóle zechce, czy mogę mu zaproponować – wspominała^[159]. – Pani Zofia bardzo to poparła i mówi: „Od razu mu powiedz”. Oczywiście zaproponowałam Jankowi. Bardzo się ucieszył. Mówi: „Świetnie, to kiedy?” Umówiliśmy się.

Nad chrztem zawisło jednak fatum. Kuzynka, która miała zostać matką chrzestną, dostała ataku woreczka żółciowego. Nie dojechała do kościoła, trafiła do szpitala. Razem z Jankiem dziecko do chrztu podawała jego rodzona mama.

– Było jednak bardzo miło, spędziliśmy razem trochę czasu – wspominała Danuta Winiarska. – A potem już się nigdy nie widzieliśmy.

Przyszła ta tragiczna Wigilia 1948 roku i aresztowanie Janka.

ROZDZIAŁ XIII

Poważny zapas wiedzy marksistowskiej

Tajemnicę śmierci Janka powinna wyjaśnić jedna osoba: Wiktor Herer.

To on kazał aresztować „Anodę”. To on go przesłuchiwał. To on kierował wydziałem, który prowadził śledztwo.

Ale czy zgodzi się rozmawiać? To na nim ciąży przecież odpowiedzialność za to, co się stało z Jankiem.

Czy prześladowała go całe życie? A może nigdy o Janku nie myślał?

Wiktor Herer urodził się w 1920 roku w Czerniowcach^[160]. We wszystkich ankietach personalnych w rubrykach narodowość i obywatelstwo pisał: polskie. Ale w informatorze o byłych pracownikach MBP, przygotowanym w PRL-u na wewnętrzne potrzeby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podano: „narodowość – żydowska”^[161].

Jego ojciec Michał był sekretarzem związku zawodowego i redaktorem gazety. Matka Zofia z Frylingów była urzędniczką w ubezpieczalni społecznej.

Od dzieciństwa związany był z komunistami. W latach 1933–1934 należał do „czerwonego harcerstwa” we Lwowie. 1934–1935 w tym samym mieście – do Komunistycznego Związku Młodzieży Zachodniej Ukrainy. 1936–1938 w Warszawie – do Komunistycznego Związku Młodzieży Polski. Kierował Rewolucyjnym Związkiem Niezamożnej Młodzieży Polskiej. W 1940 roku wstąpił do Komsomołu.

Przed wojną ukończył szkołę powszechną i zaczął gimnazjum, z którego usunięto go po zatrzymaniu z nielegalną literaturą.

Studia zaczął w 1939 roku, po napaści Związku Radzieckiego na Polskę.

Studiował we Lwowie i w Tbilisi. W 1943 roku uzyskał absolutorium na wydziale ekonomicznym tbiliskiego uniwersytetu imienia Józefa Stalina.

W 1943 roku trafił jako ochotnik do Pułku Zapasowego 1. Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki. Zgłosił się jako obywatel radziecki narodowości polskiej, którym został na początku wojny, po zajęciu wschodnich terenów Polski przez Związek Radziecki. Był zastępcą dowódcy kompanii łączności. Potem przeniesiono go na zastępcę dowódcy baterii szkolnej w Tambowskiej Oficerskiej Szkole Artyleryjsko-Technicznej. Po trzech miesiącach służby w owej szkole trafił do 9. Pułku Piechoty 3. Dywizji WP. Stamtąd – do pułku artylerii^[162] i na front.

Wiktor Herer, opowiadając prokuratorowi w latach pięćdziesiątych o swoim szlaku bojowym, wystrzegał się jednego szczegółu, który podawał w ankietach kilkadziesiąt lat wcześniej. Nie wspomniał, że od sierpnia 1943 do stycznia 1944 roku był zastępcą dowódcy pułku artylerii, ale do spraw polityczno-wychowawczych. Potem instruktorem propagandy i starszym instruktorem pułkowego wydziału propagandy zarządu polityczno-wychowawczego.



Przysięga kościuszkowców, 1943 r.

Norman Davies opisywał rolę takich funkcjonariuszy: „Wszystkimi akademiami wojskowymi kierowali politrucy, podobnie jak wszystkimi ośrodkami i obozami szkoleniowymi; oni też w przededniu bitwy prowadzili

seminaria poświęcone frontowej propagandzie. Uczono ich wszczepiać słuchaczom wiarę, że marksizm-leninizm jest nieomylny, że Związek Radziecki pod przewodem Rosji jest niezwyciężony i że geniusz Stalina nie ma sobie równych”^[163].

W ankiecie personalnej rubrykę „Kiedy i gdzie brał udział w walkach przeciwko Niemcom” (taka była ówczesna pisownia) Herer pozostawił pustą. Ale innym razem napisał: „W walkach na froncie uczestniczyłem od maja 1944 do listopada 1944 r. i od marca 1945 r. do zakończenia działań wojennych”.

Przed końcem wojny został przeniesiony do 4. Dywizji Wojska Polskiego. Razem z nią w maju 1945 roku przyjechał do Warszawy. 1 maja 1945 roku awansował na stopień porucznika. Odznaczono go Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Do Polskiej Partii Robotniczej wstąpił w grudniu 1944 roku.

W ankietach personalnych podawał znajomość języków ukraińskiego, rosyjskiego, niemieckiego i słabo francuskiego. Bezwyznaniowy.

W Warszawie po kilku miesiącach służby w Zarządzie Polityczno-Wychowawczym WP został przeniesiony do Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. We wrześniu 1945 roku został zastępcą kierownika Wydziału IV w V Departamencie. Podlegało mu około pięciu osób, wśród nich Cykała, Masny, Kleina.

Departament V nie rozpracowywał podziemia WiN-owskiego ani NSZ-owskiego. Tym zajmowały się Departament III, którym kierował Józef Czaplicki, i Departament Śledczy z Józefem Różańskim na czele.

W charakterystyce z 11 kwietnia 1946 roku szefowa Departamentu V Julia Brystigier napisała o Hererze:

„Samodzielny, bardzo zdolny, posiada dobrą orientację, spryt i łatwość werbowania agentury. Myśli kategoriami kierownika swoim odcinkiem pracy w skali krajowej. Reaguje natychmiast na wszelkie fakty i zachodzące zjawiska w terenie. Daje W.U.B.P. jasne, konkretne wskazówki we wszystkich bieżących sprawach.

W stosunku do swych pracowników jest wymagający ale wykazuje dostateczną cierpliwość, by uczyć ich pracy i podciągać.

Moralnie stoi na wysokim poziomie.

Za dobrą pracę otrzymał premię pieniężną”^[164].

Inna charakterystyka (na dokumencie brak daty) mówiła: „Pracowity, jednakże nie zawsze zdyscyplinowany, co jest wynikiem poczucia źle pojętej samodzielności. Posiada zdolności kierownicze, szkodzi mu jednak w pracy brak systematyczności. Dla pracowników surowy, nie zawsze jednak potrafi przywiązać ich do siebie i należyście nastawić”

Uważano też: „Wadą jego charakteru jest porywczosć i brak opanowania”

Opiniowano: „Dziś jeszcze zbyt prymitywnie pojmuje stanowisko kierownicze, ale rokuje dobre nadzieje na wyrobienie się”

Zauważano: „B. dobra orientacja polityczna, poważny zapas wiedzy marksistowskiej”

Tyle mówią papiery.



Z niepokojem stukam do mieszkania Herera. Uchyła drzwi. Jeszcze nie wiem, czy otworzy je szerzej. Ale już po chwili zaprasza do środka.

To niesamowite! Bez żadnego problemu zgadza się na rozmowę. Jakby wiedział, że prędzej czy później jakiś dziennikarz zapyta go o losy „Anody”

Wiktor Herer to miły starszy pan. Bardzo inteligentny.

Należy wystrzegać się przekonania, że ubecy byli tępymi, bezmyślnymi narzędziami komunistów. To prawda, gdy myśli się o tych z najniższych szczebli Urzędu Bezpieczeństwa. Takich jak Józef Dusza, o którym powiadano „Dusza nie człowiek”

Na szczeblach kierowniczych zasiadali często ludzie bardzo inteligentni i sprawni. Tacy właśnie jak Wiktor Herer. Kiedy zakończył pracę w resorcie, został... profesorem ekonomii.

– Od dziecka jestem ekonomistą – powiedział mi o sobie.

Został specjalistą od rolnictwa. Wykładał w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, jak w czasach komunistycznej Polski nazwano dawną Szkołę Główną Handlową. Wydał kilka książek.

Broszura „Pięcioletni plan inwestycyjny w rolnictwie” (1957) powstała na podstawie stenogramu wykładu wygłoszonego na centralnym kursie

aktywu propagandowego. Herer przekonywał: „Plan pięcioletni zakłada, że wzrost produkcji zwierzęcej ma się dokonać na własnej bazie paszowej. Dalszy wzrost produkcji hodowlanej nie będzie powodować dalszego importu zbóż”.

„Rolnictwo a rozwój gospodarki narodowej” (1962): „Ze względu na rozdrobnienie gospodarki chłopskiej niemożliwe jest u nas ustalenie wskaźnika technologicznej wydajności pracy dla całego rolnictwa. Można jedynie stwierdzić, że technologiczna wydajność w porównaniu z okresem przedwojennym w pewnym stopniu wzrosła”.

„Procesy wzrostu w rolnictwie” (1970): „W znacznej części pracy uwagę swą koncentrujemy na analizie produktu końcowego rolnictwa, traktując go jako pewnego rodzaju wycinek całości produktu końcowego gospodarki narodowej”.

„Migracja z rolnictwa. Efekty i koszty”, napisana razem z Władysławem Sadowskim (1975): „Na oczach jednego właściwie pokolenia dokonuje się obecnie w Polsce przejście od milionowego, ukrytego bezrobocia na wsi do nowoczesnego rolnictwa”.

„U źródeł polskiego kryzysu” (1985), książka, której współautorem znowu był Władysław Sadowski. Rozdział „Bariery wzrostu – anatomia załamania gospodarczego”: „W latach 1979–1982 nastąpił w naszym kraju gwałtowny spadek wytworzonego dochodu narodowego, który według najostrożniejszych szacunków wynosi około 25% w porównaniu z 1978 r. Jest to zjawisko zupełnie dotychczas nie znane w rozwoju krajów socjalistycznych i podejmujemy tu próbę naświetlenia pewnych jego przyczyn, których upatrujemy głównie w zderzeniu się z barierami wzrostu gospodarczego”.

Ostatnia książka ukazała się już po 1989 roku. Dwa lata przed ekshumacją „Anody”. Wiktor Herer i Władysław Sadowski wydali wówczas „Dlaczego zmniejszyła się produkcja w Polsce” (1993): „Na przełomie lat 1989 i 1990 zrealizowano w Polsce program szokowego przejścia od gospodarki kierowanej przez nakazy centralnego planu wsparte administracyjnymi przydziałami środków do gospodarki sterowanej przez rynek”.

Ale zanim powstały te wszystkie fachowe dzieła, Herer był oficerem

w Departamencie V MBP, którym kierowała Julia Brystigierowa. Trafił do niego, bo Brystigierowa była koleżanką jego matki.



Usiedliśmy naprzeciw siebie. Spotkaliśmy się jeszcze przed ostatnią ekshumacją „Anody”. Obaj nie wiedzieliśmy, jakie przyniesie ustalenia. Wiktor Herer miał wówczas 75 lat.

Na początku poprosiłem, żeby sam powiedział to, co według niego jest istotne w tej historii.

– Dwie rzeczy – odpowiedział Herer. – Pierwsza sprawa, jak to się stało, że w ogóle „Anoda” został aresztowany i nie trafił na Mokotów, do Departamentu Śledczego, ale do nas na Koszykową, do V Departamentu.

To rozróżnienie było według Herera szalenie ważne. Bo większość aresztowanych przesłuchiwał właśnie Departament Śledczy. To on cieszył się ponurą sławą miejsca, gdzie biją i torturują zatrzymanych.

– A druga sprawa, to jak wyglądały nasze warunki lokalowe – dodał Herer. – Czy w ogóle było do pomyślenia, że można by tam na kogoś choćby krzyknąć.

Herer wyjaśnił pierwszą wątpliwość: dlaczego aresztowano „Anodę”? Przecież Janek od dawna nie prowadził żadnej działalności konspiracyjnej. Powtarzany czasem pomysł, że go zamknięto, bo straszył szczurem córkę Bieruta, wydaje się tyleż samo komiczny, co fantastyczny. Choć w komunizmie jedno z drugim czasami się mieszało.

Co więc było przyczyną tego, że „Anoda” trafił do podziemi Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego?

– Tego do tej pory nie wiedział nawet Kleina – przyznał Wiktor Herer. – Usłyszał dopiero ode mnie. Prokurator też nie miał pojęcia. Dopiero ja mu to powiedziałem w czasie zeznania. Bardzo się zdziwił.

Mówiąc to, Herer miał na myśli prokuratora Stefana Szustakiewicza, który przesłuchiwał go, prowadząc śledztwo związane ze śmiercią „Anody”.

– Nikt dotąd – oprócz mnie i dyrektora Brystigierowej – nie wiedział, skąd wzięła się ta sprawa – powiedział mi Wiktor Herer. Za chwilę więc miałem stać się jedną z nielicznych osób, które dowiedziały się, dlaczego

aresztowano Janka. Mówiąc dokładniej – jedną z nielicznych osób, którym Herer przedstawił swoją wersję wydarzeń. A to niekoniecznie znaczyło, że miałem poznać prawdę.

– Zaczęło się od tego, że wybuchł piec w Belwederze w czasie pobytu Zofii Dzierżyńskiej, żony Feliksa Dzierżyńskiego – powiedział Herer.

Zofia Dzierżyńska przyjechała z wizytą ze Związku Radzieckiego. Traktowano ją z wielkimi honorami. Zamieszkała w Belwederze.

Julia Brystigierowa przekazała Hererowi, że w aparacie bezpieczeństwa podejrzewają próbę zamachu, a pewni ludzie winą za wybuch pieca obciążają „Anodę” i studentów Politechniki Warszawskiej. Bez żadnych jednak dowodów. Ona uważała to za absurd. Przypuszczała, że wybuch to efekt zwykłej awarii. Ale i w partii, i w „bezpiece” byli tacy, którzy rozmawiali: „Przypadek? Awaria? To dlaczego wybuchło akurat u Zofii Dzierżyńskiej, a nie u prymasa Wyszyńskiego?”

I tu Herer próbował mi wytłumaczyć, że ludziom tak myślącym nie udałoby się niczego przetłumaczyć, a takie rozumowanie ubeków mogło doprowadzić do wielkiego nieszczęścia. Więszego niż to, które się przydarzyło. – Bo w bezpieczeństwie i w partii niektórzy koniecznie chcieli rozprawić się z inteligencją – twierdził.

Brystigierowa uznała, że lepiej będzie, gdy to jej departament aresztuje Janka, zanim pochwyci go Departament Śledczy i zastosuje wobec niego swoje brutalne metody.

Powiedziała Hererowi: – Zabierz się za tę sprawę, wyjaśnij. Bo jak to będzie rozpracowywane po linii WiN-u, zrobi się skandal na Politechnice połączony z masowymi aresztowaniami wśród studentów. A przecież na uczelni jest spokój.

Chciała dowodów, że nie był to zamach i że nic wspólnego z tym wydarzeniem nie miało środowisko Politechniki.

Herer twierdził, że Departament V zamierzał obalić oskarżenia o zamach. A potem prowadzić śledztwo dotyczące przechowywania przez „zośkowców” broni. Dlatego kilka dni po zatrzymaniu „Anody” aresztowano kolejnych żołnierzy batalionu.

Przerwałem Hererowi, żeby dopytać o szczegóły. Reporter musi je znać.

– Czy ten wybuch zdarzył się gdzieś w pobliżu Dzierżyńskiej?
– W łazience, w której miała się kąpać – odpowiedział Herer. – Nic jej się nie stało.

– A kiedy aresztowano „Anodę”, ona jeszcze była w Polsce? – dociekałem. Choć oczywiście wolałbym jak najszybciej zadać to najważniejsze pytanie: jak zginął Janek?

– Przypuszczam, że była jeszcze w Polsce – odpowiedział Herer. Dodał: – Ale nie jestem tego pewny. – Trzeba było się spieszyć, zanim Zofia Dzierżyńska pojedzie do Związku Radzieckiego – wrócił do swojej opowieści. – Można przecież sobie wyobrazić, że opowiedziałaby o wszystkim Stalinowi, a ten by chwycił za telefon i zrugął kogoś z kierownictwa w Polsce: „wy szto sdiełali, job waszu mat’. Dzierżyński wam nie nrawitsia?”

– Myśmy tą wiadomością o ewentualnym zamachu byli zupełnie przerażeni – zapewniał Herer. – Od początku uważaliśmy to za całkowicie absurdalne. Ja Rodowicza nawet potem o to nie pytałem. Mieliśmy już fachową ekspertyzę, że to był wypadek. Ale wiedzieliśmy, jaka jest sytuacja polityczna w kraju. Że są ludzie w kierownictwie, dla których taki zamach byłby doskonałą sposobnością dla zmiany kursu politycznego w państwie. Ktoś by stwierdził: chcieli zamordować żonę towarzysza Feliksa Dzierżyńskiego. I zaczęłaby się nagonka na inteligencję.

– W Polsce było zupełnie inaczej niż w innych krajach komunistycznych właśnie z punktu widzenia losu inteligencji – ciągnął Herer. – W Czechach z jednej strony nie było żadnych walk zbrojnych, nie było żadnego strzelania. Ale z drugiej strony wysiedlili na przykład wszystkich adwokatów z Pragi. Hrabal, jeden z największych pisarzy czeskich, pracował gdzieś w hucie, nabawił się ciężkiej choroby. U nas nie było tego wszystkiego. Oczywiście, inteligencja nie miała przywilejów. Mogli kogoś aresztować, nawet niesłusznie. Owszem, były bardzo poważne dyskryminacje przy przyjmowaniu na pierwszy rok. Ale jak ktoś wychodził z aresztu, to wracał na studia.

– I co dalej z „Anodą”? – przerwałem.

– Więc była możliwość, że wezmą tego „Anodę” na Mokotów – odpowiedział Herer. Miał na myśli Departament Śledczy.

– Ja nie wiedziałem, że tam stosują aż takie brutalne rzeczy – zastrzegł się.
– Wszystkie policje na świecie popchną kogoś, uderzą w twarz. To zdarza się wszędzie, szczególnie u francuskiej policji. Ale takie historie, jakie wyszły u Humera, tortury, to było zakazane. Bywały nawet okresy, że gdzieś w powiecie skazywano śledczych za stosowanie takich metod. Ale jak przeszła fala, to potem patrzono przez palce.

– Bito „Anodę”? – zapytałem.

– Do naszego departamentu dobierało się takich ludzi, którzy nie byli od bicia – obruszył się Herer. – Zresztą nawet nie było warunków do bicia. Przez ściany wszystko było słychać. Kręcili się interesanci.

– Dwa bloki od pana mieszka człowiek, który był przy śmiertelnym pobiciu Tadeusza Łabędzkiego w 1946 roku – powiedziałem. – To też działo się w gmachu na Koszykowej.

Mówiłem o Tadeuszu Łabędzkim, żołnierzu podziemia, którego zakatowano podczas zatrzymania. Umierającego przywieziono do aresztu. Ubecy zorganizowali potajemny pogrzeb.

– Łabędzki zmarł na Koszykowej, ale pobito go gdzieś w terenie, a nie w budynku ministerstwa – odpowiedział Herer. – W tamtym systemie to było niemożliwe, aby funkcjonariusz samowolnie kogoś zabił. System nie tolerował różnorodnych ośrodków decyzyjnych. I miał wystarczające możliwości popełnienia zbrodni sądowych.

– Czyli Brystigierowej zależało, żeby nie rozdmuchiwać tej sprawy? – wróciłem do naszego głównego wątku.

– Żeby zapobiec ewentualnej prowokacji – odpowiedział Herer. Dodał, że zaostrzenie kursu w Polsce doprowadziłoby do olbrzymich represji. Wobec inteligencji, bogatych rolników, może zaczęłoby się wysiedlanie „kułaków”.

– Z kim wcześniej naradzała się Brystigierowa? – zapytałem.

– Tego to ja nie wiem – stwierdził Herer. Podejrzewał, że uzgadniała sprawę z Jakubem Bermanem, który zajmował się „bezpieczeństwem”.

– Ktoś musiał wpaść na pomysł, że „Anoda” jest w to zamieszany – powiedziałem.

– Kto wpadł na ten pomysł, nie wiem – przyznał Herer. Ale podejrzewał,

że nie wymyślił tego nikt w Komitecie Centralnym ani w Biurze Politycznym. Raczej gdzieś w kręgach UB. Może dyrektor Józef Różański albo podsekretarz stanu w MBP Roman Romkowski?

– W aparacie bezpieczeństwa pracownik mógł zrobić bardzo dużo dobrego – Herer nagle wypowiedział zdumiewającą myśl. – W tym sensie, że to był system bezprawia. Ale jak ktoś rozumował logicznie, nawet jeśli nie miał szczególnie dobrego serca, to mógł po prostu wyśmiać takie głupoty: zamach w Belwederze? Rodowicz? Jak się tam dostał były akowiec? Kiedyś jeden z moich dobrych przyjaciół oburzył się, jak to powiedziałem – dodał Herer. – Ale w „bezpieczeństwie” naprawdę można było zrobić dużo dobrego właśnie na zasadzie zaniechania. Tam pracowali często młodzi ludzie, niedoświadczeni, bez żadnej porządnej szkoły. Mogli uwierzyć zupełnie szczerze w największe bzdury. Z głupoty i z naiwności. Z niezajomości świata.

– To pan podpisał nakaz aresztowania „Anody”?

– Nie. Brystigierowa.

– Ale kiedy już potwierdzono, że to nie zamach, „Anoda” nadal siedział?

– Siedział. Ale już za broń. I był przesłuchiwany w sprawach dość banalnych, nie wymagających jakiegoś skomplikowanego śledztwa. Nie wymagających też od niego jakiegoś szczególnego oporu. Chodziło po prostu o broń, jaką zakopali po wojnie. Nie rozmawialiśmy o żadnej specjalnej organizacji, o żadnej działalności wywiadowczej. O żadnym terroryzmie. Całe szczęście, że udało się tak poprowadzić sprawę. Bo gdyby „Anoda” poszedł na Rakowiecką, to nie wiadomo, jak by się to nie tylko dla niego, ale też dla kraju skończyło.

– Nic więcej już nie mogło się stać – powiedziałem. – „Anoda” zginął. Pozostali żywi trafili na Rakowiecką.

– Ale tam nikogo z nich nie pytano o żaden zamach – odpowiedział Herer.

– Z punktu widzenia wyroków to też bez znaczenia, bo takie same dostaliby za zamach – zasugerowałem.

– Tak – przyznał Herer. – Ale nie to jest najważniejsze. Bardziej istotne, że za to zapłaciłyby setki tysięcy ludzi. Gdyby doprowadzono kogoś do przyznania się, że dokonał zamachu. To byłby największy proces

polityczny w Polsce, który by wywołał histerię wśród elementów partyjnych. Wśród starych komunistów.

– Sądzi pan, że byłaby to histeria antyinteligencka?

– Z możliwością rozwiązania Politechniki, antyakowska – odrzekł Herer.

Przekonywał, że mogło dojść do zainscenizowania procesu pokazowego przeciw sprawcom czegoś, co by nazwano zamachem belwederskim. Jako głównego oskarżonego posadzono by „Anodę”. A sprawa zaowocowałaby nasileniem sowietyzacji kraju.

Podobny sposób myślenia Herer zawarł w swoich wspomnieniach, których jednak nie podpisał swoim imieniem i nazwiskiem. Napisał tam:

„Nie podejrzewaliśmy wprawdzie świadomej prowokacji dokonanej przez jakąś jednostkę Służby Bezpieczeństwa. Uznaliśmy jednak, że wypadek, który według nas był zwyczajną techniczną awarią, może stać się pretekstem do uruchomienia dobrze znanych mechanizmów prowokacji, wprawdzie z góry nieplanowanej, ale wykorzystującej doskonale nadającą się okazję. Ludzie, którzy taki mechanizm uruchamiają, sami w pewnym momencie zaczynają wierzyć w swoje własne domysły i stają się jeszcze bardziej niebezpieczni, ponieważ za wszelką cenę starają się uwiarygodnić swoją własną, potrzebną im wersję.

Obawialiśmy się więc, że Jan Rodowicz zostanie aresztowany w normalnym trybie i osadzony na Mokotowie, a śledztwo w sprawie zamachu zostanie upolitycznione. Obawialiśmy się, że śledztwo to znajdzie się pod ostrzałem nakazów oraz presją niecierpliwego ponaglania płynącego z góry, co mogło doprowadzić do bardzo potrzebnego, z punktu widzenia nacisków stalinowskich, pokazowego procesu, który z kolei mógłby stać się sygnałem do masowych represji przeciw młodzieży akademickiej i całej inteligencji. Finałem sprawy mogła stać się zasadnicza zmiana warunków egzystowania inteligencji, a także i chłopów opierających się kolektywizacji. Zmiana ta mogła polegać na wprowadzeniu tego wszystkiego, co było w Rosji i co wówczas, na przełomie lat 1949–50 wprowadzono już masowo we wszystkich krajach bloku sowieckiego, z wyjątkiem jednak Polski. Zasadzało się to między innymi na masowym wysiedlaniu części inteligencji ze stolic i innych miast, na masowym

relegowaniu studentów, na zmuszaniu do podejmowania pracy fizycznej zwolnionych z pracy ludzi wykształconych i wybitnych przedstawicieli kultury. Tutaj zaś trzeba zauważyć, że nawet w kręgach mniej lub bardziej zadeklarowanych sympatyków nowego porządku komunistycznego akceptację podstawowych zasad w gospodarce wynikających z włączenia Polski do bloku radzieckiego godzono dość powszechnie z wyraźną niechęcią do upodabniania warunków społeczno-politycznych w Polsce do sowieckiego modelu. Nawet wśród aktywu partyjnego, a także – co jest istotne – wśród kadry kierowniczej wojska i aparatu bezpieczeństwa był wyraźnie dość rozpowszechniony zdecydowanie negatywny stosunek do tych form sowietyzacji, które były szczególnie uciążliwe dla społeczeństwa, zwłaszcza dla inteligencji i dla rolników (przymus kolektywizacji). Pozorna paradoksalność takich postaw w tych kręgach jest dobrze zrozumiała, jeśli zauważyć, że te formy sowietyzacji, o których mowa, stwarzały również szczególne może niebezpieczeństwo właśnie dla znacznej części kadry kierowniczej, także tej, która działała w wojsku i aparacie bezpieczeństwa. Wielu ludzi, zwłaszcza tych ze starszego pokolenia, dobrze wiedziało o tym, że w Rosji w końcu lat 30. terror stalinowski w największym stopniu dotknął właśnie tę kadre. Nastrojom tym sprzyjało także to, że znaczna część kadry partyjnej i wojskowej, w tym rekrutującej się również wśród osób najwyższych rangą, wywodziła się z tej części przedwojennej Polski, która w latach 1939–41 została dotknięta masowym i bardzo brutalnym terrorem NKWD. Znaczna część tych ludzi przeszła przez łagry sowieckie. Dotyczy to przede wszystkim oficerów I Armii Wojska Polskiego”^[165].

Nie wiem, czy to Herer uratował całą polską inteligencję przed okrutną falą represji. Ale jestem przekonany, że głęboko w to wierzył. Być może był kolejną osobą w sprawie „Anody”, która pomyliła rzeczywistość ze swoimi wyobrażeniami.



- Kto przesłuchiwał „Anodę”? – zapytałem.
- Ja – odrzekł. – To była bardziej rozmowa niż przesłuchanie. My w ogóle

bardzo rzadko kogoś przesłuchiwaaliśmy. Nie zajmowaliśmy się rozpracowywaniem organizacji, które decydowały się na zbrojny opór. Obserwowaliśmy legalne, a czasami półlegalne ugrupowania. Te, które władza kwalifikowała jako opozycyjne. Do takiej działalności dobierano pracowników Departamentu V. Nasze metody pracy odbiegały od dzisiejszych wyobrażeń o ówczesnej „ubecji”

– Przesłuchania „Anody” protokołowano?

– Od początku były zapisywane. Choć to wszystko miało charakter raczej rozmów niż przesłuchań.

Tu Herer wrócił do sprawy bicia. Znów stwierdził, że na Koszykowej to było niemożliwe.

– Pracowali u nas ludzie, którzy wywodzili się nie tylko spośród komunistów. Byli też żołnierze Armii Krajowej. Brystigierowa przyjaźniła się z jednym ze znanych pisarzy. Ja cały czas równoległe z pracą w MBP byłem adiunktem na uczelni ekonomicznej. Chodziłem często w mundurze porucznika. Egzaminowałem studentów.

Herer podkreślał, że nie był oficerem śledczym. Że prowadził rozmowy z „Anodą” w cztery oczy, grzecznie i kurtuazyjnie. Bez żadnych gróźb czy przemocy.

Urzędował w gabinecie, w którym drzwi nie były okute. Nie były też zamykane na klucz. Przesłuchiwał „Anodę” tylko w ciągu dnia.

Nie pamiętał, ile razy przyprowadzano do niego Janka z aresztu. Ale z pewnością nigdy nie zapytał go o sprawę pieca w Belwederze. Uważał, że postawienie tak absurdalnego zarzutu podważyłoby jego autorytet. Dlatego też w protokołach nie ma niczego o tym rzekomym zamachu.

Podczas przesłuchań Herer nabrał przekonania, że poakowskie środowisko Janka nie tworzyło żadnej organizacji podziemnej. Było raczej koleżeńskim, kombatantckim kręgiem, który jednak rozporządzał bronią i mógł w pewnych warunkach przekształcić się w organizację. Herer obawiał się, że w razie III wojny światowej – o której wszyscy realnie myśleli – ci młodzi ludzie zamiast do polskiego wojska poszliby do lasu.

Uważał jednak, że Janek był rozczarowany i zawiedziony swoją działalnością polityczną i swoimi przywódcami. Dostrzegał nawet pewne

podobieństwa własnego i „Anody” losu. On też konspirował już od czternastego roku życia.

Dlatego Herer nabrał do Janka sympatii.



– Jak według pana zginął „Anoda”? – zapytałem wreszcie.

– Bronisław Kleina prowadził go do mnie na przesłuchanie – odpowiedział Herer. – „Anoda” odepchnął Kleinę. Wskoczył na parapet. Rzucił się przez okno. Kleinę ukarano dziesięcioma dniami aresztu.

Nic więcej nie usłyszałem od Herera o śmierci Janka. Powtórzył to samo, co twierdził Kleina. Identyczną wersję, jaką po śmierci Janka przekazano jego rodzicom. Przez kilkadziesiąt lat od jego śmierci ubecy nie powiedzieli niczego więcej.

– Czuje się pan odpowiedzialny za śmierć „Anody”?

– Za aresztowanie nie mogę czuć się odpowiedzialny. Samobójstwo? Popełnił je po rozmowach ze mną. Pewnie wpłynęły na jego decyzję. Nie mogłem jednak tego przewidzieć.

Dodał: – I teraz założmy, że wszystkie moje opinie o ludziach z mojego departamentu są subiektywne, że ja idealizuję to środowisko. Wobec tego przyjrzyjmy się technicznym warunkom. O ile pamiętam, to chyba nasz departament był na czwartym piętrze. To był w ogóle gmach bez żadnych krat, bez żadnej izolacji akustycznej. Doskonałym dowodem na to jest relacja w jednym podziemnym piśmie o tym, jak przesłuchiowano grupę młodych studentów, Związek Młodej Polski czy coś takiego. Studentów w pewnym momencie pozostawiono zamkniętych w pewnym pokoju, a za ścianą Brystigierowa miała odprawę z pracownikami departamentu. Oni słuchali. Nawet podają, co Brystigierowa na tej naradzie mówiła. Czy można, proszę pana, w takim lokalu przesłuchiwać człowieka przy stosowaniu brutalnych metod? Mało tego. Jak on szedł ze swojej celi, to przez wszystkie korytarze. A na nich było czasem bardzo wielu interesantów. Ci ludzie stali w korytarzach, kręcili się. Na przykład do ubikacji chciał pójść. Szedł przez korytarz. Trudno sobie wyobrazić, żeby tam kogoś pobili, że ten człowiek mógł krzyżeć.

– Dlaczego według pana „Anoda” w ogóle wyskoczył?

– Przeżywał wielki kryzys polityczny. Ja z nim dużo dyskutowałem o celowości powstania. On był bardzo krytyczny. Nie wiem, czy był taki w momencie wybuchu powstania. Jemu się to całe chowanie broni nie podobało. Ja go o tym przekonywałem. I chyba przekonałem. To było polityczne rozczarowanie. Był człowiekiem niesłychanie wrażliwym. Być może tego nie planował. Być może to był moment, sekunda. Wie pan, jak to jest, wielu ludzi ma takie momenty w życiu, że najchętniej bym sobie palnął w łeb. To było absolutne zaskoczenie. Pan sobie oczywiście zdaje sprawę, że gdybyśmy podejrzewali, że on coś takiego może zrobić, to byśmy oczywiście śledztwa w tym gmachu nie robili. To dla mnie był straszliwy wstrząs. Z którego on był roku?

– Z 1923.

– Ja zawsze mówię, że kto jest z 1923, to jest o sto lat ode mnie młodszy. Inna epoka. Jestem z 1920 roku. Ja w 1939 roku już byłem po maturze. A on był wtedy jeszcze dzieckiem. Wielka różnica. Te trzy lata robią olbrzymią różnicę.

– Jakie wrażenie sprawiał na panu podczas przesłuchań?

– Człowiek z tego samego kręgu towarzyskiego co ja. W czasie rozmów nigdy nikomu nawet na „ty” nie powiedziałem. Z wybitnym Niemcem z Gestapo rozmawiałem i też go per „pan” przez cały czas tytułowałem. „Anoda” zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Budził moją wielką sympatię, to się zresztą często zdarzało w tych okolicznościach. On się bardzo godnie zachowywał. To jest bardzo ważne. Nie podlizywał się. Był bardzo przejęty – dodał Herer. – Robił wrażenie człowieka złamanego z przyczyn politycznych, nie osobistych: naprzód było powstanie, teraz znowu siedział za tę broń. Pretensje do kierownictwa. Do dowództwa.

– Ale podobno zgłosił się jakiś nowy świadek? – zapytał nagle Herer.

Powiedziałem, że pojawił się człowiek mówiący o zastrzeleniu „Anody”. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że prokuratura uzna go za niewiarygodnego. Ale przecież wersja o postrzale krążyła od samego początku, od samej śmierci Janka, niezależnie od zeznań owego rzekomego świadka.

– W całej praktyce tego ubizmu nie słyszałem o takiej sytuacji, żeby kogoś

zastrzelić – powiedział wzburzony Herer. – W gmachu, gdzie wszystko słycać? Pan sobie wyobraża, co to znaczy strzał w ministerstwie? Gdzie siedzi pięciu ministrów? I tutaj strzelają do człowieka w pokoju? I co? Zastrzelił i go wyrzucił przez okno? Pan sobie chyba zdaje sprawę: to w najbliższych czasach jest przecież nie do pomyślenia.

– I przecież sekcja zwłok potwierdziłaby postrzał – dodał.

– Zrobiono wówczas sekcję? – upewniłem się.

– Oczywiście – odpowiedział Herer.

Ale nie potrafił powiedzieć, gdzie i kto ją wykonał.



Była jeszcze jedna sprawa, o którą musiałem koniecznie zapytać. Choć wobec śmierci Janka może nie najbardziej istotna, ale jednak symboliczna. Wszyscy jego bliscy aresztowanie przeżywali dodatkowo mocno z jednego powodu.

– Dlaczego „Anodę” aresztowano w Wigilię? – zapytałem.

– Baliśmy się o każdą godzinę, to było bolesne, dla nas Wigilia też była świętem – stwierdził krótko Herer.

Po kilku latach w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego Wiktor Herer przeniósł się do Zespołu Wojskowego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Pracował tam wiele lat. Został nawet wiceprzewodniczącym.

Ale od jakiegoś czasu czuł się prześladowany. W 1968 roku usunięto go z Komisji Planowania. Zwlekano z nadaniem tytułu profesorskiego.

Uniemożliwiano wyjazdy na zagraniczne placówki, choć wybierał się do Algierii. Okresowo odbierano paszport.

Poczuł się rozczarowany komunizmem. Choć jeszcze w 1978 roku pisał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o swojej „nieprzerwanej służbie”.

Nagle przeżył polityczną przemianę.

W 1981 roku zespół „Solidarności” wydał raport „Kryzys gospodarki polskiej”. Autorzy to Włodzimierz Bojarski, Ryszard Bugaj, Jerzy Eysymontt, Cezary Józefiak, Waldemar Kuczyński, Antoni Leopold, Władysław Sadowski, Andrzej Topiński, Witold Trzeciakowski i... Wiktor Herer^[166].

W 1982 roku wyrzucono go z PZPR. Komisja weryfikacyjna uzasadniła:

„Tow. Wiktor Herer – brał udział w strajkach politycznych. Nie jest w stanie pryncypialnie ocenić działalności »Solidarności« i nie dostrzega w niej żadnych antysocjalistycznych akcentów. Neguje celowość wprowadzenia stanu wojennego”

Rozmawiając z Hererem, w pewnej chwili wyjrzałem przez okno w jego mieszkaniu. Za oknem był kort tenisowy na tyłach rosyjskiej ambasady.

EPILOG

Czy można popełnić samobójstwo z powodów politycznych? Trudno w to uwierzyć. Dopóki nie pozna się historii Emilii Malessy „Marcysi”

W Armii Krajowej była organizatorką i kierowniczką Działu Łączności Zagranicznej „Zagroda”, dosłużyła się stopnia kapitana. Odznaczono ją Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Po wojnie nadal konspirowała. Należała do Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Aresztowano ją w październiku 1945 roku.

Po rozmowach z szefem Departamentu Śledczego Józefem Różańskim, za wiedzą swojego szefa, pułkownika Jana Rzepeckiego, postanowiła ujawnić członków i kierownictwo I komendy WiN. Ubecy przekonali ją, że to patriotyczna decyzja. Wydanym gwarantowali nietykalność. Emilia Malessa uwierzyła oficerskiemu słowu honoru ubeka, że nikt nie zostanie aresztowany.

Prawdopodobnie uległa atmosferze, jaką wytworzono. Ubecy starali się ją przekonać o swoim przywiązaniu do polskości. Pokazywali, że nie są sowieckimi funkcjonariuszami NKWD. Grali na przedwojennym zaufaniu do oficerskiego munduru.

Nowa władza nie dotrzymała jednak obietnicy. Kolejni ujawniani trafiali do więzienia.

W 1947 roku Emilię Malessę „Marcysię” skazano na dwa lata więzienia. Od razu ułaskawił ją prezydent Bierut. Po uwolnieniu zaczęła protestować przeciwko łamaniu słowa przez ubeków.

Do Józefa Różańskiego, dyrektora Departamentu Śledczego MBP, napisała list: „Po wyczerpaniu na przestrzeni trzech i pół lat wszystkich środków do uzyskania zwolnienia pozostałych ujawnionych, donoszę Panu

Pułkownikowi, że od dnia 9 kwietnia podjęłam głodówkę jako ostatni z mojej strony akt protestu przeciwko niedotrzymaniu umowy dotyczącej akcji ujawnienia WiN i grupy »Liceum«.

Mając za sobą wypełnienie wszystkich obowiązków wobec mego kraju w okresie okupacji oraz w pierwszym okresie niepodległości przez dokonanie aktu ujawnienia, mam niewątpliwe prawo oczekiwać od władz bezpieczeństwa, a w szczególności od Pana Pułkownika, jako głównego inicjatora akcji ujawniania, decyzji, która zapobiegnie mojej śmierci i dalszemu więzieniu lojalnie ujawnionych wobec państwa ludzi”

Pisała listy do ministra bezpieczeństwa publicznego, próbowała dostać się do Bolesława Bieruta. Podjęła strajk głodowy.

Jej starania nie spowodowały jednak uwolnienia aresztowanych działaczy WiN. Komuniści nie zamierzali wywiązać się z zawartej umowy.

Czuła się odpowiedzialna za aresztowania. Pomagała rodzinom uwięzionych. Ale przez część akowców była też bojkotowana.

Odebrano jej ukochanego Michałka, chłopca, którego wychowywała.

5 czerwca 1949 roku – pięć miesięcy po śmierci Janka – Emilia Malessa popełniła samobójstwo.



W dawnym gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na ulicy Koszykowej w Warszawie dziś mieści się Ministerstwo Sprawiedliwości. Zmienili się ludzie, zmieniły epoki. Tylko mury pozostały te same.

Na dziedzińcu stoi kamień upamiętniający śmierć „Anody”. Przy nim co roku w rocznicę tragicznego wydarzenia spotykają się jego bliscy z batalionu „Zośka”. Z roku na rok jest ich coraz mniej. W ich miejsce pojawiają się młodzi ludzie, którzy żołnierzy Armii Krajowej uważają za swoich bohaterów.

Od 2011 roku Muzeum Powstania Warszawskiego wręcza Nagrodę imienia Jana Rodowicza „Anody”. Nazywa ją nagrodą dla „Powstańców” czasu pokoju. Ludzi, którzy nie muszą walczyć z bronią w ręku w obronie podstawowych wartości, ale urzeczywistniają je w cywilnym świecie.

Laureatami pierwszej edycji zostali Maciej Grzybek i Janusz Świtaj wraz

z rodzicami. Maciej Grzybek zawsze ma przy sobie sprzęt medyczny – wiele razy dzięki temu uratował ludzkie życie. Sparaliżowany Janusz Świtaj został działaczem społecznym.

Zdobywcami nagrody drugiej edycji zostali mieszkańcy wsi Chałupki, którzy 3 marca 2012 roku pośpieszyli z pomocą ofiarom czołowego, strasznego zderzenia dwóch pociągów w okolicach Szczekocin. Wyróżnienie przyznano też Natalii Syniauskiej-Krzyżanowskiej, mieszkającej w Raszkowie, wiosce położonej w separatystycznej Republice Naddniestrzańskiej, części Mołdawii odizolowanej od Europy. Większość mieszkańców wsi ma polskie pochodzenie. Laureatka od lat działa na rzecz ochrony polskiego ducha i polskich wartości na obczyźnie, mimo trudnych warunków administracyjno-politycznych.

Podczas trzeciej edycji konkursu nagrodę przyznano szesnastoletniemu Adamowi Hryciukowi, który uratował dwoje tonących dzieci. Jedyny wskoczył do rzeki, mimo że w pobliżu wypoczywało wiele osób. Otrzymali ją również Marcin Sienkiewicz oraz Piotr Dudek, którzy przekonują innych poruszających się – tak jak oni – na wózkach inwalidzkich, że niepełnosprawność nie musi być tragedią.

W 2015 roku za postawę życiową nagrodzono Kazimierza Busmę, emerytowanego kolejarza z akowską przeszłością. Wybudował dom dla repatriantów z Kazachstanu, sprowadził do niego dziesięć polskich rodzin. Za wyjątkowy czyn uhonorowano Zbigniewa Danielaka – pełniąc służbę w kontyngencie wojskowym misji pokojowej ONZ, uratował pięcioosobową załogę z płonącego helikoptera.

Każdy z nich to „Anoda” naszych czasów.



Po latach wciąż nie wiemy, jak zginął Janek. Prokuratorskie śledztwa, odrzucając zeznania kolejnych świadków, stwierdzały jedynie, że są zbyt mało wiarygodni, aby posłużyć się ich relacjami w sądzie.

Zeznania przeczyły sobie nawzajem. Jedynie ubecy bronili się spójną wersją o samobójstwie.

Ale to przecież oni mataczyli zaraz po śmierci „Anody”. Choć pochowali

ciało, to o śmierci Janka powiadomili rodzinę dopiero po dwóch miesiącach.

Czy zabili Janka? Dlaczego mieliby to zrobić na początku śledztwa? Przecież mogli go jeszcze długo przesłuchiwać. A nawet posadzić na ławie oskarżonych.

Ale śmierć mogła być też rezultatem „wypadku” podczas przesłuchania. Wówczas wszyscy odpowiedzialni zapewne stworzyliby legendę, która odsunęłaby od nich podejrzenia. I trzymałby się jej do końca.

Obawiam się, że tego wszystkiego już się nigdy nie dowiemy. Ale na pewno ci, którzy Janka przesłuchiwali, ponoszą moralną odpowiedzialność za to, że zginął podczas śledztwa.

Chcę wierzyć w wersję o próbie ucieczki. Choć nie wiem, czy przed ludźmi, czy może przed samym sobą. Wojna już minęła, ale „Anoda” upadł jak jeszcze jeden kamień rzucony na szaniec.

BIBLIOGRAFIA

- Władysław Bartoszewski, „Dni walczącej stolicy”, Świat Książki, Warszawa 2014.
- Lesław Białous „Jerzy”, „Walka w podziemiu. Batalion Armii Krajowej „Zośka” w Powstaniu Warszawskim, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2000.
- Anna Borkiewicz-Celińska, „Batalion »Zośka«”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990.
- Janusz Broniewski, „Akcja pod Arsenalem”, Książka i Wiedza, Warszawa 1972.
- Włodzisław Woźniak „Kamieni na szaniec» w świetle dokumentów”, wstęp, opracowanie i wybór tekstów Tomasz Strzembosz, PWN, Warszawa 1996.
- Norman Davies, „Powstanie '44”, wyd. Znak, Kraków 2006.
- Janusz Bogdan Deczkowski „Ludański” – „»Wróbel« z »Kamieni na szaniec«. Wspomnienie o przyjacielu”, „Słowo”, Warszawa 1992.
- Włodzisław Woźniak, „Pseudonim – »Anoda«”, „Materiały Historyczne Stowarzyszenia Szarych Szeregów” nr 96, Warszawa 2012.
- Wiktor Herer, Władysław Sadowski. „Dlaczego zmniejszyła się produkcja w Polsce”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993.
- Wiktor Herer, „Pięcioletni plan inwestycyjny w rolnictwie”, Książka i Wiedza, Warszawa 1957.
- Wiktor Herer, „Rolnictwo a rozwój gospodarki narodowej”, Państwowe

- Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1962.
- Wiktor Herer, „Procesy wzrostu w rolnictwie na tle zmian struktury konsumpcji”, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1970.
- Wiktor Herer (współautor: Władysław Sadowski), „Migracja z rolnictwa. Efekty i koszty”, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1975.
- Wiktor Herer i inni, „U źródeł polskiego kryzysu: społeczno-ekonomiczne uwarunkowania rozwoju gospodarczego Polski w latach osiemdziesiątych”, praca zbiorowa pod redakcją naukową Aleksandra Müllera, PWN, Warszawa 1985.
- Justyna Heska-Kwaśniewicz, „Niezwyczajne dzieje archiwum Jana Rodowicza »Anody«”, w: „Materiały Historyczne Stowarzyszenia Szarych Szeregów”, nr 50, maj 2000.
- „Materiały Historyczne Stowarzyszenia Szarych Szeregów”, nr 23, 1993 „Por. phm. Jan Rodowicz „Anoda” (1923–1949)”.
- Janusz Jastrzębski, „Zaczęło się pod Arsenalem”, „Omnipress”, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita”, Warszawa 1987.
- Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1968, Nasza Księgarnia, Warszawa 1999.
- Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, Iskry, Warszawa 2009.
- Janusz Krupa, „X Pawilon. Wspomnienia AK-owca ze śledztwa na Rakowieckiej”, „Omnipress”, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita”, 1988.
- Andrzej Krzysztof Kunert, „Rzeczpospolita Walcząca. Powstanie Warszawskie 1944”, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1994.
- Robert Lipiński, „Humer i inni”, Cinderella Books, Warszawa 1997.

otr Lipiński, „Ofiary Niejasnego”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004.

otr Lipiński, „Raport Rzepeckiego”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

otr Lipiński, „Geniusz i śwynie”, Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2014.

amiętniki żołnierzy baonu »Zośka«. Powstanie Warszawskie”, wybór, redakcja, indeks, Tadeusz Sumiński, wyd. I, Warszawa 1957; wyd. II, Warszawa 1959; wyd. III, Warszawa 1970; wyd. IV, Warszawa 1981; wyd. V, Warszawa 1986; wyd. VI, Warszawa 1997, wyd. VII, Warszawa 2012.

gnieszka Pietrzak, „Żołnierze Batalionu Armii Krajowej »Zośka« represjonowani w latach 1944–1956”, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2008.

ekandra Richie, „Warszawa 1944. Tragiczne powstanie”, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2014.

ystyna Rodowiczowa, „Sztormy i burzany”, Pax, Warszawa 2004.

ładysław Rodowicz, Stanisława Rodowiczowa, Zofia Iwanicka z Rodowiczów, „Tryptyk rodzinny. Dzieje rodziny Rodowiczów”, Warszawa 1999.

anisław Sieradzki, „Janek Anoda – jakim go pamiętam: wspomnienia wojenne”, Celestynowskie Towarzystwo Kulturalne, Celestynów.

otr Stachiewicz, „Parasol”, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1991.

rzy Śląski, „Polska Walcząca”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1990.

łodzimierz Trojan, „Ci, którzy przeżyli... Biografie żołnierzy batalionu »Zośka« Armii Krajowej”, Środowisko Batalionu „Zośka” Armii Krajowej, Warszawa.

arbara Wachowicz, „Anoda – ułan batalionu »Zośka«”, w: „Antologia reportażu polskiego w opracowaniu szkolnym”, wybór, wstęp, objaśnienia

i oprac. dydaktyczne Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Bogdan Zeler, „Książnica”, Katowice 1998.

Andrzej Wernic, „Jan Rodowicz »Anoda«”, „Ład” 1989, nr 10.

Andrzej Wernic, „W 50. rocznicę tragicznej śmierci. Jan Rodowicz »Anoda«”, „Nasz Los”, 1999, nr 2.

Andrzej Wolski, „Drzwi bez klamki”, Wydawnictwo Słowo, Warszawa 1995.

Grzegorz Wróblewski, „Zośkowiec”, Fronda, Warszawa 2013.

Małgorzata Walczykowska, „Zalesie Dolne: nasze miejsce na ziemi”, z. 2: „Zalesie w czasie okupacji, pierwsze lata powojenne, losy kilku zalesiańskich rodzin”, Gmina Piaseczno, Biuro Promocji i Informacji, Piaseczno 2009.

Przypisy

[1] Anna Borkiewicz-Celińska „Iza”, „Hanka Skrzynekowa” (ur. 1921), doktor nauk historycznych, autorka książki „Batalion »Zośka«”. W konspiracji łączniczka i sanitariuszka. W 1944 roku ukończyła z pierwszą lokatą szkolenie wojskowe w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty. Powstańczy szlak bojowy: Wola – Stare Miasto – Śródmieście Północne – Czerniaków. Ciężko ranna w głowę i krzyż. Po wojnie aresztowana w 1949 roku i ponownie w 1950 roku. Zwolniona ze względu na stan zdrowia w 1953 roku.

[2] Relacja Anny Borkiewicz-Celińskiej „Izy”, Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego (dalej: AHM MPW), rozmawiał Sławomir Turkowski.

[3] Anna Jakubowska „Paulinka” (ur. 1927, z domu Swierczewska). Harcerka Szarych Szeregów. W Armii Krajowej – batalion „Zośka”, 1. kompania „Maciek”, III pluton. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – kanały – Śródmieście – Górny Czerniaków. Aresztowana w 1949 roku, wyszła na wolność w 1954 roku.

[4] Henryk Kończykowski „Halicz” (ur. 1924). Dowódca drużyny w batalionie „Zośka”. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – Czerniaków. Ranny na Starówce. Po wojnie aresztowany w 1950 roku. Zwolniony w 1953 roku. O jego losach opowiada książka Jarosława Wróblewskiego „Zośkowcy”.

[5] Anna Jakubowska „Paulinka”, „»Anoda« – kim pozostał w pamięci koleżanek i kolegów?”. Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”.

[6] Barbara Wachowicz, „»Anoda« – ułan batalionu »Zośka«”, w: „Antologia reportażu polskiego w opracowaniu szkolnym”, wybór, wstęp, objaśnienia i oprac. dydaktyczne Krystyna Heska-Kwaśniewicz, Bogdan Zeler, „Książnica”, Katowice 1998, s. 319.

- [7] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, Fronda, Warszawa 2013, s. 435.
- [8] Barbara Wachowicz, „Polska godna szacunku”, w: Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2009, s. 13.
- [9] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [10] Tamże.
- [11] Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”
- [12] Henryk Paweł Kozłowski „Kmita” (1922–2007). Dowódca kompanii „Maciek” batalionu „Zośka”. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – kanały – Śródmieście – Górny Czerniaków. Po wojnie aresztowany 3 stycznia 1949 roku. Skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywocie. Zwolniony w 1956 roku.
- [13] Prokurator w drodze pomocy prawnej przesłuchiwał Henryka Kozłowskiego „Kmitę” w Kanadzie. Kopia zeznania znajduje się w archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”
- [14] Piotr Lipiński, „Humer i inni”, Cinderella Books, Warszawa 1997.
- [15] Włodzimierz Trojan, „Ci, którzy przeżyli... biografie żołnierzy batalionu »Zośka« Armii Krajowej”, Środowisko Batalionu „Zośka” Armii Krajowej, Warszawa 2002, s. 284.
- [16] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [17] Stanisław Krupa „Nita” (ur. 1922). Żołnierz batalionu „Zośka”, uczestnik Powstania Warszawskiego. Aresztowany 13 stycznia 1949 roku, wyszedł na wolność cztery lata później. Zrehabilitowany po październiku 1956 roku.
- [18] Stanisław Krupa, „X Pawilon. Wspomnienia AK-owca ze śledztwa na Rakowieckiej”, „OmniPress”, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita”, Warszawa 1990, s. 11.
- [19] Agnieszka Pietrzak, „Żołnierze Batalionu »Zośka« represjonowani w latach 1944–1956”, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2008, s. 66.
- [20] Tamże.
- [21] Andrzej Wolski, „Drzwi bez klamki”, wyd. Słowo, Warszawa 1995, s.

105.

[22] Andrzej Wolski „Jur” (1924–2011). Harcerz Szarych Szeregów. Uczestnik akcji pod Arsenalem, w Celestynowie, Sieczychach, Pogorzeli. W 1944 roku ukończył Szkołę Podchorążych „Agrikola”. Szlak powstańczy: Wola – Starówka – Śródmieście – Czerniaków. Aresztowany 3 stycznia 1949 roku. Skazany na 10 lat więzienia. Zwolniony w 1954 roku.

[23] Danuta Winiarska, z domu Gawin, „Słoninka”, (ur. 1926). Strzelec i sanitariuszka w batalionie „Zośka”. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – Śródmieście.

[24] Relacja Danuty Winiarskiej „Słoninki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[25] Fragment wiersza Apollona Korzeniowskiego, ojca Josepha Conrada.

[26] Barbara Wachowicz, „Anoda – ułan batalionu »Zośka«”, dz. cyt., s. 307.

[27] Władysław Rodowicz, Stanisława Rodowiczowa, Zofia z Rodowiczów Iwanicka, „Tryptyk rodzinny”, Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1999, s. 52.

[28] „Ułan batalionu Zośka Jan Rodowicz Anoda”, film dokumentalny, scenariusz i reżyseria Benedykta Gliszczyńska, 1994.

[29] Władysław Rodowicz, Stanisława Rodowiczowa, Zofia z Rodowiczów Iwanicka, „Tryptyk rodzinny”, dz. cyt., s. 215.

[30] Archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego.

[31] Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1968, s. 7.

[32] Jarosław Wróblewski „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 11.

[33] Tamże, s. 20-21.

[34] Stanisław Sieradzki „Świst” (1921–2009), członek Szarych Szeregów. W maju 1944 roku ukończył II turnus Szkoły Podchorążych „Agrikola”. Przydzielono go do 3. Drużyny III Plutonu „Felek” 2. Kompanii „Rudy”. Uczestnik dwóch „Baz Leśnych” pod Wyszkwem. Walczył w Powstaniu Warszawskim. Szlak bojowy: Wola – Stare Miasto – kanały – Śródmieście – Górny Czerniaków. Po wojnie aresztowany w styczniu 1949 roku. Skazany na karę śmierci, zamienioną na mocy amnestii na 15 lat więzienia.

Zwolniony w 1956 roku.

[35] Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, dz. cyt., s. 21.

[36] Tamże.

[37] „Ułan batalionu Zośka Jan Rodowicz Anoda”, dz. cyt.

[38] Wojciech Zygmunt Świątkowski „Korczak” (ur. 1922). Żołnierz batalionu „Parasol”. Brał udział w akcji Płochocin – wysadzeniu pociągu urlopowego z żołnierzami Wehrmachtu. Od lata 1944 roku służba „Moto” w batalionie „Parasol”. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – Śródmieście. Po wojnie aresztowany w styczniu 1949 roku. Skazany na 15 lat więzienia. Uwolniony w lutym 1955 roku.

[39] Relacja Wojciecha Zygmunta Świątkowskiego, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[40] Anoda. org

[41] Henryk Józef Kowal „Henryk” (ur. 1923). Członek Grup Szturmowych. Opiekował się magazynem broni w pomieszczeniach gospodarczych Szpitala Dzieciątka Jezus. Żołnierz batalionu „Zośka”. Podczas powstania ciężko ranny 2 sierpnia.

[42] Relacja Henryka Józefa Kowala, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[43] Anna Borkiewicz-Celińska, „Batalion »Zośka«”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1990, s. 61.

[44] Relacja Anny Borkiewicz-Celińskiej, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[45] Piotr Stachewicz, „»Parasol«”, Państwowy Instytut Wydawniczy Pał, Warszawa 1991, s. 159.

[46] Tamże.

[47] Jerzy Ślaski, „Polska Walcząca”, Państwowy Instytut Wydawniczy Pał, Warszawa 1998, s. 224.

[48] Anoda. org

[49] Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, dz. cyt., s. 38.

[50] Stanisław Jastrzębski, „Zaczęło się pod Arsenalem”, Omnipress,

Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita”, Warszawa 1987, s. 49.

[51] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt.

[52] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[53] Więcej o Jacku Karpińskim w książce Piotra Lipińskiego „Geniusz i świnię”, Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2014.

[54] Norman Davies, „Powstanie '44”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2006, s. 254.

[55] Krystyna Rodowiczowa, „Sztormy i burzany”, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2004, s. 23.

[56] Powojenny arkusz ewidencyjny Jana Rodowicza „Anody”. Archiwum rodziny Rodowiczów.

[57] „Ułan batalionu Zośka Jan Rodowicz Anoda”, dz. cyt.

[58] „Gazeta Wyborcza”, 22-23 stycznia 1993 r.

[59] Andrzej Wolski, „Drzwi bez klamki”, dz. cyt., s. 97.

[60] Włodzimierz Steyer „Grom” (ur. 1923). Żołnierz plutonu „Felek” 2. kompanii „Rudy” w batalionie „Zośka”. Więziony na Pawiaku i w obozie koncentracyjnym Stutthof. Po wojnie aresztowany w styczniu 1949 roku. Skazany na 15 lat więzienia. Uwolniony w 1956 roku. Zmarł w 2012 roku.

[61] Włodzimierz Steyer „Grom”, AHM MPW, rozmawiała Małgorzata Brama.

[62] Jerzy Ślaski, „Polska Walcząca”, dz. cyt., s. 236.

[63] Agnieszka Pietrzak, „Żołnierze Batalionu »Zośka« represjonowani w latach 1944–1956”, dz. cyt., s. 22.

[64] Relacja Henryka Józefa Kowala „Henryka”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[65] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 158.

[66] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[67] Relacja Danuty Winiarskiej „Słoninki”, AHM MPW, rozmawiał

Sławomir Turkowski.

[68] Stanisław Jastrzębski, „Zaczęło się pod Arsenalem”, dz. cyt., s. 66.

[69] Stanisław Broniewski, „Akcja pod Arsenalem”, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1983, s. 6.

[70] Anna Borkiewicz-Celińska „Iza”, „Batalion »Zośka«”, dz. cyt., s. 157.

[71] Stanisław Broniewski, „Akcja pod Arsenalem”, dz. cyt., s. 88.

[72] Tamże, s. 90.

[73] Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, dz. cyt., s. 97.

[74] Agnieszka Pietrzak, „Żołnierze Batalionu »Zośka« represjonowani w latach 1944–1956”, dz. cyt., s. 23.

[75] Archiwum rodziny Rodowiczów.

[76] „Ułan batalionu »Zośka« Jan Rodowicz »Anoda«”, dz. cyt.

[77] Anna Borkiewicz-Celińska, „Batalion »Zośka«”, dz. cyt., s. 280.

[78] Juliusz Bogdan Deczkowski „Laudański”, „»Wróbel« z »Kamieni na szaniec«. Wspomnienie o przyjacielu”, wyd. Słowo, Warszawa 1992, s. 103.

[79] Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, dz. cyt., s. 146.

[80] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 168.

[81] Andrzej Wolski, „Drzwi bez klamki”, dz. cyt., s. 99-101.

[82] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[83] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 164.

[84] Relacja Bogdana Celińskiego „Wiktora”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[85] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[86] Anna Borkiewicz-Celińska, „Batalion »Zośka«”, dz. cyt., s. 502-503.

[87] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[88] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

- [89] Relacja Henryka Józefa Kowala „Henryka”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [90] Stanisław Sieradzki, „Janek Anoda – jakim go pamiętam: wspomnienia wojenne”, Celestynowskie Towarzystwo Kulturalne, Celestynów 1993, s. 8.
- [91] Wojciech Tochman „Mydło”, „Gazeta Wyborcza”, 5 VIII 1995 r.
- [92] „Gazeta Wyborcza” z 29 XI 1991 r.
- [93] Władysław Bartoszewski, „Dni walczącej stolicy”, Świat Książki, Warszawa 2004, s. 18-19.
- [94] Alexandra Richie, „Warszawa 1944. Tragiczne powstanie”, Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2014, s. 14.
- [95] Tamże, s. 11.
- [96] Barbara Wachowicz, „Anoda – ułan batalionu »Zośka«”, dz. cyt., s. 312.
- [97] Relacja Henryka Józefa Kowala „Henryka” dla AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [98] Podczas akcji „Góral” (nazwa pochodzi od popularnego określenia banknotu pięćsetzłotowego) akowcy wprowadzili bankową furgonetkę ze 105 milionami złotych. Pieniądze przeznaczone na potrzeby konspiracji.
- [99] Relacja Henryka Józefa Kowala „Henryka”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [100] Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, dz. cyt., s. 203-204.
- [101] Relacja Henryka Józefa Kowala „Henryka”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [102] „Pamiętniki żołnierzy baonu »Zośka«. Powstanie Warszawskie”, Nasza Księgarnia, Warszawa 1957, s. 28.
- [103] Tamże, s. 30.
- [104] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [105] „Pamiętniki żołnierzy baonu »Zośka«”, tom I „Wola”, Społeczny Komitet Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka”, wydanie VII rozszerzone, Warszawa 2013, s. 42-47.

- [106] Relacja Bogdana Celińskiego „Wiktor”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [107] Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, dz. cyt., s. 239-241.
- [108] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [109] Wacław Micuta, „Wspomnienia z pierwszych dni Powstania Warszawskiego”, Genewa, 1994, cytata za: Norman Davies, „Powstanie '44”, dz. cyt., s. 331.
- [110] Stanisław Sieradzki „Świst”, AHM MPW, rozmawiali Bogusława M. Karczewska, Iwona Brandt, Leszek Włochyński, Małgorzata Brama.
- [111] Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, dz. cyt., s. 411.
- [112] Piotr Lipiński, „Głębiej niż piekło”, „Gazeta Wyborcza” nr 182 z 6/VIII 1994 roku.
- [113] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [114] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [115] „Pamiętniki żołnierzy baonu »Zośka«. Powstanie Warszawskie”, dz. cyt., s. 487-488.
- [116] „Ułan batalionu Zośka Jan Rodowicz Anoda”, dz. cyt.
- [117] Stanisław Sieradzki, „Janek Anoda – jakim go pamiętam: wspomnienia wojenne”, dz. cyt., s. 11.
- [118] Jadwiga Klarner-Szymanowska „Aniołek”, „Krystyna Ochocka” (ur. 1922). Sanitariuszka w pułku „Baszta” W Powstaniu Warszawskim na Czerniakowie.
- [119] Relacja Jadwigi Klarner-Szymanowskiej „Aniołka”, AHM MPW, rozmawiała Ewa Żółtańska.
- [120] Anna Borkiewicz-Celińska, „Batalion »Zośka«”, dz. cyt., s. 679.
- [121] Piotr Lipiński „Ofiary Niejasnego”, Prószyński i s-ka, Warszawa 2004, s. 50-51.
- [122] Barbara Wachowicz, „Anoda – ułan batalionu »Zośka«”, dz. cyt., s.

315.

[123] Relacja Anny Borkiewicz-Celińskiej, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[124] Relacja Bogdana Celińskiego „Wiktora”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[125] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[126] Ewa Rzetelska-Feleszko, „O autorze”, w: Aleksander Kamiński, „Zośka i Parasol”, dz. cyt., s. 39.

[127] Relacja Wojciecha Zygmunta Świątkowskiego „Korczaka”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[128] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[129] W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego.

[130] Bogdan Celiński „Wiktor” (ur. 1921). Żołnierz Szarych Szeregów i batalionu „Zośka”. Uczestnik akcji Sieczychy. Brał udział w dwóch „Bazach Leśnych”. Szlak powstańczy: Wola – Stare Miasto – kanały – Śródmieście Północ – Śródmieście Południe – Górny Czerniaków – most Poniatowskiego – Praga. Aresztowany 3 stycznia 1949 roku. Skazany na 15 lat więzienia. Uwolniony w maju 1956 roku.

[131] Relacja Bogdana Celińskiego „Wiktora”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[132] Andrzej Wernic, „W 50. rocznicę tragicznej śmierci. Jan Rodowicz-»Anoda«”, „Nasz Los” nr 2/1999.

[133] W zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego.

[134] Relacja Bogdana Celińskiego „Wiktora”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[135] Danuta Winiarska „Słoninka”, AHM MPW, rozmawiała Małgorzata Brama.

[136] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 362-369.

[137] Relacja Stanisława Krupy „Nity”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

- [138] Relacja Krystyny Romanowskiej „Wandy”, AHM MPW, rozmawiała Małgorzata Brama.
- [139] IPN BU 2188/620 –teczka dotyczy ustalenia okoliczności śmierci Jana Rodowicza „Anody”
- [140] IPN BU 0193/8394 – Akta personalne Bolesława Cykały.
- [141] IPN BU 1633/3369 – Bolesław Cykała, „Walka z wrogą działalnością kleru w obecnym etapie”
- [142] IPN 0242/334 – Akta personalne Bronisława Kleiny.
- [143] Tamże.
- [144] Piotr Lipiński, „Raport Rzepeckiego”, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005, s. 56.
- [145] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [146] Relacja Henryka Kończykowskiego „Halicza”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [147] Jarosław Wróblewski, „Zośkowiec”, dz. cyt., s. 354.
- [148] Piotr Lipiński, „Raport Rzepeckiego”, dz. cyt., s. 56-57.
- [149] Stanisław Sieradzki „Świst”, „Janek Anoda – jakim go pamiętam: wspomnienia wojenne”, Celestynowskie Towarzystwo Kulturalne, Celestynów 1993, s. 14-15.
- [150] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.
- [151] Bogdan Celiński „Wiktor”, AHM MPW, rozmawiała Anna Andruszkiewicz.
- [152] Relacja Henryka Kozłowskiego. Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”
- [153] „Wspomnienie o Janku Rodowiczu »Anodzie«”. Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”
- [154] Relacja Henryka Kozłowskiego. Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”
- [155] Relacja Wojciecha Zygmunta Świątkowskiego „Korcza”, AHM

MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[156] Relacja Henryka Kozłowskiego. Archiwum Anny Jakubowskiej „Paulinki”

[157] Relacja Anny Jakubowskiej „Paulinki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[158] Relacja Stanisława Krupy „Nity”, AH MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[159] Relacja Danuty Winiarskiej „Słoninki”, AHM MPW, rozmawiał Sławomir Turkowski.

[160] IPN BU 0193/2139 – Akta personalne Wiktora Herera.

[161] „Służba Bezpieczeństwa w PRL w latach 1944–1978. Centrala”, t. II, Warszawa 1978, IPN BU 398/1/2.

[162] IPN BU 2188/620 –teczka dotyczy ustalenia okoliczności śmierci Jana Rodowicza „Anody”

[163] Norman Davies, „Powstanie '44”, dz. cyt., s. 204-205.

[164] IPN BU 0193/2139 – Akta personalne Wiktora Herera.

[165] Archiwum rodziny Rodowiczów. W 1995 roku Herer, rozmawiając ze mną, wspominał, że gotów jest opowiedzieć Władysławowi Rodowiczowi swoją wersję śmierci „Anody”. Do spotkania jednak nie doszło. Herer przekazał rodzinie (nikt już nie pamięta, w jaki sposób) maszynopis swoich wspomnień. Ale bez swojego podpisu

[166] IPN BU 1165/37 – Wiktor Herer i inni, „Kryzys gospodarki polskiej. Przyczynek do analizy”, Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych, Warszawa 1981.